

PRZE KROJ

W WE WTOREK

OBYWATELU,
GWIZDZ ^{>12}
NA ALARM!

WARTO

DOKŁADNIE



04

PRZEKROJ.PL

DNI OTWARTE DO 15 LUTEGO 2010



calligaris

PREMIERY • RABATY

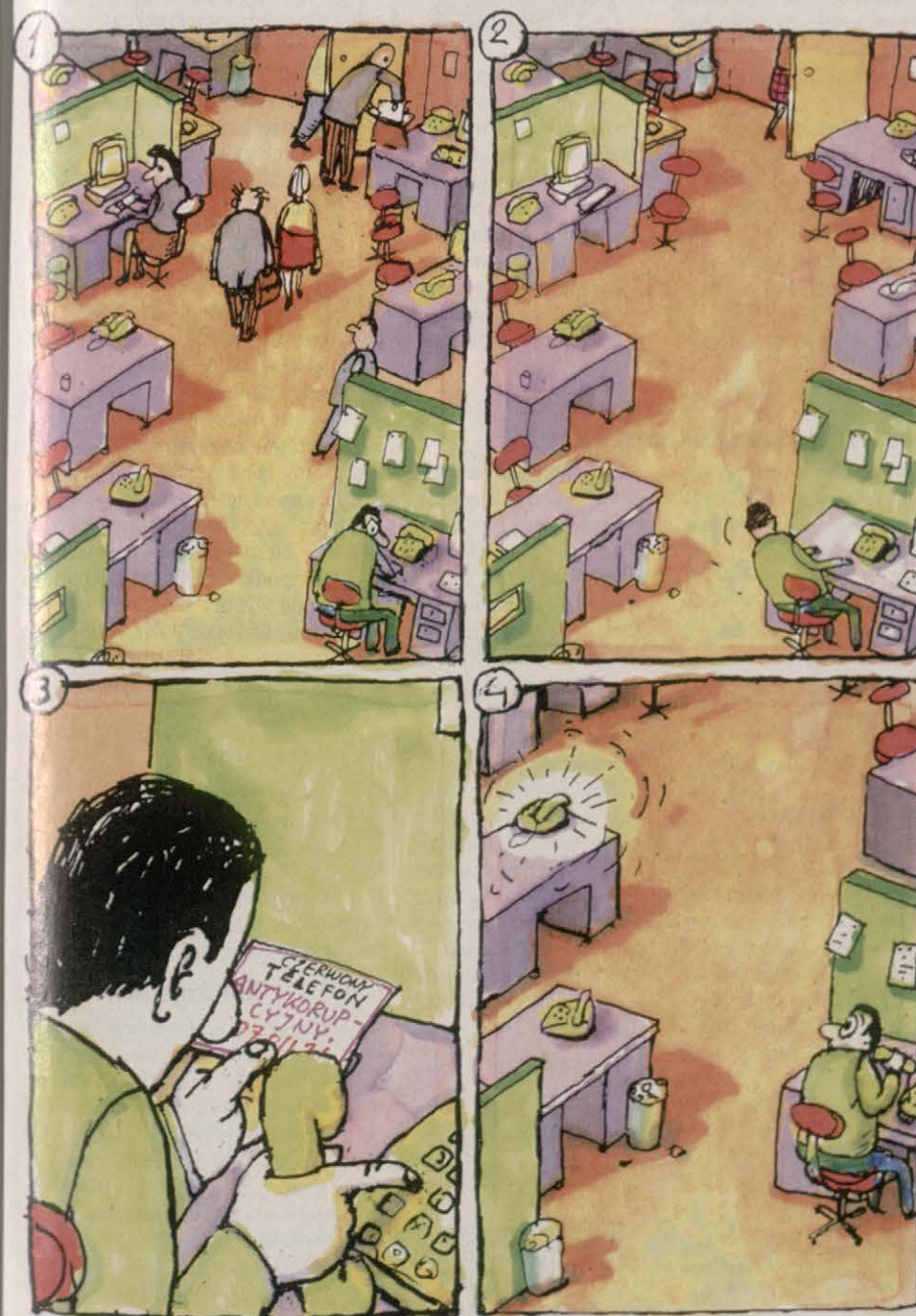
KLER
QUALITY HOME

www.kler.eu SALONY I STOISKI FIRMOWE: Białystok 085 664 90 07, Bielsko-Biała 033 498 71 04, Bydgoszcz 052 373 59 77, Częstochowa 034 368 34 47, Dobrońskie 034 352 91 66, Gliwice 032 279 48 05, Gorzów Wlkp. 095 728 82 83, Jarosław 016 621 04 02, Jelenia Góra 075 647 24 31, Katowice 032 256 61 97, Kielce 041 334 00 06-07, Koszalin 094 347 32 35, Kraków 012 266 38 43, Lublin 081 746 59 09, Lublin 076 724 60 36, Łódź 042 672 46 20, Nowy Sącz 018 547 68 13, Nowy Targ 018 264 10 42, Olsztyn 089 539 04 80, Opole 077 403 01 50, Ostrów Wlkp. 062 735 60 17, Poznań-Komorniki 061 893 50 71, Poznań-Swarzędz 061 815 93 69, Radbors 032 415 07 78, 032 419 08 14, Radom 048 365 57 37, Rybnik 032 423 39 02, Rzeszów 017 850 29 80, Szczecin 091 461 34 67, Toruń 056 678 75 71, Warszawa 022 894 35 61, 022 771 21 90, 022 654 64 04, 022 611 34 49, Wrocław 071 359 09 74, 071 390 19 22, Zielona Góra 068 329 03 06, SALONY I STOISKI AUTORYZOWANE: Belchatów 044 632 87 22, Krosno 013 437 25 04, Sochaczew 046 861 91 21, Stalowa Wola 015 843 28 41, Warszawa 022 638 08 77, BELGIA: Bruksela +35/56755011, USA: Chicago 1/773/7889700, KANADA: Toronto 1/905/8290088.

NA
POCZĄTEK

RACZKOWSKI

NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



**PRZE
KROJ**

PRZED WSZYSTKIM

- 6 | Świat „Przekroju” Katarzyny Janowskiej i Orbita „Przekroju” Piotra Mareckiego
- 8 | Kawa bez cukru Bogdana Rymanowskiego
- 10 | Krótko

KRAJ I ŚWIAT

- 12 | Uczciwe donosicielstwo
- 16 | Gaza – wojna o wodę i jedzenie
- 20 | Koniec squatów w Holandii

SYLWETKA

- 24 | Najszub pyta Wojciecha Waglewskiego o muzykę polityki
- 28 | Zezwierzczenie Tildy Swinton
- 32 | Nadchodzi Marco Rubio – drżj, Obamo!
- 34 | Wyskok Szmala i Skok w bok Olgi Woźniak

CYWILIZACJA

- 36 | Dlaczego kochamy opowieści?
- 39 | Seriale są nam naprawdę potrzebne
- 42 | Śnieg jest trójkątny i basta
- 44 | Korzystaj z ogrzewania w iPhone

KULTURA

- 46 | Wydarzenie: Themersonowie czyli „twórcy szeroko znani w wąskich kręgach”
- 49 | Czwarta strona kultury Bartka Chacińskiego
- 50 | Film: Jim Jarmusch na szóstkę
- 52 | Media: Legenda „New Yorkera”
- 54 | Teatr: Czechow Głińskiej
- 56 | Wzornictwo: Japonia blisko ludzi
- 57 | Książki: Menel Brejdyganta
- 58 | Muzyka: Pat Metheny i jego zabawka
- 60 | Lekitura: Rozmowa z Piotrem M.A. Cywińskim o bajkach z Auschwitz

OTWÓRZ OCZY

- 64 | Frank O’Gehry walczy z geometrią i kryzysem

ZAWSZE W „PRZEKROJU”

- 70 | Rozmaitości z krzyżówką, jolką i felietonami
- 73 | Stopklatka
- 74 | Dziennik Jerzego Pilcha
- 3, 8, 70, 72 | Raczkowski: Rysunki

LAST MINUTE

+ Krzysztof Plyta + Z izby przyjąć: – Wpadłem pod poloneza. – Gdzie? – Na studniówce.

Potańczą albo podziękują

Wywiad Piotra Najstuba z Agustinem Egurolą („Modlitwa nóg na parkiecie”, „Przekrój” nr 2/2010) radykalizował poglądy czytelników co do tańca. Jedni ruszą w płasy, inni dziękują, stoją



Jakoś mi się odechciało tańczyć...

...a lubię. Ale jak pan Agustin o tym mówi, to jakby było obowiązkowe. Nie chcesz tańczyć? Podejrzane! Na pewno chcesz, tylko sam się do tego nie przyznajesz! I sto szkół tańca w Warszawie... Dziękuję, I'll take the road less traveled.
— humpbak 2010.01.21 06:46

Kocham Najstuba

...za to, jak pisze o seksie, że go to rozbawia. Nie pierwszy raz zresztą, kiedyś u Kubry Wojewódzkiego wypowiedział

się w podobnym tonie. No i kocham go za to, bo to takie... niepopularne, a chyba szczere wyznanie.

— agnieszka 2010.01.20 16:56

Brawo, Agustin

Jako płatny obserwator ludzkich zachowań (lekarz z długoletnią praktyką) całkowicie zgadzam się z tezą, że taniec uzewnętrznia, co w nas – głęboko – siedzi, w związku z czym ludzie, mężczyźni zwłaszcza, mogą

czuć się zagrożonymi; a nuż wyjdzie ze mnie coś, czego wolałbym nie objawiać, a nad czym w tańcu mogę nie mieć kontroli!!! Sam, niestety, nie tańczę, bo choć nogi mam sprawne, nie mam wycucia rytmu, czego bardzo żałuję. Te agradesco, Agustin.

Ruszyli na poszukiwanie gwiazd

Najwięcej komentarzy w ostatnich tygodniach pojawiło się pod artykułem Anny Szulc „Dilerzy gwiazd” („Przekrój” nr 51-52/2009). Niemal wszyscy czytelnicy wyrażają zafascynowanie – jedni tematem, drudzy redaktorką Anną

Re: kamole

Jak masz podejrzany kamień, to skocz z nim na jakąś giełdę minerałów i pokaż komuś sprzedającemu meteoryty albo zrób wyraźne zdjęcie i wrzuc na meteorytową listę dyskusyjną: <http://jand.webd.pl/met/index.php>.

— Leszek 2010.01.15 13:03

Świat może być piękny

Dobre dziennikarstwo i dynamiczny tekst, a temat nieprawdopodobny. Czyta się prawie jak „Millennium” Larssona:) Dilerzy gwiazd to bardzo fajni ludzie. Proszę o więcej...

— orange dune 2010.01.14 00:15

Cieszcie się!

Dawno nie czytałem tak fajnego i ciekawego artykułu o meteorytach napisanego nie przez meteoryciarza, ale zwyczajną redaktorkę! Tak trzymać – nie dać się ponieść fantazji, bo fakty są o wiele ciekawsze od wymysłów kiepskich redaktorów! Jest to pierwszy w Polsce merytoryczny i zarazem bardzo ciekawy artykuł o kosmicznych skarbach. I proszę o więcej!
— elhacedor 2010.01.12 19:44

Trochę więcej rzeczy...

...dla których warto żyć w 2010 roku. W tekście z „Przekroju” nr 1/2010 typowaliśmy najbardziej interesujące wydarzenia 2010 roku. Część z nich – jak wiemy – już się nie zdarzy, ale na ich miejsce pojawiają się nowe

Dot. punktu 18

Zapomnijcie o punkcie 18 ww. listy. Nie będzie Camerimage, nie będzie nowego centrum w miejsce dworca... Nic nie będzie.

— zawiedziony 2010.01.15 18:15

78. Koncert AC/DC w Polsce

Po 20 latach AC/DC znowu zagra w Polsce (27 maja w Warszawie)!

Liczcie publikę w dziesiątkach tysięcy!

— thr 2010.01.16 12:48

lol

„73. Poznań będzie miał minaret” – jaja sobie autor robi?? To ma być coś, dla czego warto żyć? Chyba umierać...

— migf 2010.01.15 19:29



Od wtorku do wtorku

Nie wiem, kto sprawił, że ministr Jerzy Pilch zechciał pisać DZIENNIK; ktokolwiek jest autorem tego wspaniałego pomysłu, należy się Jej/Mu nagroda. Czy mogę coś dla Was zrobić w podziękę za ten wspaniały prezent i wielką radość? Nie wiem... więc dziękuję, dziękuję, dziękuję!!!
Chociaż na męki mnie naraziście, bo strasznie dłuży się tydzień między wtorkami.
Od lat zakochana w „patetycznym... innym od zwykłego” języku pana Jerzego P.

Partia Pracy po raz czwarty

(...) W artykule „77 rzeczy dla których warto żyć w roku 2010” („Przekrój”, nr 1/2010), w punkcie, w którym autorzy tekstu odnoszą się do nadchodzących wyborów parlamentarnych w Wielkiej Brytanii, zamieszczone zostało stwierdzenie o ewentualnym (choć mało prawdopodobnym) trzecim z kolei zwycięstwie Partii Pracy. (...) Pragnę podkreślić, że Partia Pracy wygrała wybory trzykrotnie, починаjąc od roku 1997, i obecnie szykuje się do kampanii pod hasłem „O czwartą turę”. Z wyrazami szacunku

doktor Anna Skrzypek

Od redakcji: Dziękujemy Pani za czujność. Oczywiście, że zwycięstwo brytyjskiej Partii Pracy w tegorocznych wyborach parlamentarnych byłoby czwartym z rzędu (a nie trzecim, jak napisaliśmy). Za pomyłkę przepraszamy.

Kolekcja roślinie

Chciałem podziękować za tekst „Inwestuj w polską muzykę!” („Przekrój” nr 3/2010). Po tej publikacji wielu ludzi, którzy płyty trzymali na półkach, ale od dawna ich nie słuchali, wystawiło je na sprzedaż. Dzięki temu uzupełniłem kolekcję o rzeczy, na które dawno polowałem: Perfect „Historie nieznanne”, „Dobranoc” Janerki oraz pojedyncze single Manamu. Żadnego z moich skarbów nie zamierzam sprzedawać, nawet gdy jego cena wzrośnie jeszcze trzykrotnie. Nie po to kolekcjonuję się płyty...

Mirosław Gut, Ostrowiec Świętokrzyski

Dla tych, którzy potrafią wybierać...



KRAKOWSKIE KAMIENICE HERBOWE

Kraków, ul. Poznańska

www.mieszkaniowy.as



Las Polas

Budek z automatami zabraknie, ale palma, by zaszaćleć i wygrać milion, zostanie

KATARZYNA JANOWSKA REDAKTOR NACZELNA

ŻYCIE GOSPODARCZE NIE ZNOSI próżni – tak panowie z branży hazardowej komentują rządowe przymiarki do ograniczenia hazardu. W podtekście subtelne sugestie, że jednoręcy bandyci zjedzą do podziemi i tam swoje żniwo, czy się to komuś podoba, czy nie, kosić będą.

TA CIEKAWA MYŚL NIE DAJE MI spokoju. Widzę już, jak z szarego pejzażu polskich miast i miasteczek znikają zbite z dyktu lub blachy falistej budki z kolorowymi neonami, koniecznie z palmą i napisem „Las Vegas”.

Budek zabraknie, ale palma, by zaszaćleć, wygrać milion i czarną bryką z przyciemnianymi szymbami po okolicy się rozbijać, pozostanie. Jak pokazała artystka Joanna Rajkowska, palmę można wyhodować nawet na środku skrzyżowania w Warszawie. Idąc więc za ciosem, pytam: czemu polskie Las Vegas nie mogłoby powstać ot choćby w miejscowości Las Polas na ścianie wschodniej?

JEŚLI PRÓBUJE SIĘ REGULOWAĆ koryto rzeki, szczególnie jeśli jest to rzeka pieniędzy, warto uważać, żeby przy tej okazji pół uprawnych nie zalać... Zanim więc pojawi się polski Bugsy Malone, który – obawiam się – może nie mieć wdzięku Warrena Beatty'ego w roli gangstera założyciela miasta kasyn, warto w świetle jupiterów i w zgodzie z prawem stworzyć wolną strefę hazardową. Zbudować solidnie z cegły kolorowe i błyszczące miasteczko, w którym opętani palmą wygranej legalnie tracić będą wszystko, co mają.

Wójtowi Las Polasu kamień z serca spadnie, bo zamartwiał się, co zrobią ci, którzy do tej pory w budce z jednorękiem przesiadywali. Czy aby pod urzędem gminnym się nie pojawią i wójtą gdzieś na czymś nie wywożą? A tak najpierw przy budowie kasyn zatrudnienie znajdą, potem, jak już biznes ruszy, w stosowne liberie odziani legitymować wchodzących do krainy utraty skrupulatnie będą. Żadnego smarkacza, który jeszcze nawet w kolejce po dowód osobisty się nie wystąpił, do kasyna nie wpuszczą.

Za murami miasteczka szpital odwykowy powstanie, w którym uzależnieni od utraty leczć się będą. A wiadomo, że detoks od tego się zaczyna, że się choremu rekrutuje wszystko to, co go do zguby przywodzi. Zarekwirowane dobro do kasy gminnej płynąć będzie, a w procencie od całości i państwo dzióbek umoczy. Życie przygraniczne się ożywi. Bracia zza wschodniej granicy, zwabieni nęcącą możliwością przegrania dorobku życia, przybywać zaczęną i swoimi hrywnami, rublami, a może i koronami estońskimi... polską gospodarkę nakręcać będą. Czas dobry ku temu, bo wiadomo, że w kryzysie ludzie chętniej niż kiedykolwiek takim palmom ulegają.

Prace ruszyły z kopyta. Komisja śledcza do spraw afery hazardowej od zmięczenia do świtu zamieszanych przesłuchuje. W Las Polasie w spożywczych jednoręki się zepsuły, bo wczoraj dzieciaki próbowały z niego na siłę piątkę wydobyć. A ja tak sobie tylko gadam.



„Nocnik” polski

Niech Andrzej Żuławski powiedzie nas do walki z dulszczyzną i galareta

PIOTR MARECKI

NA POCZĄTKU LUTEGO DO KSIĘGARŃ I EMPIKÓW W POLSCE TRAFI książka Andrzeja Żuławskiego „Nocnik”. Reżyser od kilku lat nie realizuje filmów, pisze powieści, felietony, eseje. Łącznie 24 tomy. „Nocnik” jest tomem 25. w dorobku. Nowy gatunek literacki „Nocnik” to coś przeciwnego dziennikom. Żuławski inaczej, z dala od czcigodności, z dala od „tonu szlachetnego”, refleksji nad życiem, śmiercią, cywilizacją, nad „ę” i „ą”. A wszystko po to, żeby wpisać się w program zarysowany w książce. Reżyser „Szamanki”, wspominając w „Nocniku” wywiad rzekę, jakiego udzielił w 2008 roku, pisze: „Jak mało mi się chce, prócz tego, by z zacytowania tej książeczki – wywiadu dla „Krytyki Politycznej” – urosło coś na kształt rewolty przeciw dulszczyźnie i zakłamaniu, i beztalenciu, i całemu temu zasranemu kwaśnemu, gównianemu zatorowi Establishmentu, duszącego sobą energię, wolność (właśnie) i świeżość tego, co można i w kinie, i w literaturze, a więc i w polityce, i w myśleniu bezinteresownym...”

Ba, mam ciche poczucie, że Establishment, czyli Ancien Régime, zwycięży, pokona, zdusi, bo dotąd zduszał zawsze, w każdym ustroju, układając się w każdej układance (samego siebie z samym sobą)... Ci oszuści. Ci sklerotycy. Pogarda i lekceważenie, którym nie powinno się dawać głosu na powierzchni, pro publico bono, mogę przynajmniej wypróżnić w ten Nocnik. Po to też został zamyślony”.

Bezkompromisowy, absolutnie wolny Żuławski, nie zwracając uwagi na nikogo (w „Nocniku” dostaje się dosłownie każdemu), przypomina o odwiecznej walce filozofii życia z filozofią skostnienia, zerwania ze status quo, progresywności z zachowawczością, filozofii ruchów z wszechogarniającą galareta. Głosząc i realizując taki program, twórca „Na srebrnym globie” w okresie PRL-u został dwukrotnie usunięty z kraju. Już po transformacji ostatni film w Polsce Żuławski zrealizował 14 lat temu. Pomimo prób nie udało się doprowadzić do nakręcenia kolejnego obrazu w języku polskim (a był to warunek reżysera). Czy te starania o film nie przypominają sytuacji z poprzedniego ustroju? Czy nie powtarza się gest usunięcia niewygodnego artysty, zakneblowania mu ust? Podczas lektury „Nocnika” nasuwa się pytanie, kiedy kolejny film tego chorego na Polskę reżysera zostanie zrealizowany znowu w kraju?

Piotr Marecki, 34 lata, szef Korporacji Ha!art i redaktor naczelny magazynu „Ha!art”, wydawca (między innymi Mariana Pankowskiego, Michała Witkowskiego, Sylwii Chutnik), adiunkt w Instytucie Kultury UJ

CHOCOTELEGRAM

BY *chocolissimo*



...ktoś czeka na Twoją wiadomość?

www.CzekoladowyTelegram.pl

PRZEKROJ Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor Marian Elle
Wydawca: WYDAWNICTWO PRZEKROJ SP. Z O.O., UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 33, FAKS 22 525 99 88, WWW.PRZEKROJ.PL, E-MAIL: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl
ADRES REDAKCJI: UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 33, FAKS 22 525 99 88, WWW.PRZEKROJ.PL, E-MAIL: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl
REDAKTOR NACZELNA: Katarzyna Janowska ZASTĘPCY REDAKTOR NACZELNEJ: Bartek Chaciński, Juliusz Urbanowicz
Magda Gęździńska-SEKRETARIAT: Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33 KULTURA: kultura@przekroj.pl, Małgorzata Sadowska (szef), Marcin Sendek (zastępca szefa), Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak
stałe współpracownicy: Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Mariusz Herma, Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski KRAJ: kraj@przekroj.pl, Krzysztof Szczepaniak, Paweł Wierczok (redaktorzy)
Agnieszka Fiedorowicz, Aleksandra Pawlicka, Igor Ryciak, Anna Szulc, stałe współpracownicy: Piotr Najstubb, Bogdan Rymanowski ZAGRANICA: zagranica@przekroj.pl, Rafał Kostrzyński (redaktor), Maciej Jarkiewicz, Joanna
Wojniczko-Czeczott CYWILIZACJA: nauka@przekroj.pl, Olga Woźniak (szef), Milena Rachid Chehab, Piotr Stanisławski, stałe współpracownicy: Irena Cielieńska, Piotr Kossobudzki ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKA: rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pleszczyński
stałe współpracownicy: Ola Salwa, Kaliber 45 PAN OD RYSUNKÓW: Jacek Ziemiński PRACOWNIA GRAFICZNA: Władysław Buchner (wicedyrektor), Małgorzata Kłoszewska, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski FOTODYSCJA:
foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef), Anna Bajorek, Bogdan Krętel, Marek Szczepaniak, stałe współpracownicy: Kuba Dąbrowski, Tomasz Kniotek, Marcin Zegarek PROJEKT GRAFICZNY: Marek Knap STRONA INTERNETOWA: Marcin
Cichoński KOREKTA: Dorota Dul, Tatiana Hardej REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor ARCHIWUM: Dominika Bok OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Absolut Meat

GREMI GRUPA WYDAWCA: WYDAWNICTWO PRZEKROJ SP. Z O.O., UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 33, FAKS 22 525 99 88
PREZES WYDAWNICTWA: Grzegorz Hajdarowicz DYREKTOR WYDAWNICTWA: Barbara Stanisławczyk PROMOCJA I MARKETING: promocja@przekroj.pl, Agata Stremiecka (szef), Jakub Maszkowski
BIURO REKLAMY „PRZEKROJ”: reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek – dyrektor, tel. 22 525 99 17, Małgorzata Skorupa, tel. 22 525 99 16, Elżbieta Smoleń, tel. 22 525 99 50,
Beata Odrogowska, tel. 22 525 99 51, Eliza Zyromska, tel. 22 525 99 52 DYREKTOR DYSTYBUCJI: Elżbieta Maciążek DRUK: RR Donnelley PRENUMERATA: PRZECZ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu
na konto: Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47a, 00-695 Warszawa, Deutsche Bank Polska SA oddział w Warszawie nr: 34 1880 0009 0000 0011 0112 4002 i wysłać dowód wpłaty faksem:
22 525 99 88 lub e-mail: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty: rocznej – 202,80 zł, półrocznej – 101,40 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji, tel. 22 525 99 69 PRZECZ RUCH SA – RUCH SA prenumerata krajowa
– 804 200 600, prenumerata zagraniczna – 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pol.pl

KAWA BEZ CUKRU

Siła bezsilnych

Jest nadzieja, że ekshumacja Krzysztofa Olewnika wyjaśni wszystkie tajemnice tej okrutnej zbrodni

Bogdan Rymanowski, TVN

O WYDARZENIACH SPRZED DZIEWIĘCIU LAT OPOWIADA, JAKBY to wszystko działo się wczoraj. Zawsze kiedy mówi o Krzysztofie, jej głos drży. Nie potrafi ukryć emocji. Nie umie postrzymać łez. Jeśli miał rację święty Augustyn, że „łzy są kroplami krwi duszy”, to można sobie wyobrazić, co dzieje się w jej wnętrzu. Zwłaszcza teraz, gdy okazało się, że potrzebna będzie ekshumacja. I nie wiadomo, czy w grobie, na którym zapala znicze, naprawdę leży jej brat.

Śledczy oceniają, że na 50 procent to rzeczywiście jest on. Na 45 procent – że to ciało innego mężczyzny. Istnieje też 5 procent szans, że brat żyje. Ona jednak nie chce na razie myśleć o tym, jaką ostateczną wiadomość przyniesie zbliżająca się ekshumacja. Nie chce, bo – jak mówi – okrutne jest grzebanie w nadziei.

Jej szczere wyznania nie mają w sobie nic z ekshibicjonizmu. Trudno w nich dostrzec jakąś wyreżyserowaną narrację. W jej słowach jest ból i smutek, które nikogo nie pozostawiają obojętnym. Tak jak cała ta historia, w której zbiegły się ze sobą piękna miłość, okrutna zbrodnia i szlachetna walka.

Była od niego starsza o trzy lata. To właśnie siostrze Krzysztof powierzał wszystkie swoje sekrety. „Zawsze trzymała jego stronę, kiedy trzeba, pocieszała albo chwaliła. A kiedy dorósł, nadal traktowała Danusię jako powiernicę swoich, teraz już męskich tajemnic. Miał powodzenie u dziewczyn, siostra rosła w dumę, kiedy koleżanki zachwycały się jego urodą. Często razem chodzili na imprezy” – tak Sylwester Latkowski i Piotr Pytlakowski opisują ich wzajemne relacje w „Śmierci za 300 tysięcy”.

Wystarczy spojrzeć na stare fotografie, aby zrozumieć, dlaczego po uprowadzeniu Krzysztofa tak bardzo, wręcz rozpaczliwie zaangażowała się w jego uwolnienie. A później z taką determinacją walczyła o znalezienie tych, którzy stoją za morderstwem. Zdjęcia pokazują to, co w tej sprawie najważniejsze – wielkie uczucie.

Była w czwartym miesiącu ciąży, gdy porywacz zaczął domagać się okupu. Zażądali, aby przyjechała na wskazany wcześniej wiadukt, a pieniądze zrzuciła na ulicę. Kiedy wracała, była przekonana, że cały ten koszmar wreszcie się kończy, a Krzysiek wróci do domu. Dlatego swojej córce nadała imię Nadia – miało być wyrazem nadziei, że brat żyje.

Nadzieja skończyła się w październiku 2006 roku, gdy po wskazaniu jednego z morderców odkopano zwłoki. Na krótki, trwający kilka sekund moment odżyła w czasie procesu, kiedy milczący do tej pory Robert Pazik wstał z ławy oskarżonych i powiedział: „Przepraszam. To wszystko jest nieprawda”. Kilkanaście miesięcy później już nie żył. Oficjalnie stwierdzono samobójstwo. Tak samo było w przypadku dwóch innych sprawców.

Nie piszę o tym, aby po raz kolejny okazać wściekłość i wstyd, że to wszystko – skandaliczne zaniedbania, niedołężność albo manipulacje śledczych, seria tajemniczych

śmierci zabójców – wydarzyło się w moim państwie. Mam nadzieję, że ktoś za to odpowie. Piszę, bo chciałbym złożyć hołd osobie, która zaważnęła sercami Polaków i stała się w ciągu ostatnich lat bohaterką naszej zbiorowej wyobraźni.

Jej nieprzeciętna uroda to tylko część wyjaśnienia tego fenomenu. Przyczyną powszechnej solidarności i ogólnonarodowego współczucia dla rodziny Olewników jest rzecz dużo ważniejsza. Jest nią siła tej, wydawałoby się, bezsilnej kobiety. Jej niezwykle charakter i odwaga, z jaką prowadzi swoje prywatne śledztwo. Jej ból stał się naszym bólem. A Danuta Olewnik stała się symbolem. Tych wszystkich, którzy samotnie walczą o osądzenie kryjących się w cieniu sprawców przestępstw.

„Jestem WIELKIM PRZEGRANYM, bowiem straciłem syna. Będę jeszcze WIĘKSZYM PRZEGRANYM, jeśli nie będę dociekał prawdy, której odkrycie będzie możliwe tylko wtedy, gdy przyjdą mi z pomocą ludzie mający wpływ na wymiar sprawiedliwości” – tak w chwili największego zwątpienia mówił Włodzimierz Olewnik. Ostatnie sensacyjne informacje ze śledztwa gdańskiej prokuratury dowodzą, że ojciec i siostra Krzysztofa znaleźli nareszcie tych, których pomocy tak długo szukali. □



Chciałbym złożyć hołd osobie, która zaważnęła sercami Polaków i stała się w ciągu ostatnich lat bohaterką naszej zbiorowej wyobraźni

WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



MAGAZYN LUDZI WYJĄTKOWYCH



W najnowszym numerze również:

- Paprocki i Brzozowski – polscy Dolce&Gabbana
- Jude Law – wiarołomny nawrócony
- Królowa Elżbieta II kontra synowe
- Jacek Santorski: Czym kończy się seks w pracy

SIĘGNIJ PO SUKCES

KRÓTKO

SOLTYŚ JEDNEJ Z GMIN ULEPIŁ 11 BAŁWANÓW
SYMBOLIZUJĄCYCH RADNYCH

Demokrati na deskach

Reforma zdrowia w USA miała być głównym osiągnięciem Obamy. Ale zawisła na włosku

REFORMA MIAŁA ZAPEWNIĆ ubezpieczenia zdrowotne wszystkim Amerykanom. Teraz wygląda na to, że Barack Obama będzie musiał przystać na jej okrojona wersję. Powód to pierwsze od 38 lat zwycięstwo kandydata Republikanów (Scotta Browna) w wyborach uzupełniających do senatu w stanie Massachusetts. Demokraci stracili w senacie większość wymaganą do przegłosowania swojego ambitnego projektu. Obama już zapowiedział konsultacje międzypartyjne w sprawie reformy.

— mac



Nadchodzi kataster

Rząd zrobił pierwszy krok do wprowadzenia podatku katastralnego

RZĄD ZABRAŁ SIĘ WRESZCIE do tworzenia Zintegrowanego Systemu Informacji o Nieruchomościach. Do bazy mają trafiać informa-

cje o wszystkich działkach i budynkach w kraju. Po jej stworzeniu będzie można wprowadzić podatek katastralny. W zeszłym tygodniu po raz pierwszy zebrał się rządowy zespół, który ma się zająć wdrażaniem systemu. Podatek katastralny jest nakładany według wartości, a nie – tak jak jest dziś – wielkości nieruchomości. Mieszkańcy centrów miast, których nie będzie stać na opłacanie podatku, będą więc musieli przenieść się na ich peryferia.

— iggy

Hop i do tramwaju

Zamiast kupować porządne autobusy, w Krakowie wymyślili nowy zawód – podsadzacza

OD MARCA W KRAKOWIE na przystankach w centrum miasta staną ubrani w specjalne mundury asystenci. Pomogą osobom starszym, niepełnosprawnym oraz kobietom z wózkiem wsiadać do autobusów i tramwajów. Będą też informować o rozkładzie jazdy. Na początek zostanie zatrudnionych 10 osób. Jeśli praca asystentów zyska uznanie, urząd miasta zwiększy zatrudnienie. Pensja podsadzacza to 20 złotych za godzinę. System – gdyby miał sensownie funkcjonować – potrzebowałby zatrudnienia aż 1900 osób. Tyle w Krakowie jest przystanków. Projekt będzie finansowany ze środków UE.

— aj

WODA I ŻYWNOSĆ DLA HAITI



Desant pomocy

To nie kolorowe zdjęcie z 1944 roku przedstawiające słynny desant alianatów na Arnhem w Holandii, ale desant pomocy humanitarnej w Port-au-Prince, stolicy Haiti. Tylko w ciągu jednego dnia amerykańskie wojsko zrzucało Haitiaczkom 14,5 tysiąca gotowych posiłków i 15 tysięcy litrów wody. Amerykanie zdecydowali się na zrzuty, bo korek na lotnisku i chaos na drogach sprawiają, że pomoc do wielu miejsc nie dociera. Liczba ofiar śmiertelnych trzęsienia ziemi może sięgnąć nawet 200 tysięcy. Tylu mieszkańców liczy Toruń.

— syl

SŁUŻBA ZDROWIA ANNA SZULC

Przepisem w lekarza

Narodowy Fundusz Zdrowia rozpoczął polowanie na lekarzy, którzy w trosce o zdrowie pacjentów łamią idiotyczne przepisy

WYOBRAŹMY SOBIE EMERYTKĘ, KTÓRA ze złamaną nogą trafiła do szpitala. Na oddziale w trakcie leczenia może poruszać się za pomocą balkonika. W domu jednak go nie ma. Na sprzęt ortopedyczny refundowany przez NFZ czeka się w Polsce co najmniej kilka tygodni. Lekarze wiedzą o tym doskonale i wypisują zlecenie na balkonik jeszcze w czasie jej pobytu w szpitalu. Dzięki temu jest szansa, że rodzinie uda się w terminie załatwić sprzęt i chora opuści placówkę o własnych siłach. – Lekarze, wypisując zlecenia, kierują się po prostu sercem – wyjaśnia Adam Waligórski, wnuk pacjentki, która kilka tygodni temu po operacji nogi opuściła jeden z krakowskich szpitali.

Problem w tym, że lekarze pracujący w szpitalach nie mogą – jak mówią przepisy – wypisać pacjentowi zlecenia na sprzęt potrzebny mu po wyjściu do domu, dopóki nie sporządzą szpi-

talnego wypisu. Muszą liczyć się nawet z tym, że NFZ obciąży ich kosztami tego sprzętu.

Podobna sytuacja dotyczy leków. Jeśli pacjent trafił do szpitala z zawalem, a jest też chory na mukowiscydozę, szpital ma obowiązek dać mu lek, który pacjent zażywa i na tę drugą chorobę. Często jednak placówki nie mają na stanie rzadkich leków. A nawet jeśli, to szpital musi za niego zapłacić pełną kwotę, podczas gdy chorzy mają zniżki. Co więcej, przepisy mówią, że podczas pobytu w szpitalu pacjent nie ma prawa korzystać z żadnych innych świadczeń medycznych! – W efekcie, by nie narazić pacjenta na utratę zdrowia i życia, wypisujemy recepty na inną osobę, na przykład na członka rodziny chorego – ujawnia nam chirurg z jednego ze szpitali we Wrocławiu. Anna Niedźwiecka ze Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie: – Te przepisy są po prostu nieludzkie.



Zbiieractwo i polityka

NBP UDERZA W KOLEKCJONERÓW

NARODOWY BANK POLSKI STWORZYŁ fundację, która ma promować kolekcjonerstwo. Na razie jednak średnio jej to wychodzi. – Tak jak kiedyś Poczta Polska zniszczyła rynek znaczków, tak teraz NBP niszczy rynek kolekcjonerów monet – ocenia Mariusz Jakimiuk, współwłaściciel sklepu Numizmatyczny.pl. Od nowego roku NBP sprzedaje monety kolekcjonerskie przez aukcje

ROZMOWA

Newsy luksusem?

Czy wprowadzenie opłat za dostęp do serwisów jednej z największych gazet świata będzie przełomem w dziedzinie informacji?

„The New York Times” zapowiedział, że będzie pobierał opłatę za czytanie artykułów w sieci. Czy to początek końca darmowej informacji w sieci?



dr hab. **Kazimierz Krzysztofek**, socjolog z Wyższej Szkoły Psychologii Społecznej

– Nie. Ludzie są przyzwyczajeni, że informacja w sieci jest darmo, i oczekują, iż tak zostanie, bo zapłacili przecież za usługę dostarczenia Internetu. Ci, którzy nie chcą płacić, przetrzącają się na inne darmowe źródła. Takie serwisy jak płatny „NYT” znajdują może klientelę wśród tych, którzy chcą wiarygod-

nej informacji: naukowców, ludzi kultury, biznesu czy mediów. Ale trudno przewidzieć, czy będzie to wystarczająco szeroka grupa, żeby na niej zarobić.

Ala gdyby jednak takie dzienniki jak „NYT” zaczęły plajtować, co stanie się z profesjonalną informacją? Ktoś musi ją tworzyć, by potem w Internecie mogła być przetwarzana?

– Profesjonalne dziennikarstwo przetrwa, ale najprawdopodobniej będzie go o wiele mniej niż dziś. Obserwujemy postępującą dezurnalizację. Pracę dziennikarzy zastępują dziś serwisy informacyjne tworzone przez różnego typu organizacje, firmy, instytucje. Proszę wejść na stronę policii, tam jest wszystko. Do tego dochodzi dziennikarstwo społeczne, blogi. Profesjonalni dziennikarze będą w niedalekiej przyszłości stanowić bardzo wąską grupę, a informacja, jaką oferuje choćby „NYT”, stanie się luksusem.

— not. mac

internetowe. W efekcie stali kolekcjonerzy, nawet jeśli wystartują w aukcji, nie mają gwarancji, że kupią upatrzoną monetę. – Taka polityka narodowego banku zniechęca ludzi, którzy od lat zbierają całe kolekcje monet. Starzy kolekcjonerzy mówią nam teraz: zbieranie monet nie ma sensu – opowiada Jakimiuk. Do niedawna stali kolekcjonerzy mieli wykupione abonamenty w firmach numizmatycznych, więc byli pewni, że monety, które zamówili, będą ich. Teoretycznie stali kolekcjonerzy mogliby kupować monety na przykład na Allegro po wyższych cenach.

Ale NBP wprowadził przecież nowy system sprzedaży, by ukroić spekulację. Dziś sprzedają przez Internet zajmuje się specjalnie w tym celu utworzona Fundacja NBP, w której na stanowisku prezesa obsadzono Eryka Pyrę, wiceszefa Agencji Rozwoju Przemysłu za rządów PiS oraz dyrektora w Urzędzie Miasta Warszawy za czasów Lecha Kaczyńskiego. Na świecie dystrybucją monet często zajmują się prywatne mennice. W Polsce jest ich już kilka, więc wprowadzenie u nas takiego modelu sprzedaży byłoby możliwe. – szcep



To najnowsza moneta NBP.

Wielu kolekcjonerów nie miało żadnej szansy jej kupić



Odkryj rajskie warunki

- nawet o połowę tańsze połączenia,
- niezmiennie warunki przez całą umowę,
- megafunkcyjny i multimedialny HTC HD2 z ogromnym 4,3-calowym ekranem dotykowym, aplikacjami Windows® phone i intuicyjną obsługą – już od 1 zł (1,22 zł z VAT).

Przyjdź do punktu Plusa lub zadzwoń: 605 801 801, 605 801 603 (opłata zgodnie z cennikiem operatora), lub sprawdź na www.plus.pl. Oferta również dla Klientów, którym kończy się kontrakt.

Plus dla Firm. Razem lepiej

htc

Plus dla Firm

KOCHAJCIE DONOSICIELI

KOCHAJCIE, DO JASNEJ CHOLERY!

EUFORIA TO ZA DUŻO POWIEDZIANE. PO CZUŁEM niewyobrażalną ulgę. Proszę sobie wyobrazić: dwa lata walki, szykan, potem proces. Mój był pracodawca mieszał mnie z błotem. Wmawiano mi, że zostałem wyrzucony na własne życzenie i z własnej winy. I oto sąd oświadcza, że pracodawca postąpił niesłusznie – Piotr Sułek, spokojny 40-latek, uśmiecha się na wspomnienie 8 grudnia 2009 roku. Tego dnia Sąd Rejonowy dla Warszawy-Żoliborza przyznał pozywającemu Sułkowi prawie 10 tysięcy złotych odszkodowania, a wypowiedzenie mu pracy uznał za nieuzasadnione.

– To wyrok bezprecedensowy, niezwykle ważny – podkreśla teraz Maciej Bernatt z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, która od początku angażowała się w to postępowanie. – Sąd mocno podkreślił, że w sprawie pojawił się problem tak zwanego whistleblowera, czyli osoby, która decyduje się na ujawnienie nieprawidłowości w swojej pracy i w związku z tym doświadcza represji ze strony pracodawcy.

Miesiąc po ogłoszeniu wyroku siedzę z Piotrem Sułkiem przy stoliku warszawskiej kawiarni. Przed nami sądowe papiery. – Jak smakuje zwycięstwo? – pytam. – Gorzko – odpowiada. – Gdy opadły pierwsze emocje, zdałem sobie sprawę, że nie wygrałem. Były pracodawca osiągnął swój cel: pozbyto się mnie.

Dwa lata temu miał normalne życie, rodzinę, ciekawą i stabilną pracę redaktora naczelnego firmowego tygodnika „Pocztą Polska” wydawanego przez spółkę Post Media Serwis (teraz Post-Tel). – Z racji funkcji często spotykałem się z szefem Poczty. Wydawało mi się, że możemy otwarcie rozmawiać o trudnych sprawach – wspomina. – I co ja takiego zrobiłem? Po prostu w trudnej dla Poczty sytuacji wskazałem, w dobrej wierze, źródło oszczędności – Piotr Sułek znów się uśmiecha. – Oczekuję jeszcze przywrócenia do pracy przez sąd. Żeby poczuł sprawiedliwość – podsumowuje.

Pytam, czy po tym, co go spotkało w byłej firmie, ma ochotę wracać. Odpowiada: – Chcę wrócić do redakcji z wyrokiem sądowym, z podniesionym czołem. I powiedzieć: miałem rację.

Walczę z przekrętami

– Potrzeba poinformowania, że „źle się dzieje”, tkwi w większości z nas. Różni nas tylko próg tolerancji na nieprawidłowości – tłumaczy doktor Wojciech Rogowski, specjalista nadzoru korporacyjnego ze Szkoły Głównej Handlo-

INFORMUJĄ, BY OCALIĆ LUDZKIE ŻYCIE, PIENIĄDZE, A CZASEM TYLKO PO TO, BY UCZYNIĆ OSIEDLE BEZPIECZNIEJSZYM. ZAMIAST NAZYWAĆ ICH POGARDLIWIE DONOSICIELAMI, WSTĘPUJMY W ICH SZEREGI

wej w Warszawie. I rysuje człowieczka: – Proszę sobie wyobrazić, że wdępnaliśmy w bagno. Gdy sięga nam po kostki, większość nie reaguje. Zakładamy kalosze, podwijamy nogawki. Gdy sięga piersi, zaczyna utrudniać oddychanie. Wszyscy są już zanurzeni po szyję, ale często nadal udają, że nic się nie dzieje. I wreszcie ktoś zaczyna krzyczeć. Sprowadza pomoc i ratuje pozostałych. Jeśli nikt nie zakrzyknie, to wszyscy utoniemy.

Tadeusz Pasierbiński, 67-letni ginekolog z podkatowickiego Mikołowa, nie wygląda na rewolucjonistę. Z początku mówi spokojnie, jednak kiedy zaczyna opowiadać o „sprawie”, jego głos potężnieje, jakby od środka rozpałał go ogień. – Wolę walki mam we krwi – oświadcza. – Ojciec zginął w 1944 roku w więzieniu na stołecznym Pawiaku jeszcze przed moim urodzeniem. Stryj poległ pod Tomaszowem Lubelskim. A ja walczę z przekrętami.

Nic nie zapowiadało, że i on zostanie bojownikiem. – Za komuny trzymałem się z boku. Żyłem dla rodziny. W 1988 roku zrobiło się naprawdę ciężko. W sklepach pustki, dzieci malutkie. Wyjechałem na kontrakt do Libii – wspomina. Półtora roku później wrócił. Został radnym, najpierw gminy, potem powiatu. Pracował w szpitalu. Szanowany, lubiany. – Koledzy namawiali mnie nawet, żebym kandydował do okręgowej izby lekarskiej. Powtarzali: „Tadziu, jesteś uczciwy, to powinieneś pilnować, żeby z naszego szpitala nikt sobie folwaru nie robił”. Chyba za poważnie wziąłem sobie to do serca – wzdycha Pasierbiński.

Kwiecień 2001 roku pamięta tak dobrze, jak zapamiętałby początek wojny. Z powiatowego szpitala odchodzi na emeryturę ordynator gine-

kologii. Pasierbiński z kolegami z oddziału niecierpliwie czeka na następcę. – Stary ordynator był dobrym fachowcem, ale na nowych metodach leczenia się nie znał i nam nie pozwalał się uczyć. Miał więc przyjść nowe, lepsze, wyłonię w konkursie. Ale pewnego dnia usiadłem z kandydującym na stanowisko ordynatora lekarzem i ten mówi, że gdy zgłosił się z papierami do wojewódzkiego konsultanta do spraw ginekologii, usłyszał: „Panie kolego, Mikołów jest już obsadzony”. W takiej sytuacji konkurs to fikcja – mówi Pasierbiński. Rozpytuje, zasięga języka o przyszłym szefie. – Włos mi się zjeżył. Usłyszałem, że rozwalili zespół na oddziale w poprzednim szpitalu, a jego niekompetencja doprowadziła do zagrożenia życia pacjentów – opowiada.

Doktor Pasierbiński o wątpliwościach informuje okręgową izbę lekarską. Na próżno – kandydat wygrywa konkurs. Pasierbiński jest radnym powiatu, więc ostrzega radę, która zaleca dyrektorowi szpitala, by nie zatrudniał kandydata. – Tamten wzywa na pomoc swego protektora, czyli konsultanta, profesora zresztą. Profesor prosi po dobroci: „Panie Tadeuszu, to dobry fachowiec, o co panu chodzi?” – mówi lekarz.

Przepychanki trwają rok. Wreszcie sąd decyduje – rada nie miała kompetencji, by zakazać zatrudnienia ordynatora. Nowy szef obejmuje stanowisko. Pasierbiński jest zdruzgotany.

Demaskator, ale kapuś

– Takich ludzi nazywa się whistleblowerami, czyli w dosłownym tłumaczeniu „dmuchającymi w gwizdek”. Nazwa pochodzi od brytyjskich policjantów, którzy używają gwizdka w przypadku niebezpieczeństwa. Dziś nazywa się tak osoby, które będąc świadkiem bezprawnego działania, zabiegają o jego wyeliminowanie – tłumaczy Anna Wojciechowska-Nowak, ekspert z Fundacji Batorego, która w ramach Programu Przeciw Korupcji bada problematykę społecznych informatorów i im pomaga. Nie lubi słowa „donosiciel”. – Nawet z dodatkami „społeczny” to słowo źle się w Polsce kojarzy – twierdzi. Woli nazywać ich „sygnalistami” lub „demaskatorami”. Niestety, zamiast doceniać ich poświęcenie, większość społeczeństwa przylepia im łatkę kapusia.

– To kwestia mentalności narodowej – ocenia profesor Nikolai Genov, socjolog z Freie Universität, jednej z czterech największych uczelni w Berlinie. – W języku niemieckim słowo →

→ „informer” jest neutralne, a informowanie obywatelskie jest zupełnie normalną postawą. Sąsiad bije dziecko? Dzwonisz do instytucji chroniącej dzieci. Pali śmieci? Do ekologicznych służb porządkowych – wyciąga. Pomaganie władzy wyrasta w Niemczech z zaufania do systemu. – Tymczasem w młodych demokracjach państw wschodnich postawa obywatelska wciąż wyrażana jest poprzez bunt wobec władzy – mówi profesor.

– W Polsce z władzą walczyliśmy za zaborów, okupacji i za komuny. A współpraca z nią dla wielu równała się zbrodni – tłumaczy doktor Rogowski. – Trudno o tym zapomnieć.

Ratuję firmę, a więc wszystkich

15 lutego 2008 roku w południe Piotr Sulek odbiera telefon z redakcji. Dzwonią współpracownicy: „Piotrek, przyjeżdżaj natychmiast, coś złego się dzieje. Komisyjnie pakują twoje rzeczy, a pani prezes przed chwilą oświadczyła, że przedstawi nam nowego naczelnego” – relacjonuje Sulek. Jest zaskoczony. Od trzech dni siedzi w domu na zwolnieniu, bo opiekuje się trójką przeziębionych dzieci. – Zero SMS-ów, e-maili, że chcą mnie zwolnić. Dzwonię do pani prezes i do szefa Poczty. Uspokajają: „Pan przyjeździe, wyjaśnimy” – opowiada Piotr Sulek. – Zaproszono mnie na spotkanie z zarządem. Nie pojechałem. Gdybym to zrobił, pracodawca mógłby mi potem zarzucić, że ukrywałem się na zwolnieniu lekarskim – wspomina.

W piśmie skierowanym do naszej redakcji Spółka Post-Tel wyjaśnia teraz: „Pan Piotr Sulek korzystał z długotrwałego zwolnienia lekarskiego, w związku z czym zaszła konieczność powierzenia jego obowiązków innej osobie”. – Gdy tak wtedy siedziałem w domu, wszystko zaczęło mi się układać. To było pierwsze ostrzeżenie – mówi. Przed czym? – Bo powiedziałem głośno to, o czym inni tylko szeptali – wyjaśnia. W pocztowym tygodniku Piotr Sulek pracuje od 2006 roku. Dziwi się, po co zatrudniając średnio 26 osób spółce aż 4 prezesów i tyluż podległych im dyrektorów. O tym, że są to stanowiska, na które rządzący politycy (wówczas PiS) „upychają” swoich ludzi, plotkuje cała redakcja. – Ale tylko ja poruszyłem ten temat w rozmowie z prezesem Poczty. Trochę żartem zauważyłem, że tak duży zarząd generuje koszty – opowiada Sulek.

Po odsunięciu od obowiązków przystępuje do kontraktacji. – Trzeba było coś zrobić. Akurat w całej Poczcie robiło się gorąco: związki zawodowe szykowały strajk generalny. W czasie negocjacji podwyżek każda dodatkowa suma pieniędzy była na wagę złota. A stawka była wysoka: szansa na uniknięcie strajku, który na co najmniej tydzień sparaliżowałby Poczcie, a co za tym idzie – cały kraj – mówi Piotr Sulek. – Poza tym czułem, że firma może chcieć poszukać oszczędności nie w gronie dyrektorskim, ale pracowniczym. I zwolni część moich dziennikarzy – dodaje. O niegospodarności w spółce pisemnie poinformował sprawującego kontrolę nad Poczcią wiceministra infra-

struktury. Ministerstwo nie jednak nie zrobiło. – Po kilku tygodniach udostępniłem list dziennikarzom „Gazety Wyborczej”. Kilka dni po publikacji zwolniono mnie dyscyplinarnie. Pracodawca „utrącił do mnie zaufanie” – wspomina. Postawiono mu też zarzut „ujawnienia tajemnicy służbowej”. W tekście bowiem została podana kwota, jaką Poczta wypłaca na utrzymanie tygodnika – 4,1 miliona złotych, z czego ponad połowa, jak sugerował Sulek, to wynagrodzenia prezesów. Tyle że dane te były jawne i dziennikarze wyciągnęli je z Krajowego Rejestru Sądowego. Sąd więc tego powodu nie uznał za zasadny. Dlatego dziś w piśmie do redakcji Post-Tel informuje, że powodem wypowiedzenia był między innymi „brak kompetencji do zajmowania stanowiska”.

Po wyrzuceniu z pracy Sulek został sam. Koledzy współczuli, ale po cichu. Przypadkowo spotkana dawna współpracownica rzuciła wprost: „Jak mogłeś nam zrobić takie świństwo?” – Jak to? Przecież chciałem ratować firmę, a więc nas wszystkich? – zastanawiał się. – Osoby, które sygnalistów nazywają donosicielami, prawdopodobnie nie widzą, że nabieranie wody w usta przekłada się na niezapłacone podatki, czyli na biedne szkoły, brak przedszkola na moim osiedlu, a ustawiony przetarg to dziurawa droga. Sygnalista działa w poczuciu ochrony interesu społecznego, jednak ostatecznie to, co robi, przekłada się na interes jednostkowy – mówi Anna Wojciechowska-Nowak z Fundacji Batorego.



Straciłem pracę, a pieniądze wydałem na prawników. Wykańczał mnie stres, ale po wyroku przynajmniej odzyskałem honor

PIOTR SULEK

Tymczasem z badań globalnej firmy consultingowej PricewaterhouseCoopers wynika, że koszty ponoszone przez społeczeństwo, które nie promuje obywatelskiego informowania, mogą być gigantyczne (jak szacuje raport, w USA sięgają pięciu procent PKB). – Dokładne straty trudno ocenić, bo na przykład brak donosicielstwa promuje wynosicielstwo, czyli kradzież – uważa doktor Rogowski. – W do-

datku bez informatorów nie jesteśmy w stanie zapobiegać wielu poważnym zagrożeniom powodowanym przez wcześniej niewykryte zaniedbania – mówi doktor Rogowski. – Dlatego w USA, kołbce whistleblowingu, pierwsze struktury etyczne promujące społeczne informowanie powstawały w latach 70. we wrażliwych na zagrożenia sektorach, jak lotnictwo, zbrojeniówka, służba zdrowia.

W USA prawie jedna trzecia oszustw i nadużyć w firmach wykrywana jest dzięki informatorom – wynika z raportu PricewaterhouseCoopers. Sygnaliści są przecież najlepszymi szpiegami, bo potrafią wykryć niedostrzegalny dla kogoś z zewnątrz mechanizm przekrętu.

We wtorek 21 listopada 2006 roku Irek Brański zatrudniony w firmie MARD jako górnik strzałowy, wychodząc do pracy, przytulił swoją żonę Monikę i mówi: „Moniś, gdyby mnie zabrakło, to ty sobie życie ułóż”.

Wiadomo – górnik, który rano zjeżdża do kopalni, nigdy nie wie, czy wróci. Ale zwykle o niebezpieczeństwie głośno nie mówi. Irek tymczasem na kilka tygodni przed tragedią zaczął opowiadać: „Boję się tam zjeżdżać. Już tylko na dole bomba. Tylko patrzeć, jak wybuchnie i będzie tragedia” – Monika wspomina słowa męża. W tamten wtorek o godzinie 16.30 w kopalni Halemba w Rudzie Śląskiej 1030 metrów pod ziemią eksplodował metan.

Śledztwo wykazało, że kierownictwo lekceważyło przepisy bhp, oszukując czujniki metalowe. Znając zagrożenie, posłało ludzi na dół. O nieprzestrzeganiu zasad wiedzieli też górnicy. Jednak mówili o tym tylko żonom. Nikt nie poinformował na przykład inspekcji pracy. Pod ziemią zginęły 23 osoby, w tym mąż Moniki.

Donosiciel człowiekiem roku

25 kwietnia 1970 roku „New York Times” napisał o skandalicznych przypadkach korupcji w nowojorskiej policji. Autorem doniesień był policjant Frank Serpico, który bezskutecznie informował o nich swoich przełożonych przez trzy lata. Ignorowano go, więc poszedł do mediów. Powołana po wybuchu skandalu komisja potwierdziła rewelacje Serpica.

W 1989 roku w USA weszła w życie Whistleblowers Protection Act, pierwsza w USA ustawa stwarzająca nie tylko możliwość bezpiecznego donoszenia, ale także broniąca przed odwetem ze strony otoczenia.

Dzięki zeznaniom Jeffreya Wiganda, naukowca pracującego dla koncernów tytoniowych, w 1996 roku ujawniono, że firmy ukrywają wyniki badań o szkodliwości palenia na zdrowie. W efekcie wypłaciły 246 miliardów dolarów odszkodowań.

W 2001 roku po donosie Sherron Watkins, wiceprezes do spraw rozwoju w energetycznym koncernie Enron, na jaw wyszły malwersacje w spółce, a upadek firmy zatrząsł amerykańską giełdą.

Rzesza sygnalistów rośnie, a wraz z nią społeczna akceptacja dla ich misji. Watkins w 2002 roku została wybrana na Człowieka Ro-

ku tygodnika „Time”, a Hollywood z powodzeniem zekranizowało biografie takich whistleblowerów jak Serpico czy Wigand. Wielu angażuje się w pomoc kolejnym whistleblowerom, prowadząc autorskie stowarzyszenia lub blogi. – Choć sygnaliści mają czasem swoje pięć minut sławy i poczucia zwycięstwa po ujawnieniu nadużycia, to gdy światła reflektorów gasną, sygnalista ze swoim problem zostaje sam – mówi Anna Wojciechowska-Nowak.

Sygnalista w odstawce

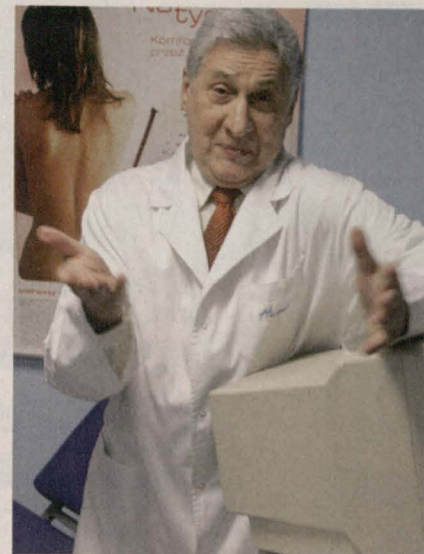
Po zatrudnieniu nowego ordynatora Pasierbiński czuje się szykanowany. Po kontroli na oddziale lekarz zostaje odsunięty od dyżurów. Grunt pali mu się pod nogami. Ci, którzy dotąd stali za nim murem, zaczynają szeptać, że coś z Pasierbińskim musi być nie tak. – Po kontroli wpłynęło doniesienie do prokuratury, że przyczynił się do zgonu płodu. Sprawę później umorzono, ale ferment zasiano – wspomina lekarz. Niektórzy znajomi wprost powiedzieli: „Nie zadaję się w to pakować”.

Doktor traci popularność, przegrywa kolejne wybory do rady powiatu, gwałtownie pogarsza się jego sytuacja finansowa: odsunięcie lekarza od dyżurów to cios, bo zapłata za nie to często połowa miesięcznego dochodu. Konflikty narastają też w domu. Żona powtarza: „Po coś się w to pakował?”.

– Nowy szef mnie nie znosi, zwłaszcza że stoję w obronie krytykowanych przez niego kolegów – mówi Pasierbiński. W końcu zostaje przeniesiony do przychodni pod miastem. Zdeterminowany donosi o zachowaniu ordynatora do komisji rewizyjnej rady powiatu. Ordynator zostaje zwolniony. Ale wraz z nim dyscyplinarnie wylatuje też Pasierbiński. Krystyna Smoczyńska, dyrektor mikołowskiego ZOZ, w rozmowie z nami wyjaśnia, że powodem zwolnienia było „ujawnienie tajemnicy lekarskiej”. W jednym z donosów bowiem Pasierbiński podał nazwiska pacjentek, domniemanych ofiar błędów ordynatora. – Miałem ich zgody na piśmie – broni się lekarz.

– Z naszych obserwacji wynika, że prawo nie chroni sygnalistów przed zwolnieniem – ocenia Anna Wojciechowska-Nowak. – Nierzadko teza, że zwolnienie jest formą odwetu pracodawcy, nie jest w postępowaniu sądowym w ogóle badana – podkreśla. A to dlatego, że – zgodnie z kodeksem pracy – aby skutecznie rozwiązać umowę, wystarczy wskazać jedną przyczynę. Jeśli będzie to likwidacja stanowiska pracy, nawet fikcyjna, sąd ograniczy się do sprawdzenia, czy stanowisko naprawdę zostało zlikwidowane. Ponadto w Polsce to pracownik musi wykazać, że został zwolniony za whistleblowing – odwrotnie niż w krajach chroniących informatorów.

– Podstawowym problemem jest brak w Polsce wyspecjalizowanych agend, które jak na Zachodzie zajęłyby się kompleksową pomocą demaskatorom – twierdzi doktor Wojciech Rogowski. – W amerykańskich organizacjach pozarządowych, takich jak Government



Demaskator z Mikołowa doktor **Tadeusz Pasierbiński** czasami żałuje zaangażowania. Koledzy, którzy siedzieli cicho, zrobili karierę

Accountability Project (GAP) czy w brytyjskim Public Concern at Work, potencjalny whistleblower nie tylko może podzielić się swoimi wątpliwościami, ale także otrzyma poradę na temat sposobu zebrania dowodów, jak wnieść skargę, a nawet pomoc psychologa w razie odrzucenia przez środowisko – wylicza.

Polski whistleblower może dziś uzyskać pomoc w Fundacji Batorego czy w Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, ale nie jest to podstawowa dziedzina ich działalności. – Mamy kilka takich przypadków rocznie – szacuje Anna Wojciechowska-Nowak.

Piotr Sulek kilka miesięcy po wyrzuceniu z pracy przechorował. – Straciłem pracę, a pieniądze wydałem na sądy. Wykańczał mnie stres, ale po wyroku przynajmniej odzyskałem honor – mówi Sulek. Z ofertą pomocy zwraca się do niego Helsińska Fundacja Praw Człowieka. W 2008 roku idą do sądu pracy. Przywołany procesami Pasierbiński (oprócz sądu pracy ma też między innymi sprawę o ochronę dóbr osobistych wytoczoną przez byłego ordynatora) trafia do Fundacji Batorego.

Na Zachodzie wyspecjalizowane organizacje biorą czynny udział także w pracach nad prawem chroniącym demaskatorów. To Public Concern at Work w Wielkiej Brytanii przeforsował w 1998 roku ustawę o ujawnianiu informacji w interesie publicznym. GAP zaś pracował nad zastrzeżeniem prawa w 2002 roku po upadku Enronu. W efekcie ustawa Sarbanes-Oxley Act (od nazwisk twórców – senatora i kongresmana) nakłada na giełdowe spółki w USA obowiązek wprowadzenia przejrzystego systemu, który umożliwi pracownikom informowanie. – Taką funkcję spełnia najczęściej menedżer do spraw etyki, który zajmuje się przyjmowaniem i weryfikowaniem skarg od pracowników. Jeszcze popularniejsze są specjalne „gorące linie” prowadzone przez zewnętrzne firmy,

na które pracownik może zadzwonić, jeśli odkryje nadużycie – wyjaśnia Rogowski.

Ustawodawstwo brytyjskie i amerykańskie precyzyjnie określa też wymogi „chronionego ujawnienia”. Informator po wykorzystaniu ścieżki we własnej firmie składa skargę do specjalnych komisji podlegających agendum rządowym (finansowym lub pracowniczym), które dalej prowadzi śledztwo. Jeśli donos whistleblowera się potwierdzi, komisja ma prawo ukarać biorących odwet pracodawców wysokimi grzywnami, a samemu poszkodowanemu przyznać odszkodowanie. Ich średnia w wielkiej Brytanii sięga stu tysięcy funtów (przyznawanych jest kilkadziesiąt rocznie).

Było warto, ale się nie opłaciło

W Polsce o whistleblowerów upomniało się rok temu Biuro Rzecznika Praw Obywatelskich. Dowiedziało się od Ministerstwa Pracy, że zmiany nie są potrzebne. Teraz „Przekrój” znów zapytał resort o szansę na większą ochronę donosicieli. My też otrzymaliśmy odpowiedź, że żadne prace nie są prowadzone, bo prawo dostatecznie chroni sygnalistów.

Problemem zainteresowała się ostatnio Polska Konfederacja Pracodawców Prywatnych „Lewiatan”. – Skupiliśmy się na zagwarantowaniu anonimowości demaskatorowi. Zgodnie z ustawą o ochronie danych osobowych szef, który otrzyma informację od pracownika o nadużyciach w firmie, musi ujawnić źródło, czyli dane kolegi-informatora. Aby zachęcić demaskatorów do mówienia, trzeba im zagwarantować anonimowość, przynajmniej do czasu ewentualnego procesu – tłumaczy Grażyna Spytek-Bandurska, prawnik z PKPP, która szykuje propozycje zmian w prawie.

Na szczęście rodzimi whistleblowerzy zaczynają wygrywać. Sukcesem w pierwszej instancji zakończył się proces Sułka. Sąd Okręgowy w Katowicach uznał w 2006 roku wyrzucenie z pracy Tadeusza Pasierbińskiego za bezpodstawne. Lekarz wrócił do przychodni podlegającej szpitalowi, z której formalnie został zwolniony. Po roku odszedł na emeryturę, dorabia dyżurami w innym szpitalu. Przyznaje, że nie udało mu się udowodnić zarzutów wysuwanych wobec byłego ordynatora. Sprawa sądowa, jaką wytoczył mu były szef o naruszenie dóbr osobistych, po pięciu latach uległa przedawnieniu. Sam ordynator w rozmowie z „Przekrojem” stwierdza, że to zamknięty rozdział w jego życiu. Pasierbiński czasem z zadrzocią patrzy na kolegów, którzy siedzieli cicho: – Dorabiali się, jeżdżą dobrymi samochodami. Ja wydałem oszczędności życia na prawników, ale nie żałuję. Gdybym tego nie zrobił, dziś nie mógłbym na siebie patrzeć w lustrze. Wszystko jest lepsze od siedzenia i czekania na chwilę, w której bagno nas topi.

współpraca Agata Jankowska

RADIO **VOX** FM Więcej na ten temat słuchaj w Radiu VOX FM we wtorek 26 stycznia o godz. 20.00



Wioska Jebaliya na północy Strefy. Dystrybucja żywności z pomocy charytatywnej. Od inwazji Gaza jest na nią skazana

REZERWAT GAZA

KANALIZACJA NIE DZIAŁA, BO IZRAEL BOI SIĘ, ŻE HAMAS MOŻE WYKORZYSTAĆ RURY DO BUDOWY RAKIET. MAKARON ZOSTAJE NA GRANICY, BO TO TOWAR LUKSUSOWY. OD ROKU W GAZIE NIE MA JUŻ WOJSKA. DZIŚ **ORĘŻEM WALKI Z PALESTYŃCZYKAMI SĄ ŻYWNÓŚĆ I WODA**

ROK PO WOJNIE JOANNA WOŹNICZKO-CZECZOTT, SYLWIA PIECHOWSKA

TATO, DLACZEGO NIE MIESZKAMY W JAKIMŚ innym kraju? – pytają dzieci Amdżada Szawę, gdy w telewizji oglądają reklamy słodyczy. I Szawa czuje się bezradny. Bo dzieci ma czworo i zrobiłby dla nich wszystko, a one domagają się akurat czekolady. – Więć muszę kupować tę wściekle drogą egipską czekoladę – narzeka. Dostępna tylko w sklepach, które zaopatrują się przez podziemne tunele z Egiptu. Drogą – bo czekolada to produkt luksusowy. Co w Strefie Gazy oznacza „luksusowy”, dowiemy się za chwilę.

Amdżad wyjaśnia, że słodycze kupuje tylko na spróbowanie. Ale zaraz zaznacza,

że on i tak jest w wyjątkowej sytuacji. Oboje z żoną mają pracę, a przecież prawie połowa mieszkańców Strefy jej nie ma. Dwie trzecie ludności żyje za mniej niż dwa dolary dziennie. Więć problemy Amdżada, który objechał ostatnio wszystkie supermarkety w mieście, szukając mleka dla czteromiesięcznego dziecka, to drobnostka.

Z Amdżadem Szawą, koordynatorem palestyńskich organizacji pozarządowych, rozmawiamy 18 stycznia. Dokładnie rok wcześniej na Gazę przestały spadać izraelskie bomby, a świat zaczął tracić nią zainteresowanie. I gdy temat schodził na dalsze strony



kładające się bydło, farmy rozjechały buldożery, zniszczone są sprzęty i szklarnie. Tymczasem Izrael poszerza bufor wyznaczony wzdłuż granicy Strefy. Najpierw miał 50 metrów szerokości, potem 300, teraz dochodzi do kilometra. – Nazywają go strefą braku dostępu – mówi nam Szawa. – Żołnierze ostrzeliwują każdego, kto tam wtargnie. Kłopot w tym, że w buforze znalazła się aż jedna trzecia ziemi rolnej.

Układ staje się teraz prosty: im bardziej Gaza uzależnia się od tego, co się do niej wwiezie, tym większe ma znaczenie, na co się zgodzi służba graniczna Izraela. Z wizytą do oblężonej strefy przyjeżdża senator John Kerry. Dziwi się, że Izrael zatrzymuje na granicy ciężarówki z kluskami. Czemu nie wpuszcza klusek? Czyżby stanowiły zagrożenie?

Na miejscu jest też koordynator pomocy humanitarnej ONZ Philippe Lazzarini. Raportuje: jedzenia w Gazie brak, a ceny od początku inwazji skoczyły aż trzykrotnie. Działa tylko kilka sklepów, bo brakuje prądu, i tylko 9 z 47 piekarń, bo brakuje mąki. Na pomoc z zewnątrz skazanych jest według Lazzariniego 1,3 miliona osób. To prawie 90 procent ludności.

MARZEC 2009. GAZA BEZ GAZU

Zrobił się dym z tym Kerrym. Izrael tłumaczy, że choć ryż zalicza się do pomocy humanitarnej, to makaron już nie. COGAT, czyli Biuro Koordynatora Rządowych Działań na Terytoriach (palestyńskich) działające w ramach armii Izraela, zmienia jednak zdanie. 20 marca jego szefowie na naradzie w Tel Awiwie postanawiają: ciężarówki z kluskami mogą wjechać.

MSZ Izraela publikuje teraz wykaz środków, które tydzień po tygodniu przekraczają granice Strefy. 22–29 marca: 17 385 ton żywności, środków medycznych i innych, 2 172 000 litrów oleju opałowego do elektrowni i 1170 ton gazu do użytku domowego. Dostawy tego ostatniego zależą od zapotrzebowań Palestyńczyków; Izrael nie ustanawia tu żadnych limitów – przekonuje ministerstwo.

W tym samym czasie Lazzarini i jego ludzie notują, co do Gazy faktycznie wjeżdża: 568 ciężarówek wypakowanych herbatą, drożdżami, solą i frytkami (produkty niewpuszczane od października 2008 roku), 118 ciężarówek ze środkami higieny (w tym mydło i szampon, również pierwszy raz od października 2008!), 9 ze środkami medycznymi i innymi dobrami. Jest też 2 159 620 litrów oleju (12 380 litrów rozszło się po drodze), co odpowiada 69 procentom tygodniowego zapotrzebowania Strefy. A gazu do gotowania jest w stosunku do potrzeb aż o jedną trzecią za mało. To w ogóle jeden z najbardziej deficytowych produktów w Gazie. Ludzie nie mają na czym gotować.

W przeciwieństwie do izraelskiego MSZ, w Strefie Gazy notują też, co w danym tygodniu nie wjechało. Na przykład (podobnie jak w poprzednich tygodniach) paliwo do użytku publicznego. Według Amdżada Szawy jeździ się nawet na oleju kuchennym. COGAT odmawia też wstępu statkom z pastą pomidorową, tahine

CO TO JEST STREFA GAZY?

TO PODŁUŻNY SKRAWEK PUSTYNI WCIŚNIĘTY między Izrael, Egipt i Morze Śródziemne. Powierzchnia niewiele większa od Krakowa (360 kilometrów kwadratowych), liczba ludności niewiele większa niż aglomeracji krakowskiej (półtora miliona). Na mocy porozumień z Oslo zawartych w 1994 roku między Palestyńczykami a Izraelem Strefa stała się częścią Autonomii Palestyńskiej. W 2005 roku Izrael wycofał stąd swe wojsko i osadników, a rok później uznawany przez Unię Europejską i USA za organizację terrorystyczną Hamas niespodziewanie wygrał wybory i w 2007 roku przejął w Strefie władzę. A ponieważ nie uznaje on Izraela, armia tego kraju rozpoczęła blokadę. Zaczęły się problemy z eksportem i importem. Mieszkańcy Gazy uruchomili pod granicą z Egiptem sieć tuneli, którymi szła kontrabanda – w tym uzbrojenie. Gdy mimo blokady ataki rakietowe Hamasu na Izrael nie ustawały, ten rozpoczął zbrojną inwazję. W operacji „Płynny Ołów” zginęło 13 Izraelczyków i sto razy więcej Palestyńczyków. Piszemy, co działo się potem.



(popularną na Bliskim Wschodzie pastą sezamową) i dżemem, a na decyzję czekają transporty materiałów szkolnych z UNICEF-u, dostawy sadzonek drzew owocowych i oliwnych z FAO i ciężarówki proszku do prania.

Lazzarini notuje też, że w tym tygodniu 35 tysięcy osób nie ma dostępu do wody. Sto tysięcy ma wodę tylko co dwa–trzy dni.

KWIECIEŃ 2009. DYNIA TO LUKSUS

Kiedyś Gaza znana była z uprawy cytrusów i truskawek – wspomina z rozrzewnieniem Szawa. – Eksportowaliśmy też kwiaty. A w zeszłym roku nasze kwiaty zjadły zwierzęta, bo Izrael zakazał eksportu. Najgorsze, że ogrodnicy za inwestowali, uprawa wymaga mnóstwo wody. I wszystko się zmarnowało – wzdycha.

W kwietniu mija czas na wysadzenie truskawek, a sadzonki wciąż stoją i gniją na granicy. FAO jako jedną z najpilniejszych potrzeb – obok jedzenia i wody – wymienia nasiona i sprzęt do odbudowy rolnictwa.

Tymczasem oficerowie COGAT spotykają się z izraelskim ministrem rolnictwa. Zapada decyzja: co tydzień do Gazy wjedzie 15 ciężarówek z warzywami i owocami. Priorytetowe są melony. Co tydzień 3 ciężarówki melonów. Co sprawia, że melony uznaje się za dobro →

gazet, w Gazie już bez rozgłosu coraz dotkliwsza stawała się inna wojna. O wodę i żywność.

LUTY 2009. KLUSKI POD NADZOREM

Podczas wojny połowa mieszkańców straciła dostęp do bieżącej wody. Izraelczycy zniszczyli 2 oczyszczalnie ścieków, 4 zbiorniki wodne, 11 studni i 30 kilometrów rur. Odbudowa sieci jest niemożliwa, bo Izrael nie pozwala na import potrzebnych materiałów: cementu, drewna, szkła, a przede wszystkim rur. Tel Awiw boi się, że Hamas użyje cementu do wzmocnienia bunkrów, a rur – do budowy rakiet.

Co do żywności – cała Strefa przestawia się z produkcji na konsumpcję. Bo rolnictwo jest w katastrofalnym stanie: na polach leży roz-

→ pierwszej potrzeby, a pastę pomidorową już nie? I dlaczego banany i jabłka są w porządku, a winogrona i awokado to towary luksusowe? – Izrael wwozi tu swoje produkty, na które nie może znaleźć rynku zbytu – twierdzi Szawa. – Często trafiają do nas już nadpsute. Tak regularnie zdarza się z bananami – dodaje.

Jego słowa potwierdza Chalil Szahin z palestyńskiego centrum praw człowieka: – Przed blokadą do Gazy importowano około 9000 produktów. Teraz mamy listę 35–40. Ich zestaw często się zmienia – mówi. O zmianach oficjalnie COGAT informują palestyńskie władze przez telefon. Nie ma uzasadnień czy wykazów. W kwietniu wjeżdżają na przykład niewidziane w Gazie od miesięcy dynie. Czemu? Meir Yifrah z izraelskiej organizacji hodowców warzyw zwierza się gazecie „Haarec”: – Raz na miesiąc wysyłam wiadomość ministrowi rolnictwa. Mówię mu, kiedy nasi producenci mają nadwyżki i kiedy trzeba wysłać produkty do Gazy. Dziwiło mnie, że dynie uznano za produkt luksusowy. Rok temu nasi producenci mieli nadwyżki cebuli. Nacisnęliśmy ministerstwo i limity eksportu do Gazy się zwiększyły.

MAJ 2009. ZAWSZE BYLI RADYKAŁAMI

Tel Awiw, spotkanie z generałem Jaacowem Amidrorem. Dawniej był jednym z szefów wywiadu, dziś komentuje strategię armii. – Czy ma pan pomysł na to, jak rozwiązać problem Strefy Gazy? – pytamy. – To już nie nasz problem. Nie rozmawiamy z Hamasem – odpowiada.



Pole tego rolnika znalazło się **wewnątrz strefy przygranicznej**, na którą wstęp jest wzbroniony

– Ale ci ludzie w Gazie, im dłużej żyją zamknięci, tym bardziej stają się radykalni.

– Skąd ta pewność? – oburza się generał. – Nie ma danych, że sytuacja się zaognia. Oni przedtem byli radykalni. Dlatego ich zamknęliśmy.

W tym miesiącu do Strefy wjeżdża 2656 ciężarówek. Według FAO na początku 2007 roku, czyli przed zaostreniem blokady, wpuszczono ich 12 350. Prawie pięć razy więcej.

CZERWIEC 2009. KALORIE NA OSOBĘ

W Izraelu szok. „Haarec” ujawnia dokument COGAT: na czterech stronach maszynopisu wymienione są dopuszczone do transferu do Gazy produkty w przeliczeniu na gramy i kalorie. Te z kolei przelicza się na zapotrzebowanie mieszkańców z podziałem na wiek i płeć. W ten sposób Izrael ustala, ile żywności potrzeba palestyńskiej kobiecie, ile mężczyźnie, ile dziecku. – Ludność podzielono na osiem kategorii – mówi nam Yotam Feldman, współautor artykułu z gazety „Haarec”. – Średnio na osobę przypada 2100 kalorii. Tak COGAT wykalkulował na przykład, że całej Strefie wystarczy tygodniowo 300 cielaków.

Palestyna pyta tylko: gdzie te cielaki? – Przez dwa i pół roku w ogóle nie było mięsa – mówi nam Szahin. – Teraz pojawia się rzadko, 14 dolarów (40 złotych) za kilo. Znam rodziny, które od miesięcy nie jadły nawet kurczaka.

„Haarec” dodaje, że w sumie około 40 tysięcy owiec przesyłano przez tunele z Egiptu. Mięso z przemytu nie ma żadnych badań weterynaryjnych i izraelskie ministerstwo rolnictwa boi się epidemii.

LIPIEC 2009. KLĘSKA MELONOWA

Klęska urodzaju. W Gazie obrodziły melony. Całe dzienne żywią się głównie melonami. Dla hodowców melonów to jednak tragedia – me-

lony obrodziły też w Izraelu. Co tydzień przyjeżdżają co najmniej trzy ciężarówki. Rynek kompletnie zapchany.

SIERPIEŃ 2009. TAMY HEBRONU

To najgorętszy miesiąc – średnia temperatura ponad 30 stopni. W budżecie typowego mieszkańcy Strefy Gazy, który większość dochodu przeznacza na jedzenie i wodę, ta ostatnia zaczyna wysuwać się na prowadzenie. – Woda z kranu nie nadaje się do picia – mówi Amdżad. – Kupujemy z cystern od małych, prywatnych firm. A i tak woda od nich jest droga i wątpliwej jakości. Średniej wielkości rodzina (pięć–siedem osób) wydaje na wodę pitną około trzech dolarów tygodniowo. Drugie tyle na wodę z państwowych wodociągów, która nadaje się tylko do mycia i prania. A biedne gospodarstwo ma do dyspozycji zaledwie około 10 dolarów tygodniowo. Ja potrzebuję dla sześcioposobowej rodziny tysiąca litrów wody. Wychodzi 14 dolarów – ciągnie i zaraz się sumuje: – Z tym, że ja naprawdę jestem uprzywilejowany. Zarabiam 300 dolarów miesięcznie.

Mieszkańcy Strefy Gazy prawie całą wodę czerpią z jednej warstwy wodonośnej, wyeksploatowanej do granic możliwości. Pobierają z niej trzy razy więcej wody w skali roku, niż zbiornik jest w stanie uzupełnić. Jedyny strumień przepływający przez Gazę nazywa się Wadi Gaza. Płynie ze Wzgórz Hebronu na Zachodnim Brzegu, przez Izrael, aż do ujścia do morza na terenie Strefy. Większość wody Izrael przekierowuje jednak do jednej ze swoich tam. Tuż przed granicą ze Strefą.

WRZESIEŃ 2009. CZARNA PLAMA

O tej porze roku plaże nad Morzem Śródziemnym są pełne. Plaża w Strefie Gazy przypomina ściek. Codziennie 60 tysięcy metrów sze-

ściennych nieczystości wpływa prosto do morza, a czarne plamy ciągną się kilometrami i zabijają ryby. Ścieki przenikają też do wód gruntowych. – Gazę czeka katastrofa ekologiczna – twierdzi Mark Buttle, koordynator projektów wodnych z organizacji Oxfam. I nie są to czcze pogroźki. Dwa lata temu w wiosce Um al-Nasser wylały gromadzone w zbiornikach ścieki, niszcząc 170 domów. Zginęło siedem osób.

Od inwazji mija osiem miesięcy, a sieć wodna wciąż w ruinie. – Władze Izraela stale obiecują, że pozwolą na wjazd koniecznych do odbudowy materiałów budowlanych – mówi „Przekroju” Monter Shoblack, dyrektor samorządowego zakładu gospodarki wodnej w Strefie. – Do tej pory dotarło do nas tylko kilka z kilkudziesięciu zamówień.

Jego zakład podaje, że 65 procent wody w Strefie Gazy jest skażone azotanami, 37 procent chlorem i 35 procent jednym i drugim. Stężenie azotanów w wodzie gruntowej jest wyższe od 10 lat i trzykrotnie przekracza normy Światowej Organizacji Zdrowia (WHO). Pierwiastki te u małych dzieci mogą wywoływać śmiertelny rodzaj anemii o nazwie methemoglobinemia. W Strefie Gazy już teraz częste są choroby nerek i biegunki.

PAŹDZIERNIK 2009. KTO LEJE WODĘ?

Po miesiącach przygotowań ukazuje się raport Amnesty International z oskarżającą tezę: Izrael dyskryminuje Palestyńczyków, odmawiając im prawa do minimum bezpiecznej wody. Organizacja podaje, że obywatel Izraela zużywa dziennie około 300 litrów wody (tylko, ile statystyczny Polak), a Palestyńczyk zaledwie 70 (WHO zaleca co najmniej 100 litrów dziennie). W niektórych rejonach Palestyńczycy muszą przetrwać z 20 litrami wody dziennie.



Mieszkańcy, pytani o potrzeby, na pierwszym miejscu wymieniają pieniądze, na drugim **gaz do gotowania**

To absolutne minimum humanitarne. AI przekonuje też, że w połowie lat 90. Izrael przerzucił na Autonomię odpowiedzialność za zanieczyszczenie i wymagający napraw system wodno-kanalizacyjny. A z powodu biedy wielu Palestyńczyków przestało płacić rachunki za wodę. Ba, nielegalnie podłączają się też do rurociągów lub kopią studnie. I choć AI piętnuje nie tylko Izrael, ale też korupcję palestyńskich instytucji publicznych i brak koordynacji wśród organizacji humanitarnych, władze w Tel Awiwie stanowczo odrzucają oskarżenia. – Przez ostatnie 15 lat Palestyńczycy dostali miliardy dolarów pomocy humanitarnej – odpowiada na zarzuty Mark Regew, rzecznik izraelskiego rządu. – Dlaczego nie zainwestowali w infrastrukturę wodną? – pyta retorycznie.

LISTOPAD 2009. JEST SUPER

Światowy szczyt FAO. Dla Izraela każdy taki międzynarodowy zjazd to obawa, że dyżurni bliskowschodni wrogowie będą go odsądzać od czci i wiary, a ich oskarżenia przedrukują światowe gazety. Minister rolnictwa i rozwoju wsi Szalom Simhon wygłasza więc przemówienie: – Utrzymujemy codzienne relacje z przyjaciółmi z władz palestyńskich zarówno na Zachodnim Brzegu, jak i w Gazie. Robię to w czasie pokoju i podczas konfliktów. Osobiście opiekuję się dostawą żywności i świeżych produktów rolnych do Strefy, w tym bydła, warzyw, owoców i mleka. Staramy się sprostać oczekiwaniom. O jednym chciałbym was zapewnić: w Strefie Gazy nie ma głodu!

GRUDZIEŃ 2009. JESZCZE JEDEN MUR

Zbliża się rocznica inwazji, a na przemysłników z tuneli pada strach. Egipt na granicy stawia stalowy mur! Ma być długi na 10 kilometrów, wysoki na 10 metrów, a co najgorsze – wko-

pany w ziemię na głębokość aż do 30 metrów. Egipcjanie mówią o stali, której nikt nie mógłby przeciąć, i o ostatecznym rozwiązaniu kwestii podziemnych przejść. Bo do tej pory wojsko systematycznie je niszczyło, a przemysłników wykurzało gazem, ale Palestyńczycy kopali coraz to nowe. Teraz z dwóch tysięcy tuneli zostało 150, ale Hamas na wieść o murze łatwo się nie poddaje. – Ta budowa wywoła w Gazie katastrofę – uprzedza katarską telewizję Al-Dżazira rzecznik władz Strefy Sami Abu Zuhri. I nie jest pewne, czy ma na myśli katastrofę humanitarną, bo jego słowa wzmocnią atak 500 hamasowców na egipskich pograniczników.

Kair odpowiada jednak, że nie rezygnuje z inwestycji. – To sprawa naszego bezpieczeństwa narodowego – tłumaczy. Z Hamasem, organizacją terrorystyczną, nikt przecież nie rozmawia. Innego partnera w Strefie Gazy nie ma.

STYCZEŃ 2010. W KLATCE BEZ ZASAD

Co będzie dalej? – Ja już się przyzwyczaiłem do tego, co jest – mówi nam Amdżad Szawa rok po tym, jak wiadomości o jego mieście zniknęły z pierwszych stron gazet. – Do przyzwyczajania na podstawowych produktach, do zależności od dostaw z zewnątrz. Ale właśnie to przyzwyczajanie jest najgorsze. Większość mieszkańców Gazy przywykła do wegetacji. A przecież ci ludzie zawsze byli bardzo aktywni! Od czasu inwazji mnóstwo zakładów i fabryk stoi zamkniętych. Domy nieodbudowane, bo nie ma materiałów. Ludzie potracili pracę. Nie ma nadziei. To źle rokuje na przyszłość – mówi.

A po chwili zastanowienia: – Cały czas mamy tę świadomość zamknięcia. Czuję się już nawet nie jak w więzieniu, ale jak w klatce. Bo w więzieniu panują przecież jakieś zasady. A u nas nie.



Powyżej: Ciężarówki z żywnością wjeżdżają przez przejście Kerem Shalom.

Jedno z sześciu w Strefie

Poniżej: Przemysłnik w tunelu pod granicą Strefy Gazy i Egiptu. Stalowy mur może zamknąć podziemne korytarze

Domy dla bezdomnych

Ktoś wypatrzył fajny budynek, ktoś wylał zamek i weszliśmy do środka. Tak zdobyliśmy squat. Pewnie jako jedni z ostatnich

Jest po północy, początek listopada 2009 roku. W klubie działającym przy squacie Intermezzo w Nieuwegein, w samym sercu Holandii, gromadzą się bohaterowie mających nastąpić zaraz wydarzeń. Przeważnie młodzi, eklektyczna mieszanica strojów i fryzur. Przy stolikach trwają półgłośnie rozmowy. Niektórzy piją piwo, palą skręty, inni czekają w milczeniu. Po jakichś dwóch-trzech godzinach ruszamy. Jest nas około 30. Dzielimy się na mniejsze grupki, które w odstępach czasowych docierają na miejsce.

Na pierwszy ogień idą osoby, które otworzą lokal. Reszta czeka na sygnał w pobliskim przejściu podziemnym. – Dlaczego to tak długo trwa? – ktoś szepcze zdenerwowany. Jeśli policja przyjedzie w momencie, gdy otwierasz drzwi, będzie kłapa. Potraktują cię jak zwykłego włamywacza. Można (ba, trzeba) wezwać ich po wejściu do środka, po zamontowaniu nowego zamka i sprzątnięciu śladów włamania.

– Mieszkam na squatach od 20 lat – opowiada Emanuel, Portugalczyk. – Pomagałem w zajęciu prawie 200 budynków w kilku różnych państwach. Dwa razy złapali nas na otwieraniu drzwi. Spędziłem kilka miesięcy w pace.

Emanuel ma 40 lat. Wygląda młodo. – Teraz muszę bardziej uważać, ale jeśli jest akcja, to zawsze pomagam. Na squatach nigdy zbyt długo nie zagrzejesz miejsca. Zazwyczaj po paru miesiącach właściciel odzyskuje budynek, a ty musisz szukać nowego lokalu. Wtedy też możesz liczyć na pomoc innych.

Wreszcie jest sygnał. Idziemy.

Elegancki pustostan

Wbiegam do środka i... staję w miejscu jak wryty. Spodziewałem się ogołoconego pustostanu, tymczasem jesteśmy wewnątrz eleganckiego dwupoziomowego klubu. Na głównej ścianie, przy scenie świeci wielki neon z napisem Big Daddy's Rock Café. W centralnym miejscu znajduje się duży bar, butelki z alkoholami, kasy fiskalne, naczynia. Automat do kawy w trybie czuwania. Wszystko to nic – najbardziej onieśmiela górujący nad przestrzenią błyszczący moto-

cykl z wielkim reflektorem. Stoi na barze. Klub sprawia wrażenie posprzątanego i zamkniętego nie dalej niż godzinę temu, ale ulotki na stolikach zapraszają na imprezy, które miały się odbyć we wrześniu 2008 roku. Podobnie plakaty na ścianach.

Wchodzę na zaplecze. Potem schodami na górę. Przechodzę przez w pełni wyposażoną, metalicznie błyszczącą kuchnię. Znajduję biuro. Są w nim już trzy inne osoby. Rozglądamy się: komputery, jakieś dokumenty...

– Niets goed – mówi młody Holender z dredami. – Nie jest dobrze. Czy to na pewno pustostan?

Na wszelki wypadek rozglądam się za wyjściem ewakuacyjnym. Monitor ochrony pokazuje cztery rzuty z kamer pracujących na zewnątrz budynku. Jest wszystko. Brakuje tylko obsługi.

Siedzimy przy stolikach. Zapaliliśmy świeczki. Jest przyjemnie, ale da się wy-czuć napięcie. Czekamy na policję. Przyjeżdżają po kilkadziesiąt minutach. Dwóch funkcjonariuszy.

Spodziewałem się brygady antyterrorystycznej.

Rozmawiają z organizatorami akcji. Squatersi mają swojego prawnika – to jedyna osoba w tym gronie ubrana w garnitur.

Potem z latarką obchodzą lokal. Jeden policjant coś notuje, na nas w ogóle nie zwraca uwagi.

– Co oni robią? – pytam kolegę, który siedzi przy sąsiednim stoliku.

– Sprawdzają, jakie sprzęty są w budynku i czy wygląda on na nieużywany – odpowiada.

– Przecież wygląda na używany.

Tamten wzrusza ramionami.

– I co z tego? W świetle prawa to i tak pustostan.

Do rozmowy włącza się długowłose śniady Holender.

– Najważniejsze, by dokładnie sprawdzić budynek przed akcją – mówi. – Jeśli został opuszczony wcześniej niż rok temu, to sprawa jest przegrana.

Pytam, jak to sprawdzają.

– Mamy swoje metody. Wielu rzeczy można się dowiedzieć z Internetu i w urzędach. Ten klub zamknięto ponad rok temu. Właściciel zbankrutował, bo za często zdarzały się tu bójkі. Budy-

„Wbiegam do środka i staję w miejscu jak wryty. Spodziewałem się ogołoconego pustostanu”



nek kupił jakiś browar, lecz nic z nim nie zrobił.

Policja odjeżdża. Klub jest nasz. Śniady oddycha z ulgą.

Jutro będziemy kryminalistami

– Powiedzmy, że mamy zaliczony pierwszy etap – oznajmia Śniady. – Do czasu konfrontacji z właścicielami możemy tu być. Oczywiście zrobiliśmy wszystko, by się nas pozbyć, ale dla nas to nie pierwszyna.

Po wyjściu policji czujemy się pewniej. Jesteśmy u siebie. Ktoś rozpracował automat do kawy. Jest samoobsługa. Przy ośmiu stojących rzędem stołach białych w najlepszej formie trwają rozgrywki. Blondyn z długimi lokami pali papierosa na parapecie. Na oko wygląda na kilkanaście lat. Śmieje się. Na jego oczach odbywa się rewolucja. Zabieranie bogatym korporacjom i dawanie biednym smarkaczom. Przy okazji świetnie się bawimy.

To, co teraz zrobiliśmy w świetle prawa, niedługo może być przestępstwem,

za które grozić będą nawet dwa lata więzienia. W Holandii niebawem nie będzie legalnych squatów.

Po raz pierwszy parlament próbował odebrać prawa squatersom w 2006 roku. Wówczas projekt nie uzyskał dostatecznego poparcia. W 2008 roku pracę nad nowymi przepisami podjęła koalicyjna partia Apel Chrześcijańsko-Demokratyczny (CDA) wspólnie z protestancką Unią Chrześcijańską (Christen-Unionie) oraz konserwatywną Partią Ludową na rzecz Wolności i Demokracji (VVD). W październiku zeszłego roku ugrupowania te przy wsparciu skrajnie prawicowej Partii Wolności (PVV) i Politycznej Partii Protestanctów (SGP) doprowadziły do przegłosowania w niższej izbie parlamentu ustawy, która traktuje squatting jako pogwałcenie prawa własności. Prawodawcy, powołując się na problemy z brakiem powierzchni mieszkalnych, argumentują, że likwidacja squatów pozwoli odzyskać wiele budynków. Przestępstwem będzie nie tyl-

ko mieszkanie, ale także przebywanie na squacie. Policja będzie mogła aresztować każdą osobę, którą zastanie w takim miejscu. A należące do niej rzeczy – wyrzucić z budynku.

To najbardziej złości Emanuela.

– Przecież ja też jestem człowiekiem!

Obrońcy squattingu twierdzą, że tak naprawdę chodzi o interesy korporacji, które będą inwestować raczej w duże i luksusowe apartamenty, a nie w tanie mieszkania dla mniej zamożnych obywateli, zatem doprowadzą tylko do wzrostu cen. Tymczasem z prawa zezwalającego na przejmowanie pustostanów nie korzystają przestępcy, lecz studenci, których nie stać na wynajem bardzo drogich stacji.

Władze największych miast w Holandii, a nawet amsterdamska policja nie mają wątpliwości – to zła ustawa. Rajcy Amsterdamu, Hagi, Rotterdamu i Utrechtu napisali list do parlamentarzystów, przekonując w nim, że wojna ze squattingiem będzie nieskuteczna, może przynieść →

„W klubie przy squacie Intermezzo w Nieuwegein gromadzą się bohaterowie mających nastąpić zaraz wydarzeń”



„Po przyjęciu ustawy przez izbę niższą na ulice Utrechtu wychodzą dwa tysiące demonstrantów. Skandują: *Kraken gaat door!* „Nie zrezygnujemy ze squatingu!”



→ więcej szkód niż korzyści i na pewno będzie bardzo kosztowna. Pod koniec października akcji o ogólnoholenderskim zasięgu. Chcemy w ten sposób wywrzeć nacisk na polityków. W ciągu tygodnia zajmujemy ponad 20 pustostanów w kraju. Na wielu squatach trwają oficjalne dni otwarte, organizowane są projekcje filmów, wystawy, akcje informacyjne. Squatersi z innych krajów urządzają solidarnościowe manifestacje pod ambasadami Holandii. W Internecie krąży bożonarodzeniowa pocztówka: Maryja i Józef pod flagą z symbolem squatingu oraz napis: „Nie było miejsca w gospodzie, zrobili więc squat ze stajenki”. Nieźle, tym bardziej że to partie o rodowodzie katolickim są najbardziej zaciekłymi wrogami squatów.

– Będzie rebelia – wieszczy Peter, punk z Utrechtu uczestniczący w manifestacji. – Postawimy barykady. Będziemy walczyć z policją. Jeśli rząd tego chce, to ja tym bardziej.

Hałas przed burzą

Przejęcie baru w Nieuwegein jest częścią większej akcji o ogólnoholenderskim zasięgu. Chcemy w ten sposób wywrzeć nacisk na polityków. W ciągu tygodnia zajmujemy ponad 20 pustostanów w kraju. Na wielu squatach trwają oficjalne dni otwarte, organizowane są projekcje filmów, wystawy, akcje informacyjne. Squatersi z innych krajów urządzają solidarnościowe manifestacje pod ambasadami Holandii. W Internecie krąży bożonarodzeniowa pocztówka: Maryja i Józef pod flagą z symbolem squatingu oraz napis: „Nie było miejsca w gospodzie, zrobili więc squat ze stajenki”. Nieźle, tym bardziej że to partie o rodowodzie katolickim są najbardziej zaciekłymi wrogami squatów.

– Będzie rebelia – wieszczy Peter, punk z Utrechtu uczestniczący w manifestacji. – Postawimy barykady. Będziemy walczyć z policją. Jeśli rząd tego chce, to ja tym bardziej.

Peter nie kłamie. Widać to po jego pokiereszowanej twarzy i prawie bezczelnym uśmiechu.

Nagle dochodzi do spięcia z policją. Jak to zwykle w tłumie, nie wiadomo, o co chodzi. Dziesiątki demonstrantów natychmiast biegną do miejsca,

gdzie „coś się dzieje”. Z przecznicy szybko wylaniają się oddziały konnej policji. Za pomocą gumowych pałek przystępują do przywracania porządku. Na funkcjonariuszy lecą kamienie i puszki z piwem. Przedsmak rebelii?

„Mass media i politycy mówią, że jest nas niewielu, ale nasz duch jest silniejszy niż zgniłe i niehumanitarne prawo. (...) Brońmy naszych praw do okupacji pustych budynków. (...) Powinniśmy wprowadzić bojowego ducha młodych z Danii i Grecji na ulice Holandii!” – napisali squatersi w oświadczeniu, które można znaleźć w Internecie*.

Spory o etos

Squaty były kolebką wielu wydarzeń kulturowych. Działające przy nich kluby są miejscem prób i koncertów młodych zespołów. Artyści mają tu swoje pracownie i organizują wystawy. Działają free-

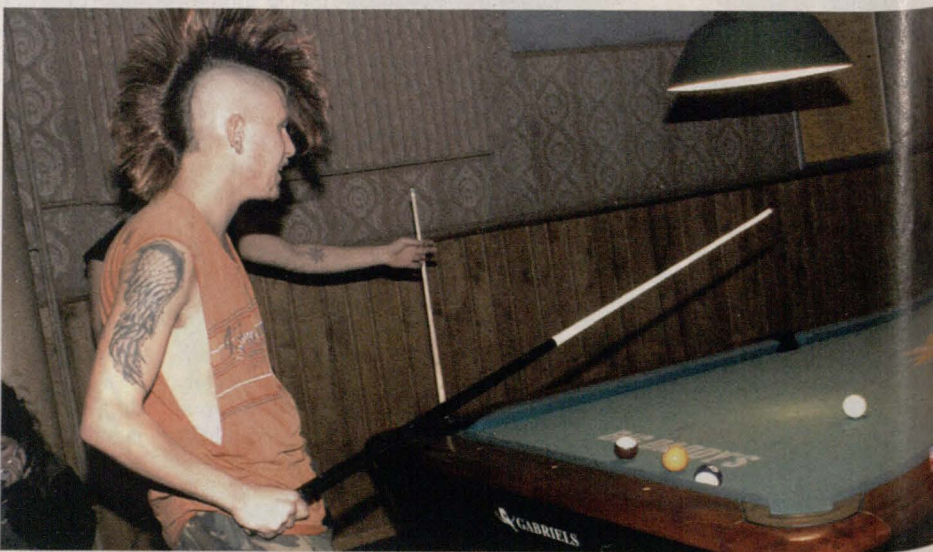
shopy (*weggeefwinkels*), czyli miejsca, gdzie można wymienić lub otrzymać za darmo właściwie wszystko – od płyt i książek, przez ubrania, po meble. Towary pochodzą głównie z ulicznych wystawek.

Jednym z wielu centrów kultury, którego korzenie wyrastają z ruchu squaterskiego, jest ACU w Utrechtu. Jego historia pokazuje, jak squaty przyciągają się do animacji przestrzeni miejskiej. Warsztaty samochodowe stały puste przez ponad dekadę, gdy w 1976 roku zajęli je squatersi. Z czasem w budynkach powstało niezależne centrum polityczno-kulturalne. Dzisiaj ACU działa zupełnie legalnie, budynki zostały odkupione od poprzednich właścicieli.

– Idea squatu się degeneruje – mówi mi Adam, Polak, którego spotkałem przypadkowo w ACU, czekając na kolejną akcję. – Przyjeżdża coraz więcej imi-

Można je przeczytać na stronie: <http://pl.indymedia.pl/2009/10/478454>

„Po wyjściu z policji czujemy się pewnie. Przy stołach bilardowych w najlepsze trwają rozgrywki”



grantów, którzy zupełnie nie kumają, o co chodzi. Squaty powinny być miejscem dla ludzi, którzy coś tworzą. To nie hotel robotniczy czy miejsce, gdzie się śpi i robi technawy, a w tym kierunku to zmierza. Wszystko przez przepisy. Po prostu jest zbyt łatwo. Jeszcze. Zbliżają się ciekawe czasy.

Sebastian z Łodzi, który od lat mieszka na holenderskich squatach, nie zgadza się z Adamem. – Nie lubię anarchistów, którzy ustalają zasady. Squating jest dla wszystkich. Dla rodzin z dziećmi, studentów czy emigrantów. Zajmuję budynki od kilku lat i wyczuwam, że niektórzy w środowisku mnie nie lubią, bo żaden ze mnie ideowiec. Ale radzę sobie. Znajduję fajne miejsca i robię swoje. Ten budynek też ja wskazałem.

Będzie rebelia

„Ten budynek” to dwupiętrowa przestronna nieruchomość. Sebastian nazwał ją Blue Cube. Wchodzimy. W środku nie ma nic, ale za to działa światło, woda i ogrzewanie. To znaczy: jeszcze działa. Na górze są pokoiki, dawniej zapewne biura. Zamieszkają tu ludzie z sąsiedniej miejscowości, których obec-

ny squat jest w likwidacji. Dół to duża hala. Byłaby idealna na imprezy, gdyby nie sąsiedztwo bloków. W planach jest otworzenie kawiarenki i freeshopu.

– Zdeństujecie to wszystko? – pytam Sebastiana. – Zarzuca wam się niszczenie cudzej własności.

Drażliwy temat. Znam budynki doszczętnie zdemastowane zaraz po zajęciu. Hale fabryczne zupełnie ogołoczone z kabli. Goście siekierami zdzierali instalację i sprzedawali ją na złom. – Ja ich nie rozumiem – odpowiada Sebastian. – Jak mam gdzieś zamieszkać i znajduję pięknie urządzone kuchnie, to z niej korzystam, a nie ją niszczyć. Gdy wprowadziliśmy się na mój obecny squat, był tam straszny syf. Zapadł się dach i woda lała się do środka. Jacyś ludzie robili tam popijawy, niszcząc, co się dało. Sąsiedzi omijali to miejsce z daleka. Teraz jest porządek. Załataliśmy dach i szanujemy to miejsce, bo to nasz dom.

Wpada mi w ręce pismo w języku holenderskim. To oświadczenie dla policji. „Jesteśmy grupą ludzi, którzy nie mają gdzie mieszkać. Ze zgromadzonych przez nas informacji wynika, że ten budynek stoi pusty już od ponad półtora

Na squatach nigdy zbyt długo nie zagrzejesz miejsca. Zazwyczaj po paru miesiącach właściciel odzyskuje budynek, a ty musisz szukać nowego lokalu

roku i nie ma żadnych planów co do jego wykorzystania. Chcemy tu mieszkać z poszanowaniem obowiązującego prawa”.

Policja szybko przyjeżdża na miejsce. Przeglądają dokumentację i nawet nie chcą wchodzić do środka. Robią to dopiero na wyraźne zaproszenie. Chcemy, by policja stwierdziła na własne oczy, że budynek jest pusty. Po kilku minutach stróża prawa życzą nam powodzenia i zegnają się uściskiem dłoni z organizatorem akcji. To być może jedno z ostatnich takich grzecznych pożegnań. Gdy się zmieni prawo, będą nowe rozkazy i nowe procedury.

Sebastian prorokuje zupełnie tak samo jak Peter z Utrechtu.

– Będzie rebelia.

Imiona i niektóre dane personalne wypowiadających się osób zostały zmienione.

スズキ **SX4** をお求めいただくと **7 600 zł** もお得です。
GRAND **VITARA** の場合は **13 100 zł** もお得です.*



* To znaczy: kupując SX4 zyskujesz do 7 600 zł. Kupując Grand Vitara, zyskujesz do 13 100 zł. Sprawdź w salonach ofertę na modele z rocznika 2009.

SUZUKI

Way of Life!

Informacja o dealerach: www.suzuki.pl. Zużycie paliwa oraz emisja CO₂ w cyklu mieszanym: Suzuki SX4 od 5,3 l/100 km do 7,4 l/100 km oraz od 139 g/km do 175 g/km, Suzuki Grand Vitara od 7,0 l/100 km do 10,6 l/100 km oraz od 185 g/km do 245 g/km, w zależności od wersji danego modelu. Informacje o recyklingu: www.suzuki.pl.



KOŁYSANKA NA TRĄBKĘ I ŚLINĘ

Rozmowa odbyła się
21 stycznia 2010 roku
w Warszawie

Wyrachowani, nudni, źli. I czemu nadal siedzą u mnie w domu! O politykach i ich pieśniach mówi fachowiec **Wojciech Waglewski**

Chwilę przed naszą rozmową śledził pan w telewizji przesłuchanie Chlebowskiego... Trafiliem na kibica Tuska?

– Odpowiem na okrągło: bo komu miałbym kibicować? Nie pojawił się na firmamencie nikt, kto miałby do zaoferowania taką propozycję, po której polityka przestałaby mnie wreszcie interesować... Na dodatek uważam, że cechy psychofizyczne, które dziś tworzą dobrego polityka, są mi obce. Innymi standardami mierzy się polityka. Jeśli poseł Brudziński mówi, że „premier Tusk lata codziennie samolotem z rodziną”, po czym się okazuje, że to nieprawda, a redaktor Karnowski mówi na to: „A bo politycy różne rzeczy mówią”, to znaczy, że standardy w polityce są mi kompletnie obce. A Tusk, Platforma proponuje mi, że ich będzie w moim życiu stosunkowo mało, że nie za bardzo będą mi przeszkadzały, i na razie tak jest. No i jeżdżąc po Polsce, widzę troszkę więcej uśmiechniętych ludzi niż dwa lata temu.

Czy w związku z tym ze smutkiem pan obserwuje wykrwawianie się PO w komisji habzardowej?

– Oglądam to ze spokojem. Bo pamiętam swoje emocje z czasów, kiedy dowiedzieliśmy się od PiS nie tego, że dziadek Tuska był w Wehrmachcie, tylko że poszedł tam „na ochotnika”. Pamiętam, jak zacząłem wsysać ten cały ping-pong, zobaczyłem, że PiS działa na zasadzie „mierny, ale wierny”; że nie ma tam osoby, na której można by „oko zawiesić”, czyli wysłuchać; że każda wypowiedź przedstawiciela tej partii jest totalnym atakiem na wszystkich. A na mnie – faceta, który to ogląda – przede

wszystkim, bo obrażają moją inteligencję i mój życiorys... Pamiętam, że ta partia wbiła sakramencki klin między znajomych, kolegów. To wtedy dowiedziałem się, że jeśli jestem przeciwko PiS, to znaczy, że jestem za Platformą, co wydaje mi się chorobliwą interpretacją. Tyle. A PO nie kocham. Po prostu są tam osoby, którym troszkę dowierzam, w których inteligencję wierzę bardziej. Bardzo mi się podoba to, że armia przestaje być zawodowa. Bardzo mi się podoba, że są wreszcie widoki na autostrady. Więc gdybym nie trzymał kciuków za Tuska, to tak, jakbym nie trzymał za to wszystko, co się może dobrego w kraju zdarzyć. Co wcale nie znaczy, że Tusk jest dla mnie ikoną czy archetypem samego dobra.

Ale wystarczająco dużo nadziei pan z nim wiąże, żeby oglądając Chlebowskiego, łkać...

– Nie, nie łkam. Był taki moment, że się trochę pętałem przy AWS przerażony, że SLD ma szansę wrócić, pełny wiary, że w AWS są ideowcy. No i niektórym ideowcom się przyrzekałem z bliska i to mnie pozbawiło jakichkolwiek złudzeń. Wracając do owego Chlebowskiego – nie za bardzo wiem, na czym ma polegać ta afera poza estetycznymi naruszeniami. Media szybko podchwyciły refren „cmentarz, Rychu, Zdychu”, ale od tego powtarzania afera nie robi się poważniejsza.

Ale może się okazać, że Kamiński miał o tyle rację, że premier na przykład, nieumiejętnie rozmawiając o ustawie z głównymi graczami, ostrzegł podsłuchiwanym. I to może PO wywrócić.

– Może, ale mam nadzieję, że nie. Tylko kiedy myślę o tej sprawie w sposób modelowy,

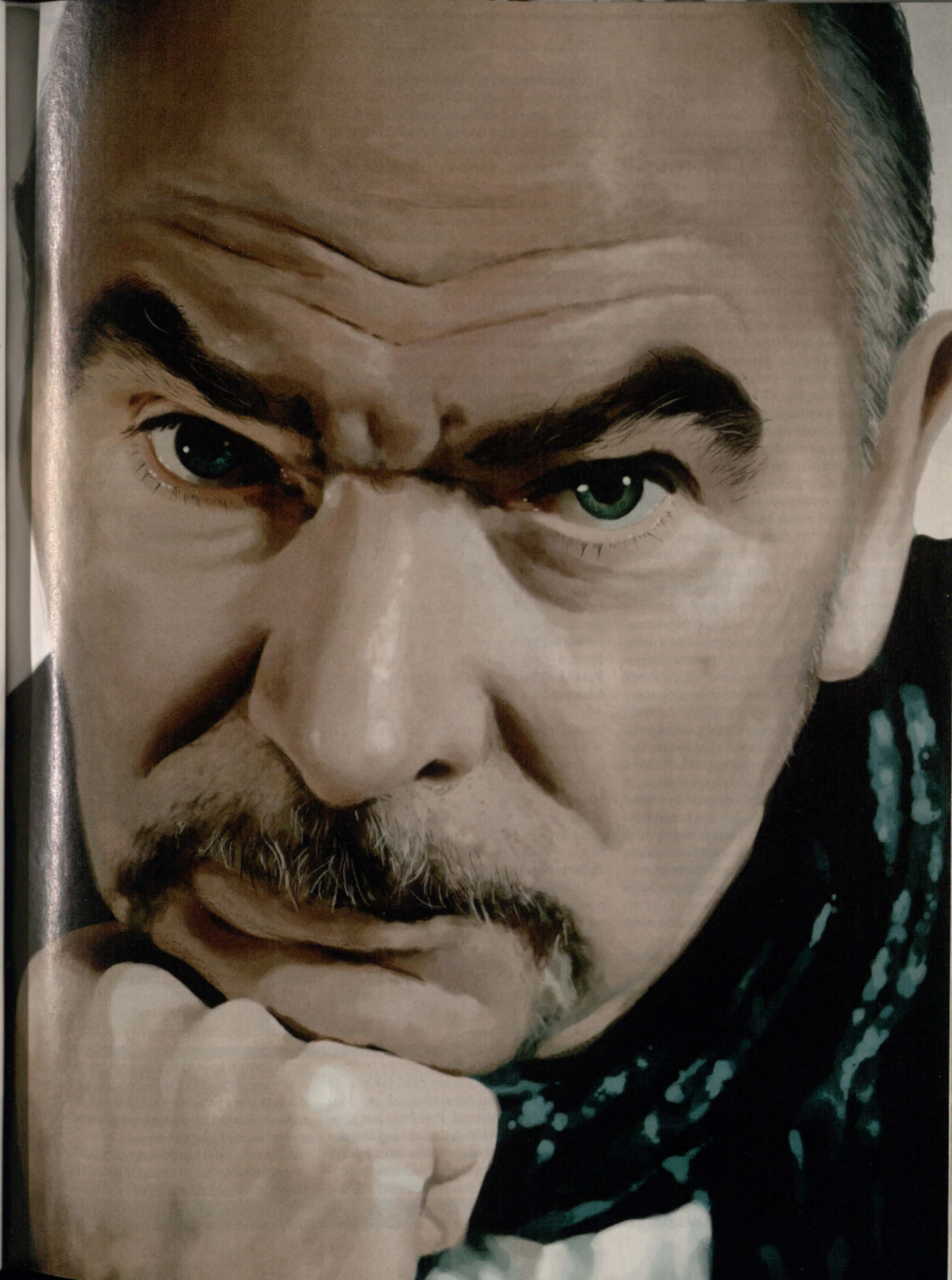
to wiem, że do tej sytuacji nigdy by nie doszło. Wyobrażam sobie, że jeśli jakiś funkcjonariusz, urzędnik państwowy widzi nieprawość, która się odbywa w jakimś urzędzie, to on jest po to, żeby się z tą nieprawością uporać. A on tymczasem tylko sygnalizuje premierowi w sposób bardzo niejasny, że coś jest, ale właściwie tego nie ma, bo nie wiadomo, czy on powiedział, że ma się tym zająć prokuratura.

Były szef CBA jakie wrażenie na panu zrobił?

– Kamińskiego obserwuję od dawna... On mi się bardzo kojarzy z taką ciasnością i napięciem wewnętrznym, więc z literaturą austriacką, z „Procesem” Kafki na przykład. Myślę, że to jest człowiek absolutnie przekonany o swojej uczciwości, słuszności swojej misji, co powoduje, że ja się go boję.

A nie powinien pan raczej kochać tak oddanego swojej pracy urzędnika?

– Takie poczucie misji mieli i urzędnicy w carskiej Rosji, i w komunizmie, dobrzy urzędnicy przekonani o swojej nieomyślności. W jego przypadku odnoszę też wrażenie, że on widzi przestępstwo, zanim je wykryje. On już wcześniej ma jego wizję... I późniejsze odkrycia do niej dopasowuje. W ogóle cała działalność PiS wygląda jak taka strategiczna gra planszowa o budowaniu swojej władzy. Zasadą jest szukanie przeciwnika. Ich władza budowała się przecież na tym, żeby znaleźć tego gorszego, brzydszego, tych pseudointelektualistów, tych jakichś tam artystów, jakichś tam lekarzy. „Co tam, lekarzu, masz w garażu?” – że zacytuję Dorna. I Kamiński świetnie się w tej grze sprawdza na zasadzie „szukasz teraz złodzieja, masz cztery ruchy do przodu”. To prosta, niewymagająca gra, więc dziwiłem się, słysząc ten chór głosów, że Kaczyński to „genialny strateg”. Czy genialnym jest ten, komu udało się podzielić kraj tak wyraźnie, że doprowadził wręcz do nienawiści środowiskowej na przykład środowiska dziennikarzy? →





→ I w konsekwencji doprowadza do upadku własnego rządu, który się zamknął w swoim żelaznym elektoracie, otoczony potakiwaczami? Dla mnie to był koleś, który po prostu walił mnie i wszystkich moich znajomych poniżej krocza... Gdzie ta strategia, co ona zbudowała fajnego przez te dwa lata?! Gdyby oni tę swoją grę planszową dziś prowadzili, rządząc, to słyszełbym, że kryzys podzucili nam wstrętnei kapitaliści i musimy z nimi walczyć! I powiększać deficyt. I powiększać. Bo co by innego robiła ta bidna Zyta Gilowska. Ostatnio usłyszałem, jak mówiła, że nie zrealizowała swojej reformy finansów, bo jej w tym przeszkodziła „ta straszna afera gruntowa”. Ale co to była „afera gruntowa”, kto to wymyślił? Koleżka zza ściany w rządzie. Ci ludzie czasami operują takim językiem, jakby mówili do kompletnych debili. I widocznie jest taka grupa – debili to może za mocno powiedziane – którzy nie stają na bardziej analityczne myślenie, wyławianie sprzeczności w tym, co oni mówią.

A my, Polacy, nie popadamy w debilizm w całej swojej masie?

– Każdy naród podany w masie jest debilny, świat w masie zawsze jest straszny, masy są okropne. I dlatego każdy mający tego świadomość, między innymi właśnie pan Kaczyński, chce nas ukierunkować w taki wąski strumień i takich poprowadzić jako zbrojne ramię do ataku na tych wszystkich, którzy nie są z nim. Ja się „nas” boję, dlatego może troszkę minąłem się z powołaniem, bo nienawidzę dużych festiwalu, dużych koncertów, bo wiem, co może się zdarzyć. Graliśmy kiedyś z Osjanem w takiej niemieckiej komunie, w której okazało się, że przebywają też ekstremiści z kałasznikowami pod łóżkiem. Graliśmy tam koncert, wszyscy byli w amoku i nagle jakiś koleś wyskoczył z kałasznikowem i zaczął nawoływać do rozwalenia wszystkiego naokoło. A to był koncert dla 500 osób. Grając dla dwóch czy trzech tysięcy ludzi, już nie mówię o większych koncertach, masz świadomość, w momencie kiedy wszystko zaczyna wrzeć, że możesz zrobić z tymi ludźmi wszystko. I to jest straszne.

Budzi się wtedy w panu wódz, chce nad nimi panować?

– Nie. Moim zdaniem muzyka jest najpiękniejszym rodzajem sztuki. Urok tego zawodu polega na tym, że coś się dzieje w tym miejscu, w tym konkretnym czasie. Jeśli improwizujesz, to widzisz reakcję od razu. I w muzyce bardzo dokładnie widać tę walkę intelektu z emocjami. Są koncerty grane przez fantastycznych muzykantów, które są nudne, bo oni nie panują nad emocjami. To jeden wielki wyziew emocji i oni mogą z tobą w którymś momencie zrobić wszystko, ale sztuka przestaje mieć jakiegokolwiek sens, kiedy powoduje, że umysł się wyłącza. To jest groźne. I muzycznie, koncertowo nudne. W budowaniu koncertu przemysłowa i konsekwentnie realizowana dramaturgia jest niezwykle ważna. Bo muzyka, na-

wet ta jazzowa, nie polega na tym, żeby wyjść i zagrać najpiękniej, jak się umie, a schodząc ze sceny, mówić: „Ale mi się fajnie grało”, tylko na tym, żeby przekazać jakąś informację, komunikat. Moim komunikatem jest radość życia. Jestem człowiekiem, który bardzo się cieszy z tego, że w ogóle się pojawił na świecie, że ma szansę na tym świecie przebywać, poznawać ludzi, poznawać dźwięki, poznawać sztukę. Taką bym chciał przekazać energię.

A czy czasem nie jest pan w wieku, w którym powinien swoim słuchaczom zacząć opowiadać o końcu, śmierci?

– Przecież ja o śmierci zacząłem opowiadać 30 lat temu.

To było przedwczesne i z pewnością bez znajomości rzeczy.

– Opowiadam o śmierci cały czas. Natomiast jeśli będzie pan w moim wieku, to pan zrozumie, że człowiek śmierci się przygląda coraz łagodniej. Ona jest większym problemem, kiedy ma się lat 30 niż 50 parę. Też z wiekiem doszedłem do wniosku, że strasznie dużo czasu zmarnotrawiłem na jakąś tam publicysty-

gle słyszysz „deszcz”, „deszcze” czy „lejaż” Demarczykowej. Nagle słyszysz, że tego się nie da w żadnym języku zagrać.

Politycy nie mają pańskich obaw i używają rozentuzjasmowanych przez siebie tłumów.

– Dlatego na przykład Osjan zawsze kończy koncert wyciszeniem, żeby myśli miała szansę zostać, choćby taka, że „jestem zupełnie pozbawiony myśli”. Żeby zostawało uczucie pewnego spokoju, oczyszczenia. Bo strasznie łatwo jest ludzi uruchomić, rozpędzić. To tak proste, że aż mi nie wypada czegoś takiego robić. Mnie nie interesują rzeczy banalne i proste.

A polityków właśnie one interesują. Gdybyśmy mieli zastosować analogię muzyczną do polityki, to PiS jaką gra muzykę?

– Pierwsze podrygi PiS to było coś takiego jak trąbka na pobudkę w wojsku, żebyśmy się obudzili. A potem się okazało, że w zasadzie bez sensu mamy się budzić, bo to wszystko, co mamy za sobą i co przed sobą, to jest jakaś czarna dziura. Ostatnio to brzmi inaczej. Pamiętam radio w stanie wojennym: wszyscy mówili z jednej strony takim przyciszonym

Każdy naród podany w masie jest debilny, świat w masie zawsze jest straszny, masy są okropne

WOJCIECH WAGLEWSKI

kę, po której ślad nie został, jakieś manifesty, pierdoły... A tak naprawdę istnieje parę tych podstawowych pytań: o kosmos, o wszechświat, o śmierć, o miłość i o swoje miejsce.

Pytań bez ostatecznych i zadowalających odpowiedzi.

– Ich nie ma, ale na tym polega piękno tych pytań i piękno posługiwania się słowem. W którymś momencie dochodzi się do tego, że słowo nie musi niczego konkretnego znaczyć, że może być jak dźwięk, że ono...

Nie niesie treści?

– Tak. Myśmy mieli w czasach jarocińskich przewagę słowa nad dźwiękiem, nauczyliśmy ze sceny: Wstań! Walcz! „Coś tam” zobacz!

Byliście Kaczyńskim.

– Dokładnie. A od pewnego czasu moim marzeniem jest zrobienie ze słowa czegoś na kształt dźwięku, żeby nie niosło za sobą jednej, zdecydowanej odpowiedzi, żeby dawało przestrzeń do zagospodarowania. I dopiero niedawno mi się to zaczęło udawać. Jest taka teoria dotycząca sztuki w ogóle, a muzyki w szczególności – nazywa teorią lingwistyczną, a opiera się na tym, że słowa wyrażające najgłębszy stan emocjonalny w jakimś języku określają charakter całej muzyki tworzonej przez posługujących się nim. Jak ma się *Ich liebe dich*, to już wiadomo, jak ten Mozart czy Wagner brzmiał. Podobnie jest z rosyjskim *ja lubię ciebie*. A angielskie *I love you* jest w ogóle samogłoskowo, szeroko itd. Język zaczyna mieć zupełnie inne znaczenie, samogłoska zaczyna mieć inne znaczenie. Trudno jest spojrzeć na własny język z zewnątrz, ale za granicą zaczyna się go słyszeć inaczej. I na-

głosem, a z drugiej cały czas jątrzyli i atakowali, jak to jest na przykład źle za granicą. PiS stosuje dziś chyba podobne dźwięki. One mają być nie za gwałtowne, przynajmniej w tej chwili widzę, że pani poseł Kempa się uśmiecha, a jednocześnie jest taki totalny wyziew nienawiści i słabości. Ja akurat pracuję w zawodzie pracownika muzycznego zajmującego się bigbitem. To jest najzdrowsze jądro artystyczne w Polsce, ponieważ to są ludzie, którzy się szanują, lubią. I kiedy słyszę, jak ludzie PiS zaczynają każdą wypowiedź negatywnym zdaniem o przeciwniku, to wyobrażam sobie, że ja każde zdanie zaczynałbym od tego, jak słabą płytę nagrał Janerka. To jest niewyobrażalne. Są takie zespoły i tacy artyści w Polsce, którzy budowali swoje kariery na ataku na innych artystów, i o nich nikt już nie pamięta.

Wróćmy do polit-muzyki. Czy z kolei Platforma nie nuci i nie gra cały czas kołysanki?

– Nawet jeśli, to jest to lepsza muzyka niż to, że wcześniej przez dwa lata byłem bez przerwy wzywany na konferencje prasowe, przed telewizorem po prostu stałem na baczność i byłem na apelu. Bez przerwy ktoś mi mówił, kto mnie atakuje, co mi grozi itd. Teraz, gdyby nie ta sprawa hazardowa, w ogóle by mnie nie interesowało, co PiS ma do powiedzenia.

Ale jest afeta hazardowa, która być może odsunie Tuska i jego partię od władzy, skądże go na banicję i apele wrócić.

– Ale co się stało oprócz tego, że doznaliśmy pewnego szoku estetycznego? Jestem człowiekiem, który głęboko wierzy w mądrość mojego narodu, i w imieniu Polaków panu teraz powiem, że wszyscy Polacy są mądrzy, in-

teligentni i nie pozwolą na powrót tych bezceństw. I nie jestem przekonany, czy powszechnie ludzie są tak krytycznie nastawieni do tej afery, jak nam się wydaje, skoro mimo wszystko w wynikach badań PO nie spadła tak bardzo...

Bo może kołysanka jest dobrze grana?

– Nie dlatego, że kołysanka, tylko dlatego, że jesteśmy w Polsce. W Polsce, odkąd pamiętam, nie szuka się pracy, tylko się „załatwia” pracę. W Polsce się nie idzie na studia, tylko się „załatwia” studia, itd., itp. A co robili tenże Chlebowski i Drzewiecki z kolegami, coś tam chcieli sobie „załatwić”... A z drugiej strony, jeśli sobie na dzień dobry powiedzieliśmy, że za sprawą – w moim przekonaniu – PiS standardy uczciwości, że zacytuje redaktora Karnowskiego, polegają na tym, że „politycy różne rzeczy mówią”, no to dlaczego się ich czepiać.

Słucha pan języka polityków?

– Tego nie da się słuchać za bardzo ze względu na formę, gramatykę, składnię.

Może oni celowo tak mówią?

– Nie, no niech pan przestanie...

Język emocji może mieć gdzieś gramatykę i składnię.

– Gdzie wy te emocje widzicie u tych naszych polityków? Emocje to są w Anglii, gdzie się naparżają, czy tam gdzieś w Tajlandii, gdzie się okładają butami! Tu nie ma żadnych emocji. Jest taka wyrachowana nowomowa. Przecież jak się słucha marszałka Putry w radiu, który zaczyna swoje: „No, bo powinno się tak...”, i po prostu dowala przeciwnikowi, jak Gomułka kiedyś swojemu, to gdzie tam są emocje?! Ta nowomowa zawiera w sobie elementy słownika pana Rydzika i elementy słownika pana Gomułki. Po to, żebyś ty jako człowiek w twoim wewnętrznym przekonaniu pokrzywdzony przez wszystkich odnalazł wroga sprawcę. Nawet nie po to, żebyś poprawił sobie to życie, tylko żebyś wiedział, że to życie ci spieprzył sąsiad, pedał, Żyd. Więc ten język nie jest językiem spontanicznym. I na dodatek wszyscy posługują się tymi samymi zdaniami. I to nie dotyczy tylko PiS.

Chór panu jako muzykowi powinien imponować.



Wojciech Waglewski, 56, gitarzysta, wokalista i kompozytor. Grywał jako muzyk sesyjny w składach rockowych i jazzowych (między innymi Bemibem), od lat 70. współtworzył legendarny, dziś rzadko nagrywający zespół Osjan. Był członkiem supergrupy Morawski Waglewski Nowicki Holdys, a w połowie lat 80. założył formację Voo Voo w oryginalny, surrealistyczny sposób łączącą folk, jazz i rock. Grywał w duetach ze Stańką i z Maleńczukiem, tworzył muzykę filmową, produkował też debiutancki album Marii Peszek „Miasto Mania”, na którym po raz pierwszy zagrał ze swoimi synami Bartoszem (bardziej znanym jako Fisz) i Piotrem (Emade), filarami polskiej sceny hiphopowej. Wspólnie z nimi odebrał nagrodę Fenomen „Przekroju” w 2004 roku.



– Chóralnie deklamują, jeśli usłyszysz się jakąś wypowiedź jakiegokolwiek przeciwnika Platformy w związku z jakimś wydarzeniem o godzinie 8 rano, to już wiadomo, że przez następny miesiąc te same zdania będą nam towarzyszyły w tysiącach interpretacjach.

Więc nie ma w panu podziwu dla ich zgrania?

– Nie, bo ja jestem muzykiem improwizującym. Improwizacja i właśnie owa spontaniczność w ogóle są dla mnie podstawą. Tego w ich mowie nie ma. Jest zaplanowana manipulacja, a ja nie chcę być tak manipulowany i nie życzę sobie, żeby kiedykolwiek w moje dzieci, moje wnuki ktoś wpakował taką ilość jadu, nienawiści, jaką wadłował we mnie, w moją rodzinę, w moje życie ten cały kram bliźniaków...

Są, widzę, silne emocje. Może by pan nagrał jakąś płytę o polityce?

– Natychmiast, już, już leć! Zgadza się z tymi wszystkimi, którzy twierdzą, że się na polityce nie znam. I nie chcę się znać, jest to teren działania dla mnie obrzydliwy.

Ale śpiewa pan dla wyborców.

– Mam nadzieję i śpiewam między innymi o wolności i ścieżkach. I tego wszystkim bym państwu życzył. Bo uważam, że każdy, kto próbuje zniewalać w jakikolwiek sposób nasze umysły, nasze emocje, powinien zniknąć ze świata polityki. A tak naprawdę uwierzę w jakąś politykę, jeśli dzięki jakiemuś ministrowi kultury i sztuki odczuje większą obecność wartościowej kultury i sztuki w moim życiu codziennym. A jest troszkę podobnie jak w stanie wojennym – im gorsze media, tym fajniej jest pod spodem. Nigdy nie było tak ożywionego kulturalnie roku kulturalnie jak ubiegły przy absolutnej olewce tego faktu przez media. To są dwa światy. Kiedyś widziałem taki filmik nakręcony przez BBC jeszcze w stanie wojennym pokazujący Polskę przez pryzmat festiwalu w Jarocinie i w Kołobrzegu. Teraz jest tak samo. Można pokazać Polskę przez pryzmat festiwalu w Opolu i na przykład festiwalu Rojka.

Czyli znowu przetrwamy dzięki państwu podziemnemu?

– To państwo podziemne, niezależne to jedyna nadzieja. Jestem przekonany, że w tej chwili 90 procent ludzi obserwujących kulturę na podstawie mediów nie wie, jak wygląda trąbka, a mamy jednego z największych trębaczów na świecie. Jestem pewny, że estetycznie to podziemie jest potęgą. A właściwie to nie jest podziemie, to media są w podziemiu.

I tylko o tym nie wiedzą?

– Nie wiedzą, bo skąd mają wiedzieć, skoro oglądają tylko telewizję. To jest proste jak drut – telewizory publiczne mają tak zwane słupki oglądalności, a kto ogląda telewizję pasjami, kto nabija te słupki? Program „Jaka to melodia” ogląda społeczność małych miasteczek i wsi, więc ludzie, którzy nie uczestniczą w kulturze, kreują kulturę w telewizorze – to jest oczywiste. Telewizja, która z definicji powinna kreować, tylko się odbija od gustów ludzi, którzy nie uczestniczą w kulturze, no i kółko się zamyka.

CHCE BYĆ OSOBY

W TYM ZAWODZIE WSZYSCY CHCĄ BYĆ JAK JOHN Malkovich, Greta Garbo albo Marlon Brando. Wszyscy z wyjątkiem Tildy Swinton, która chciałaby być jak... osioł. Poważnie. Aktorskim ideałem jest dla niej poniewierany przez los i ludzi kłapouchy bohater filmu Roberta Bressona „Na los szczęścia, Baltazarze!”. – To mój cel, to mój święty Graal. Być tak zwierzęcą jak ten osioł – oświadczyła w jednym z wywiadów. Można się z tego śmiać, można uznać to za prowokację, ale jeśli ktoś widział ten stary francuski film, wie, że Szkotka wysoko ustawia sobie poprzeczkę. Wystarczy wspomnieć scenę, w której Baltazar ze smutkiem przygląda się zamkniętym w klatkach dzikim zwierzętom (a one jemu), a stanie się jasne, że tak niesłychany poziom emocji przy tak ograniczonych aktorskich środkach to nie lada osiągnięcie.

Nie grać, lecz intensywnie istnieć na ekranie – oto credo osiołka Bressona i Tildy Swinton.

Jestem artystką, jestem freakiem

Gdyby zrobić listę najbardziej zdewaluowanych i nadużywanych wyrazów, bez wątpienia byłoby wśród nich słowo „ikona”. Wystarczy mieć rozpoznawalną twarz, pokazać się na bankiecie albo raz porządnie się ubrać, by zaraz stać się „ikoną stylu”, „ikoną piękna”, „ikoną mody”, „ikoną kina”. Tymczasem Tilda Swinton naprawdę jest ikoną – choć nie w żadnym ze wspomnianych znaczeń. W filmach najczęściej pojawia się jako znak, figura, a nie osoba z krwi i kości. Jest tak charakterystyczna ze swoją porcelanową cerą, pociągłą twarzą o ostrych rysach i dużymi zielonymi oczami, a jej uroda jest zarazem tak egzotyczna* i niepokojąca, że już samo pojawienie się na ekranie tej dziwnej osoby coś znaczy.

Wysoka, chuda, bladolica, pozbawiona stereotypowych atrybutów kobiecości, czyli bioder i biustu (opowiada, że kiedy zakłada spodnie, ludzie zwracają się do niej „proszę pana”), posiadała niesłychaną zdolność transformacji. I – jak sama podkreśla – zmiana tożsamości jest tym, co ją naprawdę fascynuje, nie tylko w kinie: „Może dlatego, że je-



Raz jest chłopcem,
raz kobietą, raz
aniołem, raz wiedźmą,
raz królową, raz
ulicznicą. Lecz choć
zmienia się łatwiej
niż kameleon, nie lubi
być nazywana aktorką.
I słusznie: aktorek jest
wiele, **Tilda Swinton**
– jedna

stem performerką, może dlatego, że jestem artystką, może dlatego, że jestem freakiem” – wytłumaczyła w jednym z wywiadów swoje uwielbienie dla ciągłej przemiany.

Dostrzegli je i wykorzystali reżyserzy poeci tacy jak Sally Potter, która obsadziła Swinton w głównej roli w pamiętnym „Orlando” (1992 rok) na podstawie powieści Virginii Woolf czy outsider Derek Jarman, u którego debiutowała i z którym nakręciła siedem filmów. Ich przyjaźń i współpracę przerwała dopiero śmierć, tego artysty i aktywisty gejowskiego, na AIDS w 1994 roku.

Jako Orlando rudowłosa Szkotka swobodnie przekraczała barierę płci, z męczyzny przeistaczając się w kobietę. Jej androginiczny wdzięk jest też siłą choćby „Caravaggia” (1986 rok) Jarmana. Rumiana, prostacka Lena o aparycji ulicznika w scenie, w której pozuje do obrazu Marii Magdaleny, subtelnie i pięknie tak nieoczekiwanie, że ilekroć oglądam ten film, zastanawiam się przez moment, czy to aby na pewno ta sama aktorka.

Niemal nierozpoznawalna jest w „The Limits of Control” Jima Jarmuscha (właśnie wchodzi do polskich kin – naszą entuzjastyczną recenzję przeczytacie na s. 50) w kowbojskim kapeluszu, prochowcu, ciemnych okularach. I znów nie jest postacią, do jakich przyzwyczaiło nas konwencjonalne, mainstreamowe kino – której motywację możemy przeniknąć, cele zrozumieć, a emocje poczuć i zobaczyć na twarzy aktora. U Jarmuscha Swinton znów jest ikoną, tym razem kina: przychodzi odziana w atrybuty odsyłające do różnych filmowych gatunków, mówi o Hitchcocku, wspomina rolę Rity Hayworth w „Damie z Szanghaju”. Wnosi na ekran wiele znaczeń, ale ich nie rozszyfrowuje.

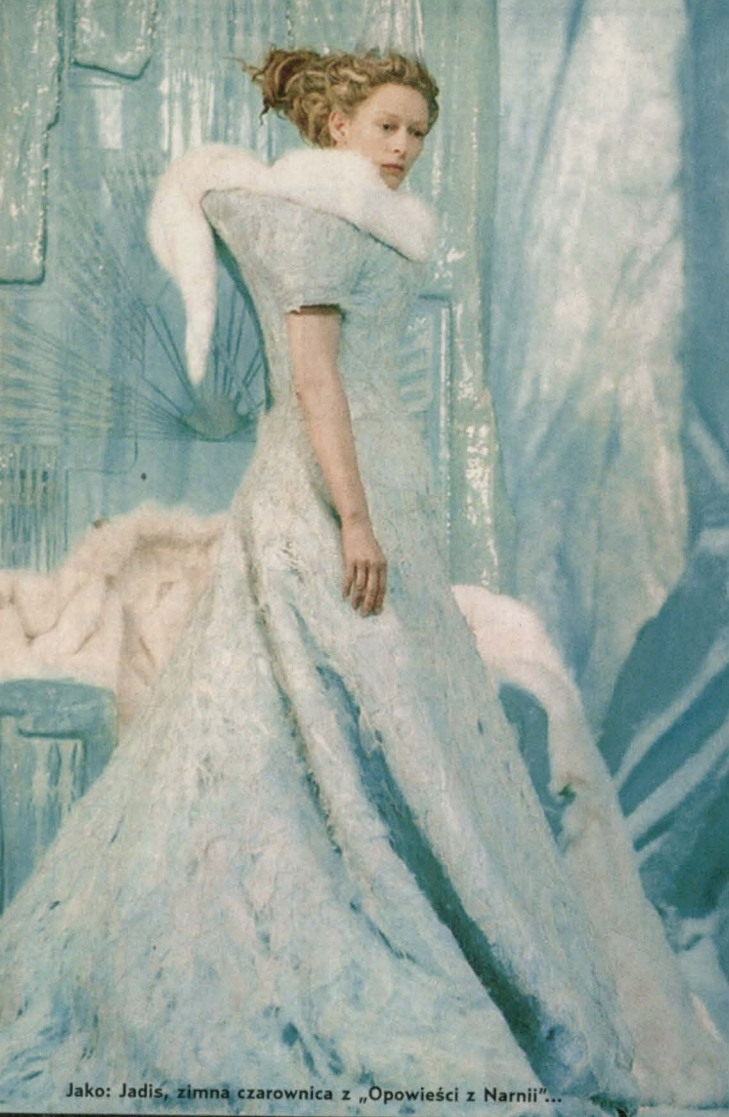
Królowa śniegu

Tilda Swinton pytana o to, co ukształtowało ją jako aktorkę, pewnego razu przytoczyła anegdotę z czasów dzieciństwa. A warto wiedzieć, że dorastała w szkockiej rodzinie szlacheckiej się szlacheckim pochodzeniem – korzenie jej rodu sięgają aż IX wieku. Swinton, nim wybrała bohemę, pobierała nauki w szkole z internatem, do której uczęszczała także Diana Spencer, przy czym cel edukacji był jasny: znalezienie odpowiedniego męża. Dianie, jak wiemy, to się udało, a Tildzie nie. Choć właściwie to odwrotnie... No, ale nie zajmujemy się tu historią brytyjskiej rodziny królewskiej. Dość, że z tamtych młodościowych czasów Swinton zapamiętała powrót matki z pewnego pogrzebu: – A jak wdowa? – miał zapytać sir John, generał major, kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego, czyli tata Swinton. – Była wspaniała – odrzekła, nie kryjąc uznania, jego żona. Wieloletni trening w powściąganui emocji, przybieranie masek stosownych do okoliczności, umiejętne odgrywanie ról, by zyskać →



Androginiczna, chuda
Tilda Swinton to
idealny wieszak
na ubrania. Nic więc
dziwnego, że upodoba-
li sobie projektanci
mody. W 2003 roku
wystąpiła na pokazie,
jako modelka
Viktora & Rolf'a

* „W jednej chwili wygląda jak **Marlena Dietrich**, a w drugiej jak **Gollum**” – komplementował aktorkę na łamach „The Observer” jeden z jej znajomych



Jako: Jadis, zimna czarownica z „Opowieści z Narnii”...



demoniczny archanioł z „Constantine”



ona Lena z „Caravaggio”...



Michaela Clayton z „Michaela Clayтона”...



...enigmatyczna Blonde z „The Limits of Control”

Nie demonstruje swojej obecności na ekranie. A jednak niepostrzeżenie skupia na sobie wagę – mówił o niej David Fincher, reżyser „Ciekawego przypadku Benjamin Buttona”

→ pokłask towarzystwa – czyż można wyobrazić sobie lepszą szkołę aktorską?

Może to także efekt dorastania w świecie konwenansów, a może sprawia to jej uroda, ale cechą większości bohaterek Swinton jest dystans i chłód. Obserwujemy je, lecz tak naprawdę nie mamy pojęcia, co naprawdę z nimi i w nich się dzieje. Rzeczywiście, trudno było znaleźć lepszą aktorkę do roli złej królowej w „Opowieściach z Narnii” (cz. I – 2005, cz. II – 2008 rok). Nie paskudnej, nie robiącej wstrętne miny, lecz po prostu zimnej i nieprzewidywalnej. Królowej śniegu. Równie enigmatyczne postaci grała w „Ciekawym przypadku Benjamin Buttona” (2008 rok), gdzie pokazała się jako zwariowana pływaczka owdziałna pragnieniem przepłynięcia kanału La Manche, czy w „Michaelu Claytonie” (2007 rok). Tu wcieliła się w rolę zimnej korporacyjnej prawniczki, która ukradkiem wymiotuje i poci się ze strachu.

Nieprzenikniona była jej bohaterka z mrocznego dramatu „Młody Adam” (2003 rok): brzydka, milcząca właścicielka barki do wożenia węgla, która daje się ponieść ro-



prawdopodobnie kobieta z „Orlando”...

szorstka Ella z „Młodego Adama”...

mansowi z młodszym od niej outsiderem pracującym jako jej pomocnik. Film Davida Mackenzie budził kontrowersje ze względu na naturalistyczne sceny seksu z udziałem Ewana McGregora i Swinton. Dla tej ostatniej rozbieganie się na ekranie to żadna nowość – szkocka aktorka robiła to wielokrotnie i z taką swobodą, jakby właśnie szła pod prysznic we własnym domu, a nie stała przed kamerą. W „Strefie wojny” (1999 rok) pokazała swoje ciało kilka tygodni po porodzie, uznając, że jak najbardziej służy to postaci, która też rodzi dziecko. Dziwne? Szokujące? Cóż, Swinton nie ma potrzeby przypodobać się widzowi za wszelką cenę. Potrafi być zachwycająca, ale i odpychająca. W jej filmografii na próżno szukać ról amantek, ciepłych, sympatycznych pań biegających na randki. To zresztą ciekawe, bo jeśli już próbuje grać zwyczajne kobiety, jeśli sięga po emocje i psychologizowanie, ekranowy efekt bywa średni, czego dowodzi choćby „Julia” (2008 rok), gdzie jako zdesperowana pijaczka porwuje chłopca, a ten przemienia ją w dojrzałą, odpowiedzialną i czującą osobę. Podobnie z „Przypadkiem Stepha-

nie Daley” (2006 rok) – tu z kolei jej bohaterkę dręczy niepokój związany z narodzinami dziecka. Obie role mogłaby zagrać każda inna aktorka. Nie każda jednak mogłaby za to wcielić się w Orlanda i powiedzieć: „Tak, prawdopodobnie jestem kobietą”.

Życie w trójkącie

Obcość, nieprzystosowanie, odmiennność. Tilda Swinton najlepsza jest w rolach osób nie dopasowanych, innych. I to skojarzenie, jak również androginiczna uroda i styl – a także związki z Derekiem Jarmanem – sprawiły, że Szkotka jest bardzo ważną postacią dla środowiska LGBT. Przed rokiem, gdy przewodniczyła jury festiwalu w Berlinie, otrzymała honorową nagrodę Teddy przyznaną właśnie przez jury złożone z homo- i transseksualistów. Aktorka przekonywała wtedy, że dla niej to wyróżnienie ważniejsze niż Oscar, którego dostała w 2008 roku za drugoplanową rolę w „Michaelu Claytonie”. Na wielkiej hollywoodzkiej gali również miała okazję zdemonstrować swoją odmiennność. Jedni zwrócili uwagę, że przyszła po swojego Oscara nieuma-

lowana. Inni, że nie towarzyszył jej mąż John Byrne, dramaturg i malarz, lecz inny artysta – o 20 lat młodszy od Swinton Sandro Kopp.

Co więcej, aktorka nie tylko wiele razy pokazywała się z Koppem, ale też nigdy nie ukrywała przed prasą, że doskonale żyje im się w trójkącie. – Może ludzi szokuje, że nie ma w nas żółci, goryczy? – zastanawiała się po raz kolejny pytana przez dziennikarzy, jak to możliwe, że Kopp, Byrne, ona i dwójka jej synów (z Byrne’em) pomieszkują sobie razem w posiadłości w szkockim Nairn.

Przekraczanie granic – to czyni spójnym ekranowy i medialny wizerunek Tildy Swinton. Ten z kolei nęci niezależnych artystów czy outsiderów kina, którzy chcą z nią pracować. Ostatnio zaangażowała się we współpracę z Marilynem Mansonem, którego film „Phantasmagoria: The Visions of Lewis Carroll” ma mieć premierę w tym roku. Podobnie jak „Die Blutgräfin” Niemki Ulrike Ottinger – film o Elżbiecie Batory, do którego scenariusz współtworzyła między innymi Elfriede Jelinek. Tilda Swinton miałaby oczywiście zagrać słynną księżną, która – jak głosi mroczna

legenda – kąpała się we krwi dziewic. Z Włochem Luca Guadagnino nakręciła (i wyprodukowała po 11 latach starań) „Io sono l’amore”, gdzie gra kobietę zakochaną w koledze syna.

Zdumiewające, jak udaje się jej pogodzić udział w niezależnych, awangardowych wręcz produkcjach, takich jak wspomniane już „Michael Clayton”, „Ciekawy przypadek Benjamin Buttona”, „Opowieści z Narnii” czy nawet „Tajne przez poufne” (2008 rok) braci Coenów (znów rola zimnej zdiury – tym razem jednak zagrana z humorem). Co ciekawe, amerykańscy reżyserzy chętnie widzą ją w rolach drugoplanowych, ale jak dotąd żaden z nich ani żadne studio nie odważyło się powierzyć niepokornej Szkotce głównej roli. Ona sama niespecjalnie o nie zabiega: – Wpadam tu jak turystka – mówiła o swojej amerykańskiej przygodzie w jednym z wywiadów. – To interesujące miejsce i warto je odwiedzić, ale ja jestem z innej planety.

Kiedy tak mówi, zaczynam wierzyć, że to ją miał na myśli E.T., kiedy chciał dzwonić do domu.

Po Obamie przyjdzie Obama, tyle że z prawicy. Jest Latynosem i staje się idolem partyjnych dołów

USA MACIEJ JARKOWIEC

„BÓG WYBRAŁ RUBIA”. ORGANIZATORCE HERBACIANEJ imprezy na kilka tysięcy osób w Inverness na Florydzie właśnie ten transparent podoba się najbardziej. 62-letnia Edna Mattos czeka na Wybranego (jej asystent wyjechał pilotować go z rogatki) i z radością patrzy na tłum. Na tablicach oprócz Rubia najważniejszy jest prezydent – „Hitler” i „islamista”, który ma „wracać do Kenii”. Zgromadzeni na miejskim placu wierzą, że to Rubio niedługo zastąpi go w Białym Domu. Mimo że Wybrany ma dopiero 38 lat i nie licząc mieszkańców Florydy, mało kto o nim słyszał. Tak jak w styczniu 2004 roku mało kto słyszał o 42-letnim samorządowcu z Chicago startującym w wyścigu o miejsce w senacie USA. Nazywał się Barack Obama.

Elektryzujący

– Gdy w końcu przyjechali, w ogóle go nie zauważyłam – opowiada Edna Mattos. – Zobaczyłam mojego asystenta i dopadłam go zniecierpliwiona: gdzie Marco, no, gdzie Marco?! – szarpałam go. A Rubio skromnie stał krok z tyłu. Zupełnie nie jak gwiazda, nie jak polityk – zachwyca się Edna.

Ale gdy już zawładnął sceną, był „elektryzujący”, „prawdziwy” i „szczerzy”. Młody, przystojny i pewny siebie. Ludzie widzieli „pasję i wiarę w każdym jego słowie”. Nie mieli wątpliwości, „że jest jednym z nich”.

Co do nich mówił?

Że Ameryka jest najbogatszym i najbardziej wolnym społeczeństwem w historii ludzkości i nie można tego zniweczyć.

Że to zwykli Amerykanie gotowi podjąć ryzyko tworzą miejsca pracy, a nie miliardowe pakiety stymulacyjne.

Że rząd nie powinien wydawać pieniędzy, których nie ma.

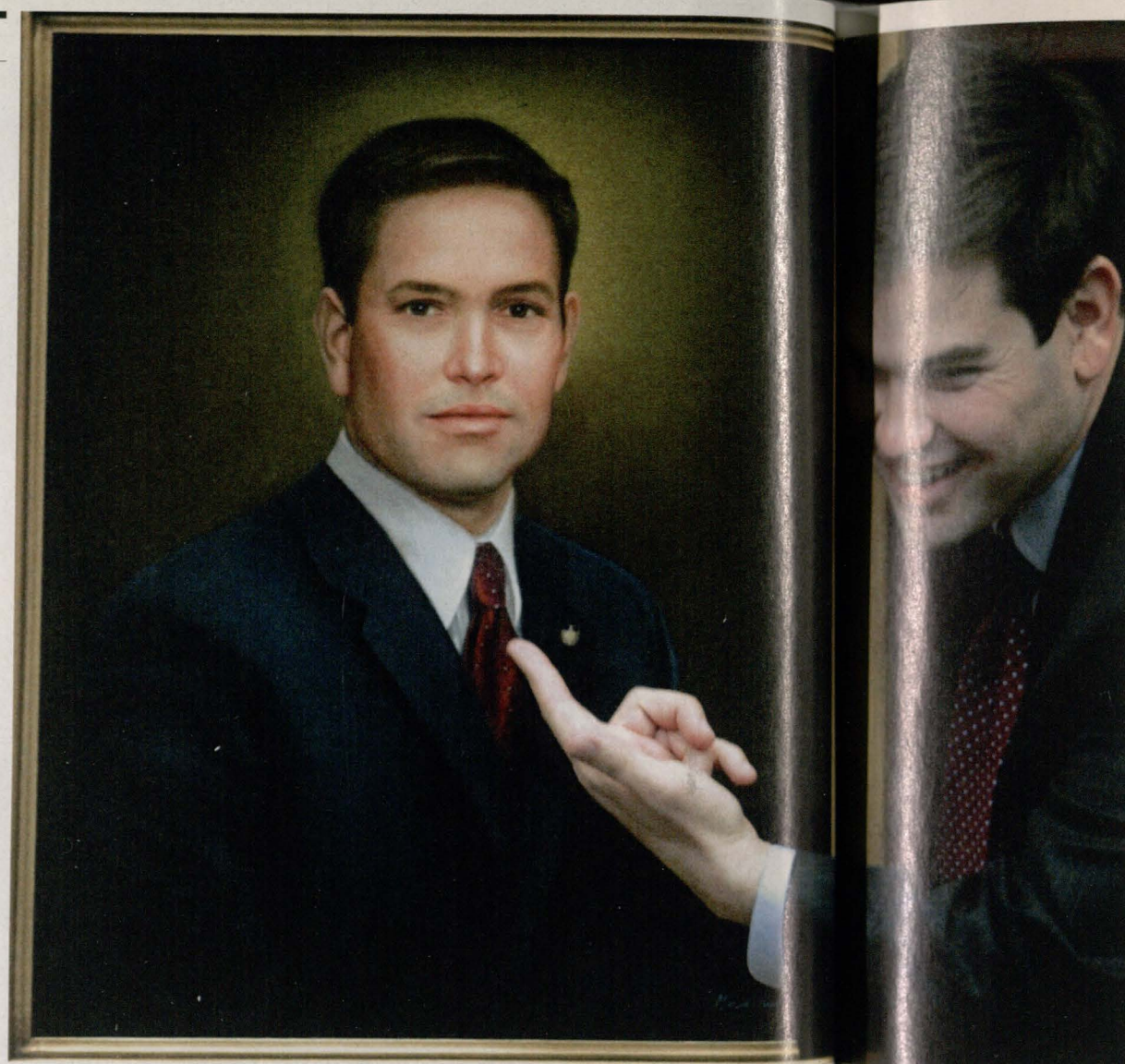
Że trzeba zmniejszyć i uprościć podatki.

Że kraj można naprawić, trzeba tylko odwrócić kierunek, w którym zmierza.

Jaki to kierunek? Socjalizm.

Naturalny

Silnym i szerokim ramieniem Marco Rubio obejmuje prawie całą swoją rodzinę – żonę i czwórkę dzieci. Siedzą na schodach swojego domu w West Miami (zachodnia część Miami mająca własne prawa miejskie). Tak jak oni ponad 90 procent tutejszej populacji to Latynosi. Rodzice Rubia przybyli z Kuby niedługo po tym, jak położył na niej łapę Castro. Ojciec (jeden z osiemnastorga rodzeństwa) całe życie pracował jako barman, matka była pokojówką. Marco skończył w West Miami zwykle, publiczne szkoły i miałby małe szanse na dobre studia,



Marco Rubio. Radykał klasą

gdyby nie stypendium. Gdy został prawnikiem, wrócił na stare śmieci i w radzie miejskiej rozpoczął polityczną karierę. Dziś mieszka z rodziną w tym samym kwartale, w którym się wychował, i osobiście chodzi do ratusza płacić rachunki za wodę.

Jego małżonka ma kubańsko-dominikańskie pochodzenie, urodę cheerleaderki (przez kilka lat zagrzewała do boju futbolistów z Miami Dolphins) i na świątecznym klipie nagrany przez sztabowców Rubia na schodach jego rodzinnego domu nie mówi nic, tylko się uśmiecha. Rubio życzy wyborcom dobrych świąt i droczy się z dziećmi, które mu przeszkadzają. Jest naturalny, spokojny, łagodny. Trudno uwierzyć, że ktoś taki stał się idolem zapiekłych i nienawistnych miłośników herbaty.

Konserwatywny

16 grudnia 1773 roku grupa kolonistów wdarała się na zacumowany w bostońskim porcie statek pełen herbaty i zniszczyła cały ładunek, szu-

flując go za burtę. Incydent przeszedł do historii jako bostońska herbatka (Boston Tea Party) i miał ogromne znaczenie w kształtowaniu się amerykańskiego ruchu rewolucyjnego, który nieco ponad rok później doprowadził do wybuchu wojny o niepodległość. A poszło o podatki – mieszkańcy kolonii Massachusetts sprzeciwili się opodatkowaniu herbaty przez Koronę Brytyjską. Tylko wybrani przez nich samych reprezentanci mieli prawo narzucać im jakąkolwiek daninę.

W początkach 2009 roku w odpowiedzi na kryzys gospodarczy i rzekome socjalistyczne zapędy nowego rezydenta Białego Domu w USA wykuł się nowy, masowy ruch picia herbaty – *tea party movement* (party w języku angielskim może znaczyć zarówno „impreza”, jak i „partia”). – *Tea party* to nowy szeryf w amerykańskiej polityce – mówi muzyk Lloyd Marcus, autor hymnu herbaciarzy.

A Mark Leibovich w analizie na łamach „New York Timesa” wyjaśnia, że ruch *tea party*

obejmuje tysiące lokalnych konserwatywnych inicjatyw wyrastających jak grzyby po deszczu w całym kraju. Ich wspólnym mianownikiem są złość na Obamę i sprzeciw wobec rosnących podatków, wobec pakietu stabilizacyjnego i reformy zdrowia. W minionym roku herbaciarze z całego kraju trzykrotnie zjeżdżali się na protesty do Waszyngtonu i według ich własnych szacunków na największej imprezie we wrześniu stawili się sto tysięcy demonstrantów.

W ciągu kilku miesięcy Rubio wyrósł na gwiazdę ruchu *tea party* na Florydzie. Coraz częściej jest rozpoznawany przez prawicowych aktywistów również w innych częściach kraju. Gdy w maju 2009 roku ogłosił, że wystartuje w wyścigu o nominację Partii Republikańskiej w tegorocznych wyborach do senatu, nikt nie dawał mu szans. W pierwszych sondażach lubiany i szanowany gubernator Florydy Charlie Crist miał nad nim ponad 30 punktów przewagi. Rubio, były radny West Miami i przewodniczący stanowego parlamentu (najmłod-

szy w historii), po swoim – z klasą, rzeczowo i bez pieniaczwa – zaczął wytykać Cristowi błędy i zarzucać mu odejście od republikańskich ideałów. Crist poparł pakiet stabilizacyjny Obamy (czyli socjalizm) i blokował antypodatkowe pomysły w legislaturze. To on, Marco Rubio, autor projektu podatkowych cięć, które gdyby przeszły, byłyby najodważniejszymi w historii USA, autor inicjatywy „100 pomysłów dla Florydy” (jeździł po stanie i zbierał je od lokalnych konserwatywnych działaczy, 57 z nich zamienił w ustawy) i prawdziwy przeciwnik socjalistycznej stabilizacji, jest „jedynym konserwatystą” w tym wyścigu. Dziś, pół roku od startu tej ofensywy, Rubio idzie w sondażach łeb w łeb z Cristem, a w niektórych już go wyprzedza.

Nie ma za sobą partyjnego establishmentu ani pieniędzy (w drugim kwartale 2009 roku Crist zebrał 4,3 miliona dolarów, a Rubio 340 tysięcy), ale ma za sobą partyjne doły – wszystkich wściekłych herbaciarzy.

Niezależny

– Rubio ma poparcie ruchu *tea party*, choć wcale do niego nie należy – mówi nam prawicowy komentator Matthew Continetti związany z magazynem „The Weekly Standard”. – Łączy go z nim konserwatywne przekonanie o potrzebie fiskalnej dyscypliny i ograniczania roli rządu w gospodarce. Ale jego styl i przekaz nie są radykalne.

Młokos z West Miami z jednej strony czerpie z poparcia radykałów, ile się da, ale z drugiej nie chce gotować się z nimi w jednym garze, żeby nie stracić w oczach wyborców umiarkowanych. Zapewne nie zgodziłby się z Edną Mattos, która na moje pytanie o to, dlaczego herbaciarze porównują Obamę do Hitlera, odrzekła: – Bo Hitler też, jak tylko doszedł do władzy, zaczął realizować komunistyczną agendę i doprowadził kraj do ruiny.

Rubio nie pojawi się w lutym w Nashville, gdzie pijący herbatę zjadą się na pierwszą krajową konwencję. – Mimo że jest zdecydowanie prawicowy, ma potencjał, by w przyszłości zjednać sobie środek, tak jak Obama umiał to zrobić pomimo mocno lewicowych zapatrywań – uważa Continetti.

Rubio jest Obamą prawicy. Tak nazwał go Mike Huckabee, były republikański gubernator Arkansas dziś związany z telewizją Fox News. Najbardziej wpływowy periodyk amerykańskich konserwatystów „National Review” numer z Rubiem na okładce opatrzył podpisem: *Yes, he can!* Z Obamą łączy go młody wiek, charakter, styl („Wielu polityków gra na wykończenie oponenta. Ja nie mam zamiaru tak uprawiać polityki”), talent oratorski, umiejętność zjednywania sympatii mimo silnych przekonań (lewicowy komentator David Brooks nazwał go „błyskotliwym i sprawnym politykiem”) i urok równiacy (słucha Snoop Dogga, jego ulubiony film to „Pulp Fiction”). Tak jak Barack Obama jest maniakiem kibicem. Ale przede wszystkim tak jak swego czasu Obama Marco Rubio – na razie dla wyborców z Florydy – uosabia

nadzieję na wielką odnowę w swojej partii, która przyniesie odnowę w całym kraju.

Prezydent?

Listopadowe wybory uzupełniające do senatu poprzedzi wiele rozgrywek wewnątrz Partii Republikańskiej, które zdecydują o jej przyszłości. Pojedynkę Rubia z Cristem nie jest jedynym, w którym umiarkowany człowiek centrum rywalizuje z ideowcem nawołującym do konserwatywnej odnowy wewnątrz partii (Rubio: „Jeśli Partia Republikańska ma być nie do odróżnienia od Demokratycznej, to po co w ogóle istnieje?”). Podobne batalie toczą się między innymi w Illinois i Kalifornii.

Według wspomnianego Davida Brooksa pijący herbatę są dziś najbardziej znaczącym ruchem społecznym w USA. „W naszej historii często motorem zmian byli pasjonaci, którzy siłą włączyli w sam środek życia narodu” – pisze Brook i porównuje ruch *tea party* do hippisów z lat 60., feministek z lat 70. i chrześcijańskich konserwatystów z lat 80.

– Rozpoczęliśmy pokojową rewolucję – ekscytuje się Edna Mattos, a inny działacz Dan Walker, z którym rozmawiałem w październiku w Teksasie, mówił mi o „przebudzeniu śpiącego olbrzyma”.

Według styczniowego sondażu przeprowadzonego na zlecenie telewizji NBC 41 procent Amerykanów ma pozytywne zdanie o ruchu *tea party*, podczas gdy na Demokratów i Republikanów przychylnym okiem patrzy zaledwie 35 i 28 procent respondentów. Marco Rubio jest z jednej strony idolem herbaciarzy, a z drugiej najbardziej wyrazistym i utalentowanym przedstawicielem nowej fali w Partii Republikańskiej. Nie ma ambicji, żeby rozsadzić partię od środka. Chce ją jedynie zmienić, a poparcie oddolnych inicjatyw może mu w tym pomóc.

Czy będzie kiedyś prezydentem? Przed nim długa droga, na razie nie jest nawet kandydatem na senatora. Ale jeśli pokona Crista, powinien bez problemu uporać się z Demokratą Kendrickiem Meekiem (najnowsze sondaże dają mu 15 punktów przewagi). – Sytuacja w amerykańskiej polityce za kilka lat jest nie do przewidzenia – wzbrania się od prognoz Matthew Continetti. – Ale jeśli Rubio wejdzie do senatu, automatycznie stanie się jednym z republikańskich kandydatów w przyszłych kampaniach prezydenckich.

Edna Mattos, która w połowie stycznia gościła Rubia w Inverness, uważa, że Obama dostał się do Białego Domu, bo ludzie głosowali, kierując się emocjami, ze złości na Busha.

– A pani nie zgłasza Rubia ze złości na Obamę?

– Trochę tak, ale Rubio jest inny. Obama tylko obiecywał. Rubio naprawdę zmieni Amerykę na lepsze.

Edna modli się o to nie od dziś. A Bóg zawsze słuchał jej prośb. Tak jak ostatnio, gdy na jej herbacianą imprezę zapowiadali w telewizji ulewę. – Ale wymodliłam u Pana i nie spadła ani kropla! Pan zawsze dba o swoich. □

Przyszłość należy do mnie – zdaje się mówić Marco Rubio. Czy jego portret zawisnie kiedyś w Białym Domu?

TECZKI



Warunki fizyczne
Sławomir Szałma ma idealne. Wzrost i zasięg ramion sprawiają, że swym ciałem jest w stanie zasłonić niemal całą bramkę

Tak, to musi boleć. Atakujący w piłce ręcznej ważą od 95 do nawet 112 kilogramów. Przed rzutem rozpędzają się, wyskakują, by nadszarpnąć jak największą prędkością. Czasem trafiają w bramkarza

Nie próbuj tego w domu.
Aby tak wymachiwać kończynami, potrzeba lat treningu, a i tak przed meczem trzeba rozgrzewać mięśnie przez co najmniej 40 minut

WALKA WRĘCZ MARCIN CICHONSKI

Rzqdzi Szałma

Kiedy patrzy się na poczynania Sławomira Szałmy, mamy wątpliwości, czy nasze dzieci powinny pójść w jego ślady

PIŁKA RĘCZNA TO BARDZO BRUTALNY sport. Złamania nosa i rąk, zwichnięcia nóg, pęknięte łuki brwiowe są tu na porządku dziennym. Wielu uprawiających tę dyscyplinę zawodników wyglądem nie różni się od atletycznie zbudowanych siatkarzy. Szczypiorniaki jest jednak sportem kontaktowym – piłkarze często na siebie wpadają, a masywne, umięśnione ciało przydaje się nie tylko do biegania, ale także do zatrzymywania lecącej z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę piłki.

W naszej drużynie grającej właśnie w Austrii na mistrzostwach Europy najgorszą fuchę

ma bramkarz Sławomir Szałma. Z powierzonych obowiązków wywiązuje się tak dobrze, że był najlepiej grającym na tej pozycji zawodnikiem w fazie grupowej.

Szałma ma 32 lata i ogromny dorobek sportowy, między innymi dwa medale mistrzostw świata (srebrny i brązowy). Jego żona Aneta w pełni podziela pasję męża. Sama była profesjonalną szczypiornistką. Para zapewnia jednak, że nie zamierza zmuszać syna Filipa do uprawiania tej dyscypliny – sam zdecyduje o tym, czy będzie trenować piłkę ręczną. Gdy patrzy się na załazone zdjęcia, trudno się z tą lekko sceptyczną postawą nie zgodzić.

Ołowska w Pinakotece

Polska artystka w słynnym muzeum sztuki nowoczesnej w Monachium

W SŁYNNYM MUZEUM SZTUKI nowoczesnej Pinakothek der Moderne w Monachium do połowy lutego potrwa wystawa prac polskiej artystki Pauliny Ołowskiej. Od 12 lat wystawia na całym świecie – od Nowego Jorku po Japonię. W swojej twórczości posługuje się różnymi

technikami: maluje, fotografuje, robi filmy wideo i performance. Często łączy sztukę wysoką z użytkową, na przykład prowadziła do renowacji „Siatkarki”, słynnego neonu na warszawskim placu Konstytucji, współorganizowała też rekonstrukcję balu „Pożegnanie wiosny” w Zalesiu, na którym w 1968 roku przez dwa dni bawiła się śmietanka artystów nowoczesnych. W Monachium największe zainteresowanie wzbudziły jej kolaże z portretami



kobiet zadające pytania o rolę płci. To zresztą częsta tematyka twórczości Ołowskiej, podobnie jak rola kobiet artystek – na przykład na biennale w Berlinie w 2008 roku pokazała prze-malowane, czarno-białe kopie prac przedwojennej polskiej malarki Zofii Stryjeńskiej.

Coraz bardziej znana na świecie artystka **Paulina Ołowska**. Właśnie podbija Monachium

PLANETARIUM MARIUSZ HERMA

Cymbał w wannie

Lepiej dobrowolnie wygłupić się przed kamerą, niż tłumaczyć później z głupich ciuchów

To na pewno nie ja!
– protestował **Liam Gallagher**, ale analiza zdjęć oraz zeznania świadków potwierdziły: wokalista Oasis jest piwowosem



Swoją łazienkę polową Wayne Coyne prezentował już znajomym podczas imprezy Halloween. Teraz postanowił pokazać ją całemu światu



The Stig, tajemniczy rajdowiec znany z programu „Top Gear”, został przyłapany we własnym mieszkaniu podczas zakładania białego kostiumu. Było blisko!

Koniec ery suszarki?

Alex Ferguson, legendarny trener Manchesteru United, po 24 latach pracy z klubem może zrezygnować

KIBICE NIE PRZESTALI KOCHAĆ SŁYNNEGO Szkota. W Anglii wszyscy pamiętają, że to on zdobył z klubem 11 tytułów mistrza kraju i dwukrotnie wygrał Ligę Mistrzów. Zwolennicy „Czerwonych Diabłów” proszą Fergusona o rezygnację z pracy w proteście przeciwko amerykańskimi właścicielom klubu, rodzinie Glazerów. Od czasu zakupu ManU w 2005 roku zadłużyli go na 700 milionów funtów, co może spowodować wykluczenie drużyny z Ligi Mistrzów (nowe, „antydlugowe” przepisy wprowadza Michel Platini, szef UEFA). By wyjść na plus, United miałby sprzedać stadion oraz swojego najlepszego piłkarza Wayne’a Rooneya. Dlatego fani namawiają Fergusona, by na znak protestu przeciw fatalnej polityce finansowej klubu zrezygnował i zażądał od Glazerów sprzedania Manchesteru nowym inwestorom. Naszym zdaniem Ferguson powinien zastosować wobec amerykańskich

milionerów „suszarkę”, czyli swą słynną metodę przekazywania uwag zawodnikom. Polega ona na wykrzyczeniu prosto w oczy, w tempie karabinu maszynowego, z odległości pięciu centymetrów wszystkiego, co się myśli. W historii klubu metoda ta była przyczyną jednej słynnej rezygnacji – „suszarki” nienawidził David Beckham.



Dwa lata temu 300 tysięcy kibiców prosiło go, żeby został w klubie. Teraz chcą, żeby odszedł

NIEZNANE O ZNANYCH, CZYLI SKOK W BOK

KARIERA BEZTALENCIA

O TYM, JAK UPÓR W REALIZACJI MARZEŃ POTRAFI WYNIĘĆ MIERNOTĘ NA SZCZYTU SŁAWY



Olga Woźniak

Talent to strach przed porażką – powiedział swego czasu francuski pisarz André Gide. Więc dziś będzie o tych, co tego strachu nie mieli. Talentu zresztą też nie. I właśnie na tym ostatnim braku oparł swą oszałamiającą karierę. Będzie to historia krzepiąca, na koniec okaże się bowiem, że nawet ludzie zupełnie pozbawieni zdolności w danej dziedzinie nie muszą wyrzekać się swych planów i marzeń. Wystarczy, iż będą odpowiednio konsekwentni w swym beztalencie.

Weźmy na przykład takiego Michaela Edwardsa, znanego lepiej jako Eddie Eagle. Wymarzył sobie, że będzie skoczkiem narciarskim. I został nim mimo wszelkich przeciwności. Nie zrażało go to, że skakał przeciętnie o 20–30 m bliżej niż pozostali zawodnicy. Przeszkodą w karierze nie stał się słaby wzrok – poradził sobie, skacząc z okularami korekcyjnymi, na które nakładał gogle. Nie zrażały go docinki i śmiechy, kiedy podczas mistrzostw świata w Oberstdorfie w 1987 zajął 55. (ostatnie) miejsce. Rok później na olimpiadzie w Calgary był już przedostatni. I naprawdę nie liczy się to, że zawodnik plasujący się za nim złamał nogę i nie wziął udziału w konkursie. „Eagle” dzięki swemu uporowi zapisał się w ludzkiej pamięci i przeszedł do historii sportu – jego wyczyny bowiem popchnęły Międzynarodową Federację Narciarską do wprowadzenia systemu kwalifikacji do zawodów.

Nie tylko jednak sport daje ogromne możliwości ludziom chcącym zasłynąć jako najgorsi na świecie. Podobne możliwości oferuje także sztuka.

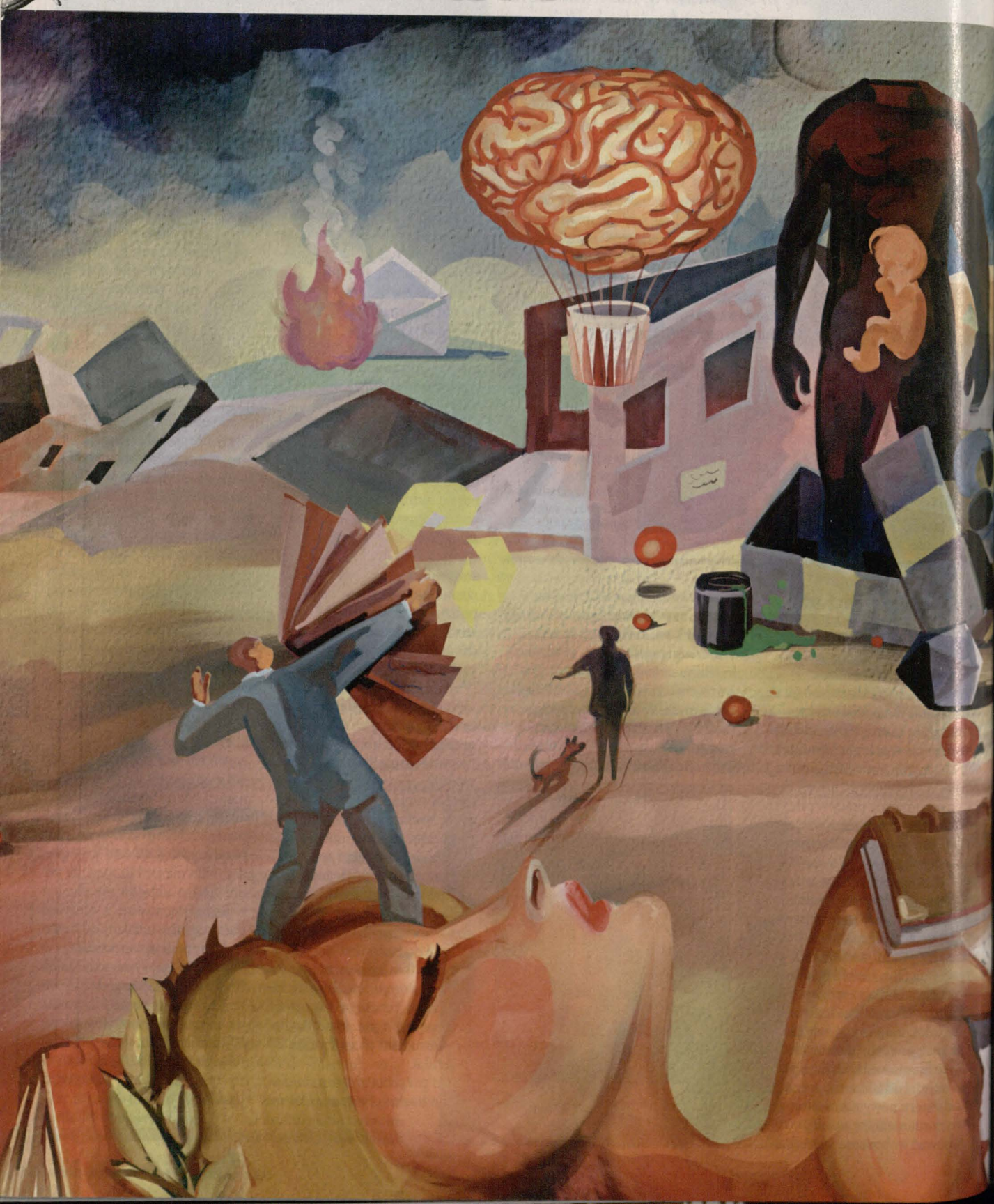
Co przychodzi wam do głowy na hasło: „Florence Foster-

Jenkins”? Spróbujcie wrzucić choćby do Google’a. Dziesiątki stron. Wciąż wznawiane płyty. **Najgorsza śpiewaczka świata** wciąż żyje w ludzkiej pamięci! Powstają jej biografie, wystawia się sztuki teatralne o jej życiu. Oto sukces! Sale na jej koncertach zawsze były pełne. Ilu świetnych śpiewaków, o których nikt dziś już nie pamięta, mogło się tym poszczycić? Na swoją pasję wydała niemal cały swój (niemały) majątek. Czula się szczęśliwa.

– Niektórzy mogą mówić, że nie umiem śpiewać, ale nikt nigdy nie powie, że nie śpiewałam – powiedziała i wszelkim malkontentom radzę to sobie zapisać WIELKIMI LITERAMI. Podobnym stosunkiem do życia wykazywał się także William Topaz McGonagall okrzyknięty najgorszym poetą jeśli nie świata, to przynajmniej Wielkiej Brytanii. I co? Dwa lata temu zbiór jego wierszy z autografem kupiono na aukcji za 6 tysięcy 600 funtów (ponad 30 tysięcy złotych), a jego dzieła wciąż są wznawiane.

A Robert Coates, najgorszy aktor (co ciekawe, także Brytyjczyk)? Na swej naprawdę okropnej grze dorobił się sporych pieniędzy, zdobył moźnych protektorów, nawet sam następca tronu (późniejszy król Jerzy IV) przychodził do teatru go oglądać. Nikt nie grał Romea tak jak on! Żadna aktorka nie chciała z nim występować, a niektóre nieszczęśnice uciekały od niego ze sceny podczas spektaklu.

Można by wymienić dalej. Czego to jednak dowodzi? Że talent to wysoce przereklamowana cnota. Nie wierzcie w talent. Wystarczy jedynie niezachwiana wiara w siebie, by inni także w was uwierzyli. Fantastyczne, prawda?



Opowiadam, więc jestem

Ciągle coś opowiadamy i uwielbiamy słuchać opowieści. Seriale, książki, przedstawienia, liczne talk-show i gry fabularne przedstawiają nam losy zupełnie obcych ludzi. Czy marnujemy czas, by o nich słuchać? Z czego bierze się nasza słabość do ludzkich historii?

MASZ W PRACY KOLEGĘ, KTÓRY JEST OPRYSKLI-
wy. Zawsze siedzi z boku i nigdy nikomu w ni-
czytnie nie pomógł. Rano wchodzi jak gradowa
chmura i kiedy tylko pojawia się w biurze, at-
mosfera od razu gęstnieje. Co o nim myślisz?
Że to gbur i arogant? Czy próbujesz go zro-
zumieć? Zastanawiasz się nad jego sytuacją
domową: może ma osobiste problemy? Kre-
dyt, który pochłania całą jego pensję, a żo-
na zdradza go z jego najlepszym kumplem?
Okazuje się, że to, jak interpretujesz zacho-
wania innych, w dużej mierze zależy od tego,
czy lubisz opowieści. I nie, nie chodzi mi wca-
le o drobne plotki. Myślę o prawdziwych opo-
wieściach. Fabularnych historiach o innych
ludziach, takich, jakie znajdujemy w Biblii,
Koranie, Torze, w powieściach czy oglądamy
w filmach. Narracjach, na sprzedawaniu któ-
rych ludzie zarabiają miliardy dolarów.

Dlaczego właściwie chcemy to kupować?
Dlaczego obchodzą nas losy rozważnych i ro-
mantycznych, gotowych na wszystko, zagu-
bionych na tropikalnej wyspie czy psychopa-
tów o złotym sercu mordujących w imię spra-
wiedliwości? Gdyby nie nasza potrzeba opo-
wieści, księgarnie sprzedawałyby wyłącznie
poradniki, podręczniki i książki telefoniczne.
Magazyny opisujące koleje losu rozmaitych
ludzi straciłyby rację bytu, a wieczory, które
przeznaczamy na oglądanie seriali, spędzali-
byśmy na jakimś bardziej pożytecznym zaję-
ciu. Tymczasem opowieści poruszają ludzkie
umysły jak świat długi i szeroki. Są narody,
które nie wymyśliły koła, ale wszystkie narody
wymyśliły opowiadanie historii.

Mózg narratorem

Wyjaśnieniem tego fenomenu zajmuje się
kilka poważnych dziedzin nauki. Psycholo-
dzy, neurobiolodzy, kulturoznawcy i socjo-
lodzy łączą siły, by zgłębić zagadkę ludzkiej
słabości do fabuły.

W GŁOWIE OLGA WOŹNIAK, ILUSTRACJA PIEKARYO.BLOGSPOT.COM

Zacznijmy więc od źródła, czyli w mie-
scu, gdzie rodzą się wszelkie ludzkie koncep-
ty – mózgu. Udamy się w ten region, który
zbiera informacje i układa je w całość. To ko-
ra mózgowa płyta ciemieniowa. Dzięki
niej pojmujemy sytuację, kojarzymy sło-
wa z koncepcjami, rozumiemy konstrukcje
gramatyczne, mamy zdolność oceny relacji
przestrzennych.

Prawie prawda

Dzięki tej części mózgu świat jawi się nam
jako spójny i konsekwentny. Bo mózg nie
znosi niekonsekwencji. Niepowiązanych ze
sobą faktów, nagle urywających się histo-
rii, w których pełno jest luk i niedopowie-
dzeń. W sposób naturalny dąży do uporząd-
kowania przechowywanych danych – two-
rzy związki przyczynowo-skutkowe, buduje
spójną narrację. W ten sposób zapewnia na-
szemu umysłowi poczucie, że żyjemy w świe-
cie logicznym i uporządkowanym, w którym
przyczyna poprzedza skutek, a wszystko jest
łatwe do objęcia rozumem. Mózg nie jest
przy tym zbyt zasadniczy. Ważne jedynie,
by wszystko kleiło się w całość. Zdarza się
więc, że w zapędzie może połączyć początko-
wo niepowiązane ze sobą fragmenty.

Tak tworzą się nie tylko prawdziwe histo-
rie, ale też fałszywe wspomnienia, za które
daliśmy sobie rękę uciąć, a które nigdy nie
wydarzyły się naprawdę. Tak tworzy się fa-
bula naszego życia czy – jak chce to nazywać
poważna nauka – narracja.

Zgłębieniem fabularnych ciągów nasze-
go umysłu zajmują się psycholodzy narra-
cji. To oni zauważyli, że owa narracja to nad-
rzędna kategoria porządkująca życie każde-
go człowieka. Przez opowiadanie o sobie bu-
dujemy własną tożsamość, nawiązujemy re-
lacje z innymi i próbujemy zapanować nad
rzeczywistością.

– Te same wydarzenia skłaniają rozma-
itych ludzi do często skrajnie różnych reakcji
– mówi psycholog Magdalena Budziszew-
ska z Uniwersytetu Warszawskiego. – Dzie-
je się tak dlatego, że każdy z nas ma zupeł-
nie inny schemat narracyjny wydarzeń. Każ-
dy jest bohaterem innej historii.

Tę metaforę świetnie ilustruje przykład
serialu „Zagubieni”. Przedstawia on losy pa-
sażerów samolotu, który rozbija się na pełnej
tajemnicy tropikalnej wyspie na południo-
wym Pacyfiku. 71 rozbitek nie łączy nic po-
za tym, że są pasażerami tego feralnego lotu.
Każdy ma za sobą skomplikowaną historię
przypominaną w retrospekcjach. Dzięki te-
mu poznajemy scenariusze ich życia, rozu-
miemy ich zachowania.

Historie, które mniej lub bardziej świa-
domie realizujemy w naszym życiu, zbiera-
my od ludzi, z książek, opowiadań, filmów.
Zapamiętujemy je i włączamy do własnego
zasobu doświadczeń, dzięki czemu nasz re-
pertuar staje się bogatszy. Niewielkim koszt-
em zyskujemy gotowe scenariusze zacho-
wań w sytuacjach, które mogłyby być dla
nas trudne, gdybyśmy nigdy ich nie „prze-
robili”. Profesor Lisa Zunshine z University
of Kentucky, autorka książki „Why We Read
Fiction”, wyjaśnia to tak: „Opowieści nie na-
śladują w prosty sposób prawdziwego życia.
One są kondensatem przeżyć innych ludzi.
Doświadczając ich, zyskujemy rodzaj »sy-
mulatora zdarzeń«, w którym w bezpiecz-
ny sposób możemy doświadczać rozmaitych
emocji. Ćwiczyć je na wszelki wypadek”.

Niektórzy badacze przypuszczają, że z te-
go samego powodu nasz własny mózg raczy
nas opowieściami podczas snu. Twierdzą
oni, że sny wykształciły się na drodze ewolu-
cji celowo i są nam potrzebne właśnie do sy-
mulacji różnych zachowań, z którymi musi-
my radzić sobie na jawie. – Gdy śnimy, →

→ bardzo aktywne stają się najstarsze struktury w naszym mózgu, między innymi układ limbiczny. Zawiaduje on emocjami, popędami, strachem – mówi „Przekroju” Keith Stevens, brytyjski psychoanalityk. – Sen, a zwłaszcza senny koszmar, to próbnym alarmem emocji – wyjaśnia. Przecież ciało i umysł w każdej chwili muszą być gotowe na różne sytuacje.

To, co dzieje się na poziomie neurologicznym czy psychologicznym, przekłada się również na nasze zachowania kulturowe.

Spółeczeństwo gawędziarzy

– Poprzez tworzenie narracji organizujemy chaos w naszym życiu. Nadajemy znaczenie i łączymy w ciągi część z tysiąca wydarzeń, których doświadczamy każdego dnia – komentuje doktor Małgorzata Litwinowicz-Drożdźiel z Instytutu Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. – Słuchając historii o konkretnym bohaterze, wyciągamy wnioski ogólnoludzkie, dotyczące kondycji człowieka, dzięki czemu lepiej rozumiemy naszą rolę i miejsce na ziemi. Z kolei sam świat, jego powstawanie, prawa natury, a także rytuały społeczne były tłumaczone przed wiekami przez opowieści święte, założycielskie czy też mity. W ten sposób niwelowały lęk, który rodzi się z niewiedzy, gdy zadajemy sobie pytania o otaczające nas zjawiska. Opowieści mitologiczne to też sposób porządkowania wiedzy, różnorodnych informacji, które powiązane przez opowieść mogły być łatwiej przyjęte i oswajane. Z jednej strony w wymiarze indywidualnym opowieści uczą nas radzić sobie z emocjami, wydarzeniami, których nie rozumiemy, z którymi stykamy się po raz pierwszy. Z drugiej, w wymiarze społecznym, dzięki opowiadaniu i słuchaniu historii ludzie mogli i nadal mogą przekazywać sobie wzorce moralne, reguły zachowania w grupie, a przez to lepiej organizować tę grupę.

Profesor Raymond Mar, psycholog z kanadyjskiego University of Toronto, eksperymentalnie dowiódł, że ci, którzy chętniej oddają się czytaniu literackiej fikcji, lepiej sobie radzą w sytuacjach społecznych, mają bardziej rozwiniętą empatię i wgląd w przyczyny zachowań innych ludzi. W jednym ze swoich doświadczeń kazał grupie ochotników czytać opowiadania oraz filozoficzne eseje pozbawione fabuły, bohaterów i emocji. Następnie polecił tym osobom interpretować uczucia oraz motywacje ludzi przedstawianych na testowych ilustracjach. Z zadaniem lepiej poradzi sobie ci, którzy przeszli przez emocjonalny trening opowieści o życiu innych. Ci, których mózgi były wcześniej zaangażowane w suchą analizę faktów, wykazali się znacznie mniejszą empatią.

Podobne oddziaływanie jak historie opowiadane w książkach mają sztuki teatralne, filmy, fabularne gry komputerowe czy programy z rodzaju talk-show Ewy Drzyży, w których ludzie snują historie swojego życia. Technika się zmienia, ale opowieść pozostaje opowieścią. Taką samą jak te przekazywane w czasach, kiedy o elektryczności nikt jeszcze nie słyszał, a wokół wiejskiego czy plemiennego opowiadacza zbierała się wieczorami cała wioska.

– W kulturach tradycyjnych, przedpiśmiennych, opowiadacze cieszyli się dużym poważaniem – mówi Michał Malinowski, założyciel pierwszego w Polsce Muzeum Baśni, Bajek i Opowieści w Czarnowie, które chce przeciwdziałać zanikowi tradycji ustnych, propaguje sztukę słowa mówionego i współtworzy polski ruch odnowy opowiadania historii. – Byli oni żywymi kronikami swojej społeczności. Ich opowieści tworzyły ciągłość historii, dawały poczucie przynależności do wspólnoty.

W przypadku opowiadanych historii ogromne znaczenie ma bezpośredni

kontakt z drugim człowiekiem. Opowiada na historię ma sens tylko wtedy, gdy trafia do słuchaczy, więc wymaga interakcji między opowiadającym a odbiorcami. – Opowieść żywa nie jest tekstem, jest sytuacją. Istnieje tylko jako wykonanie. W tym wykonaniu uczestniczą też słuchacze. Nie tylko mogą śpiewać refreny, powtarzać zawołania, ale także wpływać nawet na zakończenie – zgadza się doktor Litwinowicz-Drożdźiel.

Dzisiaj rolę opowiadaczy przejęły... telewizory. To wokół nich zbieramy się całą rodziną, by słuchać opowieści (o tym, jak serialy upodabniają się do tradycyjnych, żywych opowieści, czytaj na s. 39). Podobną funkcję pełnią tabloidy, które zagospodarowały opowieści cudowne i mitologiczne. – Historie te nie należą do racjonalnego porządku, nie ma dla nich miejsca w dobrych gazetach, a ludzie nadal ich potrzebują – mówi doktor Litwinowicz-Drożdźiel. – Przykładem jest choćby wydarzenie z 2004 roku, kiedy w wodach Bałtyku pojawił się wieloryb. „Fakt” przez wiele dni relacjonował podróż zwierzęcia w górę Wisły. Przytaczał opowieści osób, które miały zobaczyć wieloryba i wyrażały z tego powodu zachwyt. Oczywiście wydarzenia te nie miały miejsca, a jednak były z przyjemnością czytane przez ludzi. Dlaczego? Po to, by ich zwyczajne życie rozjaśniło coś cudownego i niezwykłego.

Trzeba się zwierzać

Opowieści są nam potrzebne dla psychicznego zdrowia. Niemożność opowiadania staje się cierpieniem. – Wykazano, że osoby, które nigdy nie opowiedziały nikomu o jakimś niezwykle ważnym elemencie swojego życia, na przykład nagłej śmierci bliskiej osoby lub poważnym prze-



A zatem zwycięża autor tej fabuły, która jest dla nas bardziej strasna?

Dlaczego dajemy się na to nabierać?

– Bo tak funkcjonuje nasz umysł. Politycy świadomie lub nie korzystają z faktu, że pamięć to upakowany zbiór różnych opowieści, które rozpakowują się w kontakcie z odpowiednimi słowami kluczami. To działa trochę jak wyszukiwarka w Internecie. Trzeba wiedzieć, jakiej frazy użyć, by w naszej głowie rolę bohaterów i zdrajców rozdały się same.

not. owu

• Doktor Jacek Wasilewski pracuje w zakładzie retoryki dziennikarskiej na Uniwersytecie Warszawskim

FOT. KATARZYNA WASILEWSKA

stępstwie, jakiego dopuścili się w przeszłości, są bardziej podatne na zapadnięcie na poważne choroby, mają też mniejszą odporność całego organizmu – mówi psycholog Magdalena Budziszewska. – Lecniczy charakter ma także słuchanie: odpowiednio dobrana opowieść potrafi zmienić życie słuchaczy. Czasem przez to, iż dostarcza nowych rozwiązań, uczy, że możliwe są inne, paradoksalne, jeszcze nieznane zakończenia. Opowieść terapeutyczna, bajka dobrane sprawdzają się zwłaszcza w przypadku dzieci, z którymi o niektórych sprawach trudno jest rozmawiać wprost.

W największej bibliotece starożytnego świata w Aleksandrii widniały słowa: „Książki to lekarstwo dla umysłu”. A – jak głosi legenda – słynna Szeherazada opowiadała swoje baśnie, by wyleczyć sułtana z depresji.

Nie powinno więc dziwić, że siłą narracji dawno już zainteresowali się psychoterapeuci. Nie trzeba być jednak psychologiem, by wiedzieć, że „wygadanie się” nieraz przynosi ulgę w trudnych chwilach. Profesor James Pennebaker z wydziału psychologii Uniwersytetu Stanu Teksas od blisko 20 lat wykazuje efektywność pisanie pamiętników jako terapii. – Otwarcie się i wyrzucenie z siebie bolesnych emocji ma ogromne znaczenie dla naszego zdrowia i psychicznego, i fizycznego – powtarza na konferencjach. Dlaczego? Dlatego że – jak twierdzi badacz – bodźce, z którymi człowiek choć raz miał do czynienia, wywołują mniej gwałtowną reakcję. Mniej emocjonalnie podchodzimy do zadań, które nie są dla nas nowością. Nie boimy się horroru oglądanego po raz drugi i nie potrafimy emocjonować się filmem, którego zakończenie ktoś nam zdradził. Podobnie opisywanie złych przeżyć, ponowne ich przetwarzanie osłabia intensywność związanych z nimi uczuć. Przy tym, opisując historię swego życia, można bardziej świadomie podejść do tego, według jakiego scenariusza próbujemy żyć. Jeśli czujemy się w nim nieszcześliwi, możemy spróbować go zmienić.

– Myśleniem ludzi rządzą schematy poznawcze – wyjaśnia Magdalena Budziszewska. – Jeśli dla kogoś ważnym kluczem narracyjnym, historią, której doświadczył we własnym domu, jest opowieść o zazdrości i zdradzie, będzie je widzieć wszędzie. Trudno mu będzie przełamać ten wzorzec we własnym życiu. Terapią dla takiej osoby może więc być dostarczenie zupełnie nowych opowieści. Nauczenie jej zupełnie nowych zachowań. Sprawienie, by – mówiąc metaforycznie – stała się ona bohaterem innych legend.

Czy z taką wiedzą inaczej będziesz dziś oglądać odcinek swego ulubionego serialu? Inaczej przeczytasz powieść? Bardziej świadomie podejdziesz do opowieści, których słuchasz na co dzień? Może to dobry moment, by poszukać innych historii? Takich, w których ludzie żyją szczęśliwie i wszystko zawsze dobrze się kończy. To zdarza się nie tylko w bajkach. Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha...

współpraca Urszula Dąbrowska

„24 godziny”
najtwardszego
z twardych
Jacka Bauera
trwają niezmennie
od lat



NA EKRANIE BARTOSZ STASZCZYSZYN

Życie w odcinkach

Wielkie powieści wymyślili Europejczycy, ale nie od dziś Amerykanie są najzręczniejszymi opowiadaczami historii. Dowodzi tego serialowa gorączka, którą cieszymy się od lat

Kiedy w 1956 roku Irina Phillips rozpoczęła pracę nad serialem „As the World Turns”, nie podejrzewała pewnie, że jej soap opera przeżyje ją o ponad 30 lat i doczeka się blisko 14 tysięcy odcinków. Dziś produkcja stacji CBS cieszy się sławą najdłużej emitowanego serialu i jest niezbitym dowodem na to, że na co dzień nie doceniamy naszego przywiązania do prostych opowieści. Nie trzeba być zresztą fanem niekończących się oper mydlanych, by poczuć, że wszystkie narracje seriali telewizyjne ma magnetyczną moc. Jeśli więc po emisji ostatniego odcinka „Ro-

dziny Soprano” (HBO) dręczony niepewnością miałeś ochotę udusić twórcę serialu Davida Chase’a, a oglądając kolejne finały „Dextera”, zdarzało ci się nerwowo obgryzać paznokcie – jesteś częścią tej opowieści.

Operacja crossover

Przed 10 laty znany brytyjski dziennikarz David Aaronovitch wieszczył, iż „wiek telewizji się skończył”. Był to lament cokolwiek przedwczesny, bo właśnie wtedy, gdy pisał o końcu telewizji, ta wkroczyła w nową erę serialowych opowieści. Jej początek wyznaczały premiery tak wybitnych produkcji jak „Sześć stóp pod ziemią” Alana Balla i „Rodzina Soprano”

Davida Chase’a. Od tamtej pory moda na „życie w odcinkach” przybiera na sile. Nie tłumaczy jej jedynie nasza naturalna skłonność do snucia linearnych opowieści ani ciekawość „co dalej”.

Oglądając amerykańskie serie, Stendhal powiedziałby zapewne, że są zwierciadłem przechadzającym się po naszych domach. Specjaliści od telewizyjnych superprodukcji wiedzą, że kluczem do duszy widza jest doprowadzenie do tego, by wierzył, że świat, który ogląda na małym ekranie, jest jak najbardziej realny. I choć budowanie spójnego telewizyjnego uniwersum nie jest rzeczą prostą, →

Skoro opowieści służą porządkowaniu świata, to aż się prosi, by wykorzystywać je w polityce. Doktor Jacek Wasilewski*:

I tak się dzieje. Politycy bardzo sprawnie budują dla nas własne wizje rzeczywistości i rozbijają obrazy świata tworzone przez swych oponentów. Czyli walczą ze sobą na opowieści, a nie na programy polityczne? – A czym są programy? Zbiorem suchych, trudnych do zrozumienia postulatów. Większość ludzi nie ma czasu ani ochoty, by się przez nie

Głosujemy na opowiadaczy

Jakie historie dają władzę – mówi medioznawca, dr Jacek Wasilewski

przedzierać. A jednak głosujemy w wyborach, a więc musimy mieć iluzję, że rozumiemy polityków. I oni nam to ułatwiają: tworzą dla nas odpowiednie narracje. Stajemy się bohaterami tej, która wyda nam się najbardziej wiarygodna i w którą łatwiej nam wejść. Dlatego poparciem cieszyła się opowieść Jarosława Kaczyńskiego o rozbijaniu układu

– wynikało z niej, że my jesteśmy dobrzy, a tylko ci źli nam przeszkadzają. W tym samym czasie historia Aleksandra Kwaśniewskiego o wychodzeniu z biedy i o likwidowaniu nierówności społecznych była znacznie mniej atrakcyjna, bo w tej opowieści musieliśmy pracować nad sobą, a my wbrew pozorom nie lubimy, gdy coś od nas zależy.

→ specjaliści z branży mają swoje sposoby, by wciągnąć nas w iluzję – wystarczy choćby, by bohaterowie różnych seriali spotkali się na jednym planie.

Crossover, czyli przecinanie się ścieżek postaci z różnych telewizyjnych produkcji, to jeden z najbardziej konwencjonalnych zabiegów stosowanych przez serialowych twórców. Okazuje się jednak całkiem skuteczny, o czym przekonała się niedawno amerykańska stacja ABC. 14 stycznia bohaterowie dwóch produkowanych przez nią seriali – „Prywatnej praktyki” i „Chirurga” – wspólnie zajmowali się skomplikowanym medycznym przypadkiem. Nie był to jednak zwyczajny crossover – doktor Addison Montgomery, grana przez Kate Walsh bohaterka „Prywatnej praktyki”, kilka lat wcześniej należała bowiem do szpitalnego zespołu „Chirurga”. Gdy zdobyła sympatię fanów, stacja ABC zdecydowała się zrealizować kolejną medyczną produkcję skupiającą się właśnie na niej – „Prywatną praktykę”.

Czysta krew o smaku pomarańczę.

Fikcyjny napój trafił do prawdziwej sprzedaży



FRIENDS
DON'T LET
FRIENDS
DRINK
FRIENDS.

TrueBlood



O tym, że niedysiejsza bohaterka „Chirurga” powróci do dawnych znajomych, a losy doktorów z obu produkcji się skrzyżują, poinformowała więc większość mediów zajmujących się telewizją. Efekt był łatwy do przewidzenia – serialowy crossover przyciągnął przed telewizory blisko 13 milionów widzów. Ale to nie jednorazowy wzrost oglądalności był tu najważniejszy – pojawienie się na planie „Chirurga” bohatera znanego z konkurencyjnego serialu w oczach widzów miało uwiarygodnić rzeczywistość kreowaną w obu tych produkcjach.

Ten sam cel przyświeca twórcom odwołującym się do najpopularniejszych narodowych tradycji. Kiedy więc za oceanem zbliżało się Święto Dziękczynienia, bohaterowie komediowych seriali ABC – „Modern Family” i „The Middle” – wraz z widzami zjadali indyka. Gdy zaś nadchodził Black Friday („czarny piątek”), czyli dzień rozpoczynający wielkie przedświąteczne wyprzedaże, na zakupy ruszały bohaterki „Cougar Town: miasta kocie” (ABC), a Tim Roth w „Magii kłamstwa” (FOX) zajmował się sprawą związaną ze sklepowym szaleństwem. Kilka tygodni później bohaterowie większości serialowych produkcji wraz z rodzinami zasiadali też do wigilijnych stołów. Zupełnie jak w realnym świecie. Sposób, w jaki seriale imitują rzeczywistość znaną amerykańskim widzom, jest banalny, a jednak skuteczny. Również dzięki temu seriale takie jak „The Middle” czy „Magia kłamstwa” utrzymują się w czołówce najchętniej oglądanych telewizyjnych produkcji w USA.

Fontanny krwi

Amerykańscy producenci seriali nie ograniczają się jednak do tak niewinnych praktyk – zacieranie granic między światem realnym a ekranowym jest dziś jednym z najważniejszych zadań speców od telewizyjnego marketingu. Ci wyznaczają z kolei nowe standardy w działaniach public relations. Żeby przebić się przez reklamowy szum, sięgają po zabiegi, które nie tylko promują konkretne serie, ale też tworzą wrażenie, że współuczestniczymy w fikcyjnym świecie.

Najciekawszą w ostatnich miesiącach akcją promocyjną zaserwowali swym widzom producen-



„Gdzie pachną stokrotki” i pyszne ciastka. Tym razem widzowie nie musieli obejść się smakiem

ci serialu s.f. „Fringe: Na granicy światów” (FOX). Jednym z jego motywów przewodnich jest istnienie równoległych do naszego światów. Granicy między nimi strzegą Obserwatorzy, lysi, trupio bladzi panowie w staromodnych garniturach. I to właśnie oni stali się głównymi bohaterami najgłośniejszej kampanii ostatnich miesięcy. Aby przekonać amerykańskich widzów, że opowiadana we „Fringe...” historia jest realistyczna, PR-owcy stacji postanowili zasiał w nich ziarno niepokoju.

Tajemniczy panowie w szarych garniturach, których dotąd oglądano jedynie w hermetycznym świecie serialu, nagle zaczęli się pojawiać w innych produkcjach stacji. Jeden z Obserwatorów zasiadł nawet na trybunach podczas meczu ligi NFL, a kamera telewizji FOX „przypadkiem” wyłowiła go spośród tłumu. Efektownym zwieńczeniem akcji promocyjnej był happening, podczas którego ucharakteryzowani i przebrani w odpowiednie kostiumy aktorzy przechadzali się po ulicach kilku amerykańskich miast. Internetowe serwisy i inne media zajmujące się telewizją nie mogły przejść obojętnie obok takiego wydarzenia. Za ciosem poszli także mar-

ketingowcy stacji FOX, uruchamiając w Facebooku konto „The Observer Trackers”, które szybko zapełniło się zdjęciami uwieczniającymi kolejne happenings. Swoje cegiełki mogli też dokładać fani serialu zachęcani do wyszukiwania Obserwatorów w innych produkcjach stacji. Dalej marketingowy „wirus” rozprzestrzeniał się sam, a przesłanie gry z widzami było jasne – to, co widzicie na ekranie, ma charakter realny.

Po podobne zabiegi sięgają co jakiś czas także inne stacje. Przed kilkoma laty szerokim echem odbił się promocyjny projekt telewizji ABC towarzyszący premierze „Zagubionych”. Serial J.J. Abramsa aż do premiery otoczony był aurą tajemnicy, a stacja dbała, by do mediów docierało jak najmniej informacji o fabule. Gdy we wrześniu 2004 roku serial ujrzał już światło dzienne, uruchomiono stronę internetową fikcyjnej firmy Oceanic Airlines, do której należał rozbity w serialu samolot, a odwiedzający ją internauci mogli rezerwować bilety lotnicze. Wkrótce w Internecie pojawiały się strony dotyczące kolejnych bohaterów serialu, dzięki którym fikcyjne

postaci stawały się bardziej realne – fani mogli pobierać nagrania stworzone przez serialowego muzyka i oglądać stronę poświęconą tajemniczemu projektowi naukowemu związanemu z losem „Zaginionych”.

Na równie efektowne pomysły wpadali także PR-owcy stacji HBO. Jesienią minionego roku, gdy na ekrany trafiała druga seria „Czystej krwi”, na półkach amerykańskich sklepów pojawiły się napoje True Blood – pite w serialu przez wampiry. To, co dotąd wydawało się częścią fikcyjnego świata stworzonego przez Alana Balla, nagle stało się elementem rzeczywistości. To nic, że sklepowy napój poza kolorem miał niewiele wspólnego z krwistym napitkiem, był natomiast pomostem łączącym fanów i ich ulubione postaci. Do krwawych motywów odwołał się również specjalista z Showtime promujący „Dextera”. Premierze drugiego sezonu towarzyszył szczególny happening: w 13 amerykańskich miastach miejskie fontanny wypełniły się substancją o kolorze krwi, przypominając o powrocie ukochanego seryjnego mordercy Ameryki.

Złudzenie realizmu powstaje dziś nie tylko na ekranach telewizorów, ale przede wszystkim w umysłach widzów, coraz częściej wciąganych w grę, która ma zacierać granice dzielące fikcję i realny świat. Chcąc uczynić bardziej wiarygodnym świat komediowego „Gdzie pachną stokrotki”, pracownicy ABC zorganizowali specjalną akcję, w ramach której fani serialu mogli spróbować ciast z serialowej cukierni Pie Hole, a żeby przekonać widzów „24 godzin” (FOX), że przygody Jacka Bauera dotyczą realnych problemów, przed premierą siódmego sezonu odbył się pokaz fotografii zrobionych w Afryce przez ekipę serialu.

Pięć jak Tony Soprano

W książce „Serial Television: Big Drama on the Small Screen” brytyjski medioznawca Gleen Creeber pisze, iż jedną z najważniejszych funkcji seriali jest dziś nie tylko odwzorowywanie rzeczywistości, ale też jej kreowanie poprzez wciąganie widza w interakcję. Wykorzystują to ci, którzy wiedzą, jak za pomocą seriali kształtować styl. Wprowadzając nas w świat bohaterów, pomagają się do nich upodabniać. Dzięki sklepom prowadzonym przez stacje telewizyjne możemy więc jak Tony Soprano popijać whisky w firmowej szklance z klubu Bada Bing, kupić rękawiczki dokładnie takie jak te noszone przez panie z „Gotowych na wszystko” (ABC) lub skórzaną kurtkę oznaczającą przynależność do serialowego gangu Sons of Anarchy. Dla telewizyjnych producentów sympatia, jaką publiczność darzy serialowego bohatera, ma bowiem bardzo wymierną wartość – pozwala przyciągać pieniądze firm zainteresowanych reklamowaniem się w serialu poprzez product placement (umieszczanie produktów w scenach, używa-

Kimże
byłby James
Gandolfini,
gdyby
nie rola
depresyjnego
gangstera
z New Jersey
Tony'ego
Soprano?



nie ich jako atrybutu postaci itp.). Kiedy więc Toyota promowała samochód z hybrydowym napędem, młode i piękne bohaterki „Trawki” oraz „Californication” (Showtime) jeździły tymi właśnie ekologicznymi autami, kiedy zaś na rynku pojawiał się nowy model Forda, wozili się nim twardziele z seriali „White Collar” (kanał USA) i „Świat gliniarzy” (FX).

O tym, że serialowe sentymenty dają się przeliczyć na pieniądze, przekonują także powroty telewizyjnych sław. Gdy dziennikarze rozpisywają się o nowych projektach z udziałem wielkich reżyserów z Martinem Scorsese i Neilem Jordanem na czele (ten pierwszy kręci właśnie dla HBO pilota „Boardwalk Empire”, a ten drugi pracuje nad historycznym serialem dla Showtime), widzowie z wytęsknieniem czekają na powroty ulubionych bohaterów. W ostatnich latach brawurowy come-back zaserwowali nam aktorzy sitcomu „Świat według Bundy” (Christina Applegate, Ed O’Neil i Katey Segal), gwiazdy kultowych „Przyjaciół” (Courteney Cox, Lisa Kudrow oraz Matthew Perry) czy też Calista Flockhart z „Ally McBeal”. Sukcesy ich nowych telewizyjnych

projektów wskazują, że powiedzenie o piosenkach lubianych dlatego, że już je słyszeliśmy, odnosi się także do seriali.

Ich twórcy robią wszystko, byśmy je polubili, odkrywając przy tym coraz ciekawsze sposoby zacierania granic pomiędzy rzeczywistością a fikcyjnym światem. I nawet jeśli amerykańskie hity w istocie niewiele mają wspólnego z rzeczywistością, oglądalność dowodzi, że tym gorzej dla rzeczywistości. Bo nawet jeśli serial kłamie, jest to kłamstwo wyjątkowo czarowne. □



ZAPROŚ MAJKĘ DO ZNAJOMYCH

W POLSCE W ZACIERANIU GRANIC MIĘDZY ŚWIATEM REALNYM A SERIALOWYM PIONIEREM jest TVN. Gdy na antenie emitowane było „39 i pół”, istniejący wyłącznie w serialu zespół Dirty Track grał w realu koncerty. „Kaktus w sercu” – książka, którą napisała bohaterka „Teraz albo nigdy” Barbara Jasnyk – zaraz po premierze w serialu zagościła w naszych księgarniach, na finiszu emisji „Niani” zaś jej twórcy wydali pamiętnik Frani Maj. TVN trzyma też rękę na pulsie Facebooka. W gigantycznym popularnym portalu społecznościowym można już zostać fanem zarówno Majki Olkowicz, głównej bohaterki nowego hitu stacji „Majka”, jak i Uli Cieplak – bohaterki „BrzydUli”.

– kp



MROŻNOŚCI IRENA CIEŚLIŃSKA

Sięgając do DNA śniegu

Nie, nie chodzi o odkopywanie jezdni ani chodnika aż do dna. Rzecz idzie o unikalny kod śniegowych gwiazdek, podobny do tego, jaki określa rozwój człowieka

Kiedy w Boże Narodzenie na stronie internetowej tygodnika „Nature” pojawiło się redakcyjne ogłoszenie namawiające do prenumeraty pisma, czytelnicy zatrzęśli się z oburzenia. Tłem ogłoszenia była zimowa sceneria przyprószone przez grafika pięciokątnymi płatkami śniegu. Niewybaczalny błąd! Prawdziwe mają symetrię sześciokątą, bo w taki wzór, przypominający plaster miodu, układają się cząsteczki wody w kryształach lodu. Pięciokątnej ani siedmiokątnej symetrii nie da się w ten sposób uzyskać, o czym redakcja bądź co bądź prestiżowego naukowego periodyku powinna wiedzieć. Jak na ironię ta oferta prenume-

raty skierowana była „do każdego, kto kocha naukę...”

Gdyby grafik „Nature” był sprytny, narysowałby trójkątne płatki. Takie też spadają z nieba, są w zdecydowanej mniejszości, ale spostrzegawczy badacze natury zauważyli je już kilkaset lat temu. Z naukowego punktu widzenia są dużo ciekawsze od sześciokątnych, bo trójkątną symetrię śnieżynki do niedawna bardzo trudno było wytłumaczyć.

Dopiero Kenneth Libbrecht i Hannah Arnold z kalifornijskiego Caltech po wykonaniu serii eksperymentów wpadli na trop wyjaśnienia zagadki. Przynajmniej na to wygląda. Swoje śledztwo opisują w pierwszym tegorocznym numerze kwartalnika poświęconego mikroświatowi „The Microscope”.

Kogo jednak może obchodzić kształt płatków śniegu? Może się zdziwicie, ale zajmowali się tym najwięksi uczeni w dziejach. Angielski przyrodnik Robert Hooke w 1665 roku opublikował dzieło „Micrographia”, w którym szkicował wszystkie cuda natury, jakie tylko mógł dojrzeć za pomocą świeżego wtedy wynalazku – mikroskopu. I, rzecz jasna, nie brakło tam szkiców idealnie symetrycznych płatków śniegu, bajecznie różnych, a mimo to podobnych w swej sześciokątnej symetrii.

Chyba pierwszą uczoną rozprawę o śniegu zatytułowaną „Noworoczny podarek albo o sześciokątnych płatkach śniegu” napisał w roku 1611 słynny astronom i autor praw ruchu planet Johannes Kepler. Ten uczony zafascy-

nowany był zależnością między liczbą znanych wówczas planet (sześć) a liczbą brył platońskich (też sześć), więc oczywiście zwrócił uwagę na to, że liczba sześć ukrywa się także w śniegu. Pisał: „Zawsze kiedy zaczyna padać śnieg, jego pierwsze elementy mają kształt sześcioramiennych gwiazd, więc musi się wiązać z tym określoną przyczyną. Jeśli bowiem dzieje się tak przez przypadek, dlaczego nie pojawiają się chociażby pięcio- czy siedmioramiennymi kształtami, dlaczego ciągle sześcioramiennie?”

Intuicja podpowiedziała Keplero- wi, że ma to coś wspólnego z plastrami miodu, który w przekroju również składa się z sześciokątów. Podejrzewał więc, iż ta sama przyczyna, która każe pszczołom w ten sposób formować komórki plastra, sprawia, że woda, zamarzając, przybiera ten kształt. Co więcej, uczony zauważył, że podobny kształt przybierają także ziarna granatu ściśnięte pod skórą owocu. Natura wyraźnie wyróżnia tę symetrię.

Sama przyczyna „sześciokątności” pozostała jednak dla uczonego tajemnicą (Kepler zgadywał, że ma w tym udział „dusza Ziemi”). Podobnie jak dla Kartezjusza, który pisał, że boki i kąty lodowych kryształków są tak równe, iż „dla człowieka byłoby niepodobnością stworzyć coś tak idealnego”.

Śnieg prześwietlony

Dyskusja o płatkach śniegu toczyła się w zamkniętym gronie uczonych aż do narodzin fotografii. Fotograf amator Wilson Bentley, który przyszedł na świat w 1865 roku na farmie w stanie Vermont, na 15. urodziny dostał od mamy, nauczycielki, mikroskop i tak jak wcześniej Hooke zaczął oglądać przez niego wszystko, co tylko wpadło mu w ręce. A że Vermont leży na północy, gdzie przez znaczną część roku burza jest synonimem śniegu z piorunami, prędzej czy później musiał wziąć pod mikroskop i ujrzeć w powiększeniu płatki śniegu. Najpierw próbował je szkicować, ale rysunki nie oddawały ich harmonii oraz piękna. W 1885 roku wykonał pierwszą fotografię, przypuszczalnie pierwsze zdjęcie płatka



Wytrwały badacz śnieżnych niuansów Ukichiro Nakaya

śniegu w dziejach. Bentley, którego wkrótce zaczęto zwać „panem śnieżynką”, sfotografował tysiące płatków, dzięki czemu zyskał wielką sławę. Za swoją pasję jednak zapłacił śmiercią – umarł na zapalenie płuc po jednym ze swoich zimowych polowań na płatki śniegu.

W tym czasie fizyka dysponowała już narzędziem – promieniami rentgenowskimi, za pomocą których można było prześwietlić kryształki i zbadać tajemnicę ich budowy na poziomie atomowym. Okazało się, że – jak podejrzewał Kepler – cząsteczki wody, łącząc się w kryształ lodu, rzeczywiście tworzą strukturę przypominającą plastry miodu.

Jednak jak to się dzieje, że choć powstają z tych samych cząsteczek wody i zawsze mają sześciokątną symetrię, ich dojrzały kształt nigdy się nie powtarza? Czasem są rozgałęzione jak sześcioramienny liść paproci, czasem przypominają cienkie igiełki lub grube kolumny o sześciokątnej podstawie. Raz są drobne jak ziarno maku, innym razem wielkie i puchate niczym koty.

Na to pytanie musiał odpowiedzieć eksperyment.

Zimny katalog

Przenieśmy się więc do Japonii lat 30. zeszłego wieku. Młody naukowiec Ukichiro Nakaya wraca z Wielkiej Brytanii, gdzie kształcił się na fizyka jądrowego. Praktykował nie byle gdzie, bo w słynnym londyńskim King’s College pod kierunkiem noblisty Owena Richardsons, co prze-powiadało mu wielką karierę. Ale po powrocie do ojczyzny w 1932 roku dostał posadę profesora na Hokkaido, położonej

najbardziej na północ wyspie Japonii, gdzie nie ma żadnego nuklearnego ośrodka, żadnej aparatury, która pozwoliłaby mu kontynuować zaczęte w Europie badania. Jednego tylko tam nie brakowało – śniegu.

Nakaya zajął się więc śnieżynkami. Przez ponad 30 lat hodował kryształki lodu w coraz to innych warunkach oraz porównywał ich kształt. Mawiał, że „śnieżynki to listy, które śle nam niebo”, co nie przeszkodziło mu ustalić, iż ich boski wygląd jest określony przez dwa całkiem przyziemne parametry – temperaturę i wilgotność powietrza.

Temperatura określa, czy kryształ najszybciej rośnie wzdłuż (wtedy staje się kolumną lub igiełką), czy też wszecz (wówczas tworzy płaską płytkę). Jeśli zaś powietrze jest wilgotniejsze, to płatki są większe i mają bogatszą strukturę. Japończyk stworzył słynny i używany do dziś diagram morfologiczny płatków, w którym wyróżnił 41 typów śnieżynki.

Jak więc rodzi się i dojrzewa typowy płatek śniegu? Jego dzieje zaczynają się wysoko w chmurach wśród bilionów maleńkich kropelek. Woda, która je tworzy, długo może być w stanie przechłodzone – nie zamienia się w lód, nawet jeśli temperatura spadnie znacznie poniżej zera. Kiedy jednak jedna kropelka zamrze (na przykład z powodu tkwiącego w niej ziarna zanieczyszczenia), staje się zarodkiem kryształu, który szybko zaczyna rosnąć. Przylączają się do niego cząsteczki wody parujące z sąsiednich kropelek. Duży płatek śniegu, mający kilka milimetrów, może powstać kosztem nawet miliona kropelek.

Kluczowe jest to, że w czasie tego wzrostu płatek nie tkwi w jed-

nym miejscu – bujany jest na wietrze, spada w dół pod wpływem własnego ciężaru. A wokół niego nieustannie zmieniają się temperatura i wilgotność. Wystarczy ich niewielka zmiana, by płatek rozwijał się w całkiem innym kierunku. Mógł na przykład zaczynać jako prosty graniastosłup, ale po chwili warunki bardziej sprzyjały rozwojowi bocznych rozgałęzień. Kiedy jednak pojawiły się w nim pierwsze ramiona, powiał wiatr i uniósł go w inne miejsce, gdzie z kolei prawa fizyki kałały mu rosnąć wzdłuż, a nie wszecz. Każdy płatek ma swoją unikalną historię nie do powtórzenia. Jest wynikiem zmagania przypadku z koniecznością. Dlatego nie ma dwóch identycznych płatków.

Te procesy nadal są owiane tajemnicą. Dlaczego w jednej temperaturze płatek rozwija się w prostą kolumnę, a w innej rozgałęzia się jak liść paproci, do dziś nie wiadomo.

Tym większe wyrazy uznania należą się profesorowi Kennethowi Libbrechtowi, w którego laboratorium na kalifornijskiej politechnice Caltech została rozwiązana zagadka trójkątnych płatków.

Mutanty z nieba

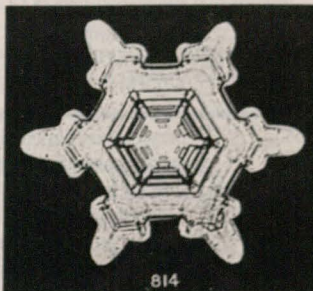
Profesor Libbrecht zajmuje się płatkami śniegu, bo – jak twierdzi – ich wzrost jest echem rozwoju ludzkiego zarodka. Wiadomo, że budową organizmu rządzi DNA, ale przecież nie jest w nim zapisane położenie każdego atomu w naszych ciałach. DNA określa tylko podstawowe prawa rozwoju, a dalej materia organizuje się już sama. Podobnie jak cząsteczki wody, które spontanicznie przylłączają się do rosnącej śnieżynki. W żadnym ogólnym planie nie jest zapisane, jakie mają

zająć miejsce, ale one jakoś wiedzą, gdzie dołączyć, by nie zburzyć sześciokątnej symetrii całej konstrukcji. Jednym słowem – Libbrecht wierzy, że śnieżynki mogą być kluczem do poznania praw samoorganizacji martwej i żywej natury.

Trzymając się tej biologicznej analogii – trójkątne płatki są wynikiem mutacji, która zaszła w niemowlęcym wieku śnieżynki mającej na początku zwykły sześcioboczny kształt. Tą mutacją mogło być na przykład ziarenko piasku lub pyłu, które się zawieszyło w powietrzu i osiadło na jednym z boków rosnącego płatka, przeciągając go na jedną stronę. Taki przechylny płatek zaczyna szybciej rosnąć po nawietrznej stronie, bardziej wystawionej na pęd powietrza.

Libbrecht i Arnold dowiedli, że w pewnym warunkach (miedzy innymi przy temperaturze minus 2 stopnie oraz minus 10 stopni Celsjusza) to zaburzenie równowagi jest... trwałe. Jeśli więc przypadkowo się zdarzy, to musi doprowadzić do zmiany symetrii płatka. W jego wyniku trzy z sześciu boków będą rosnać zdecydowanie szybciej i sześciokątny mutant wkrótce będzie składał się jedynie z trzech boków jak trójkąt, bo pozostałe ulegną skarlłowaceni. Proste? Tylko w tym krótkim opisie.

Spytajmy na koniec, czy warto odzierać płatki śniegu z wszelkich tajemnic? W końcu bez choćby odrobiny tajemnicy nie ma piękna. Na szczęście żadna uczona rozprawa o kryształach lodu w żadnym miejscu – zapewniam – nie wykluczyła tego, że najważniejsza jest tu, jak chciał Kepler, „dusza Ziemi”. □



Wilson Bentley na swojej śnieżnej farmie w Vermont tworzył pierwsze fotografie płatków śniegu. Ta u góry pochodzi z 1902 roku



KORZYSTAJ

4 KOŁA
4 PROGRAMY
5 X 3 LITRY
3 PYTANIA
3 ODPOWIEDZI



Ta lekko futurystyczna machina to domowy barek Vinotemp. Jeśli nie dokończyłeś wina, wstaw je do środka, a barek sam odpompkuje powietrze i ustali odpowiednią temperaturę

JAZDA!

Stary po nowemu

PONOĆ KRYZYS SIĘ KOŃCZY, ALE PRODUCENCI SAMOCHODÓW nauczeni smutnymi doświadczeniami ostatniego roku pozostają bardzo ostrożni. Można więc się dziwić, że Seat nagle postanowił swoim modelem Exeo wskoczyć na zupełnie nieznany mu wcześniej rynek klasy średnich limuzyn. Zdziwienie jest nieco mniejsze, gdy przyjrzymy się Exeo bliżej – ten samochód to nic innego jak odświeżony Audi A4 w poprzedniej wersji. Bardzo bezpiecznie. □



Sloneczny
PATENT
LETNI

NA
GORĄCO

MOMENT NA przedstawienie tego systemu nie jest najszcześniejszy, ale Exeo ma na dachu panel słoneczny, który w czasie postoju w upale zapewnia prąd systemowi wentylującemu wnętrze



18 T

Napęd

Testowany przez nas samochód wyposażony był w silnik Diesla o mocy 170 KM i pojemności dwóch litrów. Mocny, przyjemnie rozpędzający auto od niskich obrotów, dość cichy i bardzo oszczędny – realne zużycie paliwa wynosiło niewiele ponad 7 litrów na sto kilometrów. Nieco gorzej, bo dość kanciasto w obsłudze, sprawiała się skrzynia biegów.

Przestrzeń
Choć Exeo
trzeba zaliczyć
do klasy średniej,

to bardzo średnio wygląda tu sprawa miejsca. O ile siedzący z przodu nie mają na co narzekać, a bagażnik zaskakuje przestrzenią i pakownością, wszystko odbywa się kosztem pasażerów siedzących z tyłu. Co tu ukrywać – biedakom brakuje miejsca na nogi.

Wnętrze Seat
zgrabnie poradził
sobie z odświeżeniem
wnętrza A4. W Exeo mamy
ładne, nowoczesne zegary i dobrze
rozplanowaną deskę rozdzielczą.
Nie przekonuje mnie za to zupełnie
panel sterowania systemem
audio i klimatyzacją. Czerwone,
surowe napisy przypominają
erę magnetofonów Grundig,
a oznaczenia są dość enigmatyczne.

Bezpieczeństwo Exeo to samochód mocno wypakowany systemami bezpieczeństwa. Wersja, którą testowaliśmy, ma sześć poduszek powietrznych (w tym chroniących kolana kierowcy) oraz imponujący zestaw trzyliterowych skrótów: ABS, TCS, MSR, ESP i EBA, zapewniających stabilność na drodze nawet w ekstremalnych warunkach. Ważnym elementem bezpieczeństwa jest też świetne zawieszenie gwarantujące stabilność na zakrętach.

PREZENTUJEMY KOLEJNY ODCINEK naszego iphone'owego cyklu programowego. Dziś dania na zimno – propozycje aplikacji przydatnych podczas planowania wyjazdów narciarskich. Wybór w AppStore ogromny, więc wydłubaliśmy najciekawsze rzeczy. Ostrzegamy tylko przed kosztami transmisji danych – trzy z naszych programów lepiej uruchamiać, będąc w zasięgu wi-fi, z czym za granicą nie będzie problemu. – pstan

WRZUCIĆ W TELEFON

Co, gdzie i na kogo pada?



AccuWeather

– odkąd ten program siedzi w moim telefonie, nie chce mi się już wstawać, by sprawdzić na termometrze za oknem temperaturę. Prościej stuknąć w ekran. To genialna w swej prostocie funkcja – prezentacja pogody dla miejsca, w którym akurat się znajdujemy. Nasze położenie określane jest na podstawie GPS, więc dla często podróżujących (choćby między domem a pracą) to ideał. Do tego temperatura odczuwalna (nazwana tu RealFeel), szczegółowa prognoza rozpisana na godziny, radarowe zdjęcia chmur czy możliwość ustawienia alarmów ostrzegających o silnym wietrze czy nadchodzących opadach. I całe mnóstwo innych przydatnych funkcji – wszystkie za darmo. 0,79 €



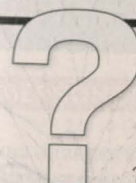
HEATER

Heater – są takie programy, które z definicji nie mogą działać, a mimo tego ludzie są skłonni za nie zapłacić. Heater to przykład klasyczny – aplikacja, której jedyną funkcją jest wyświetlanie na ekranie rozgrzewającej się do czerwoności kratki. Służy to do ogrzewania rąk i choć rąk nie ogrzewa, to jakoś tak ciepło robi się nam w środku, gdy pomyślimy, że zupełnie bez sensu wydaliśmy prawie 80 eurocentów. Mimo wszystko polecamy. 0,79 €



SKIRESORT

SkiResort – potężna dawka informacji dla planujących zimowy wyjazd – szczegóły dotyczące ponad 650 ośrodków narciarskich ze szczególnym uwzględnieniem Europy. Dokładny opis pokrywy śnieżnej, liczba kilometrów przejeżdżnych stoków i czynnych wyciągów. Do tego mapy ośrodków oraz plany tras. Mammy nawet aktualne ceny skipassów oraz bazę numerów telefonów i adresów pozwalających zaplanować wyprawę, siedząc w domu. 2,99 €



TEŻ
PYTANIE!

Kto pyta, nie błądzi.
A my dalej
szukamy
odpowiedzi
na wasze pytania.
Nadsyłajcie
je na adres
nauka@przekroj.pl.
Co tydzień
przyznajemy
nagrody!

1. DLACZEGO NA ZDJĘCIACH LUDZIE MAJĄ CZERWONE, A ZWIERZĘTA ZIELONE OCZY?

Efekt czerwonych oczu pojawia się, gdy fotografujemy z lampą błyskową. Powoduje go odbicie światła od siatkówki na dnie oka. Ma miejsce wtedy, gdy źrenica jest szeroko otwarta i nie zdąży przymknąć się tak szybko, jak błyska lampą. Kolor czerwony pochodzi od krwi dostarczanej do siatkówki. Jego intensywność zależy też od ilości melaniny (ciemnego barwnika) w siatkówce. Dlatego blondynki i osoby o jasnej karnacji „świecą oczami” bardziej niż bruneci. U drapieżników i zwierząt prowadzących nocny tryb życia oczy świecą na białą, żółto, niebiesko czy zielono. To zasługa dodatkowej odblaskowej warstwy we wnętrzu oka, zwanej tapetum. Tapetum ułatwia zwierzętom widzenie w ciemności.

2. CZY SĄ JAKIEŚ CHOROBY, KTÓRYMI MOŻEMY ZARAZIĆ ZWIERZĘTA DOMOWE?

Chorób odzwierzęcych jest sporo i są one dobrze poznane. Natomiast zakażenie zwierząt domowych od ludzi bywa bardzo rzadkie. Pies czy kot może złapać twoje przeziębienie, ale jest to bardzo mało prawdopodobne. Zdarzają się jednak wirusy, które potrafią przejść z człowieka na zwierzę. Chociażby w zeszłym roku w Stanach Zjednoczonych zdiagnozowano 10 domowych kotów, fretkę i jednego geparda w prywatnym zoo – wszystkie zwierzęta były chore na osławione A/H1N1. Teraz czują się już dobrze. W każdym z tych przypadków uważa się, że zarażenie przyszło właśnie od opiekunów. Ale jeśli jesteś chory, nie rezygnuj z zabawy ze swoim zwierzęciem. Naprawdę niewiele mu grozi.



Nasze nagrody – książki
J. Brockman „W co wierzymy, choć nie potrafimy tego dowieść”, J. Brockman „Co napawa nas optymizmem, czyli dlaczego jest dobrze, a będzie lepiej”, C. Tavis, E. Aronson „Błądzą wszyscy (ale nie ja)”, wydawnictwo Smak Słowa; A. Gawande „Komplikacje” – wydawnictwo Znak

3. SKORO MAMY GLOBALNE OCIEPLENIE, DLACZEGO ZIMA JEST TAKA ZIMNA?

W Polsce zima, choć śnieżna, nie jest bardzo mroźna. Ale w Chinach, Wielkiej Brytanii i na Florydzie zanotowano rekordowo niskie temperatury. Czy to pozwala twierdzić, że klimat się nie ociepla? Nie. Globalne ocieplenie jest globalne – dotyczy całej kuli ziemskiej,

jeśli uśrednimy wszystkie temperatury we wszystkich miejscach na świecie mierzone przez cały rok. Nie należy też mylić pogody z klimatem – badają go klimatolodzy, którzy niebicie dowodzą, że od połowy XX wieku średnia temperatura na świecie wzrasta. Mimo to w niektórych miejscach i latach temperatury mogą osiągać rekordowo niskie wartości. Co więcej, wraz z ociepleniem klimatu gwałtownie

zjawiska pogodowe i ekstremalne temperatury będą coraz częstsze, szczególnie w umiarkowanych szerokościach geograficznych. Stąd scharżysty mroź w tym roku. Jego bezpośrednią przyczyną są masy arktycznego powietrza zwykle uwięzione nad biegunem przez wiejące wokół niego silne wiatry. Tym razem mroźne powietrze wymknęło się i zaatakowało północną Europę, Azję i Amerykę.

W tym tygodniu:

JIM JARMUSCH NA WYSOKIEJ FALI,
PAT METHENY Z NOWĄ ZABAWKĄ,
CZECHOW NA WYWROTOWO I DUMA
NOWEGO JORKU, JAK RÓWNIEŻ JAPOŃSKIE
CUDEŃKA ORAZ PROFESOR MENEL



MY, POLACY,
NAJBARDZIEJ
KOCHAMY TYCH,
KTÓRZY ZAPISALI SIĘ
BIAŁYMI ZGŁOSKAMI
NA NIEBIESKICH
TABLICACH
Z NAZWAMI ULIC.
NA PRZYKŁAD
ŻEROMSKIEGO.
A PRZECIEŻ SĄ
INNI. **POKOCHAJMY
THEMERSONA.
TEŻ STEFAN I TEŻ
UMIAŁ PISAĆ.
I NIE MA JESZCZE
ŻADNEJ ULICY**

Pędrak Wyrzutek (siedzi) jest podobny
i do Stefana Themersona, i do Franciszki
Themerson. **Wielbiad** (bardzo siedzi) – nie jest

POZNAJCIE STEFANA

**Franciszka
i Stefan
Themersonowie**
na fotografii
Ewy Kuryluk
z 1977 roku



THEMERSONOWIE RAFAŁ KOSTRZYŃSKI

WŚRÓD WIELU RZECZY, KTÓRE STWORZYŁ STEFAN Themerson, jest poezja semantyczna. To przeurocza forma, w której słowa są zastępowane przez ich definicje (czyli przez dużo, dużo, dużo więcej słów). Na przykład znana niektórym piosenka:

*„Jak to na wojence ładnie (bis),
Kiedy ulan z konia spadnie (bis),
w Themersonowskim przekładzie na poezję
semantyczną wygląda następująco:
„Jak ładnie jest w czasie tego otwartego konfliktu
pomiędzy narodami*

*Jak miło jest w czasie tych czynnych
międzynarodowych wrogostek dokonywanych
za pomocą siły oręża
Kiedy żołnierz lekkiej kawalerii uzbrojony w oręż
składający się z zaostrej głowy żelaznej
umocowanej na końcu tyki o długości 2 m i 74 cm
do 3 m i 2 cm i używanej do zadawania
i odpierania ciosów
Przesunie się w przestrzeni od poziomu grzbietu
swego konia do poziomu ziemi
Od poziomu grzbietu swego konia do poziomu
ziemi”.*

Fraza „Stefan Themerson” w takim tłumaczeniu to „Twórca szeroko znany w bardzo wąskich kręgach”.

Kamienica w Płocku, w której się urodził, stoi przy ulicy Grodzkiej. Grodzkiej 5. Niech tylko żaden z nadgorliwych rajców nie bierze tej aluzji zbyt dosłownie. Themerson zapewne nigdy nie marzył o tym, by trafić na uliczne tablice. Ani Franciszka, jego żona, bez której nie byłby tym, kim był. 25 stycznia minęła setna rocznica jego urodzin.

Żył za długo, żeby opisać to na trzech stronach tekstu. Za dużo stworzył, by to streścić. Oto więc trzy powody, dla których trzeba go lubić. Pierwszym jest Franciszka.

Franciszka i Stefan

Była starsza od niego o trzy lata. Spotkali się jeszcze w dzieciństwie (ich rodziny były ze sobą skoligacone, jak pisze Adriana Prodeus w wydanej niedawno bogatej biografii Themersonów), ale prawdziwą znajomość zawarli w 1929 roku w Warszawie. Ona studiowała malarstwo, on – fizykę i architekturę. „Ach, złotko, był taki nieśmiały. I strasznie mi zaimponował. Czytał mi swoje wiersze. I miał, zupełnie jak ja, fioła na punkcie kina” – wspominała po latach w rozmowie z poetką Ewą Kuryluk. Pobrali się w 1931 roku i przez 57 lat byli jedną w swoim rodzaju parą artystów. Inspirowali się nawza-

jem, uzupełniali. Razem robili filmy (siedem, zachowały się trzy), razem pracowali nad książkami (Stefan je pisał, Franciszka ilustrowała), razem wyemigrowali.

„Społeczeństwo, miasto, państwo chwalić się może nie tym, co wymendowało na loterii przyrostu naturalnego (wszędzie rodzą się geniusze, talenty, zdolności), nie tymi, których urodziło, ale tymi, którym dało warunki pracy. Jeśli tę definicję przyjmujemy – w konkursie chwalenia się Paryż pobić by mógł wszystkie stolice świata” – napisał Stefan w cyklu „Z encyklopedii wieczorów rodzinnych”. A w opowiadaniu „General Piesc”: „Wszyscy, którzy mieli coś w sobie, osiedlali się w Paryżu.”

Themersonowie wyjechali do Paryża w 1938 roku, mając nadzieję, że tam znajdą więcej inspiracji i ludzi bardziej otwartych na ich twórczość. Bo choć dziś mówi się, że ich przedwojenne filmy – w tym zachowana do dziś „Przygoda człowieka poczciwego” – zapewniły im miejsce w panteonie ówczesnej awangardy zaraz obok Luisa Buñuela, to polscy krytycy w ogóle nie byli im przychylni. W Paryżu zastała ich wojna i oboje zgłosili się wtedy do tworzącej się armii polskiej we Francji. Stefan, którego oddział został rozbity, musiał się ukrywać na południu Francji, a Franciszka odpłynęła do Londynu. Tak zaczęła się ich trwająca dwa lata rozłąka. On poświęcił ją na pisanie wierszy i miniatur w obozie Czerwonego Krzyża (wydanych później jako „Dno nieba” i „Szkice w ciemnościach”). Ona nie chciała pisać. Rysowała, a te rysunki były jak równoległa twórczość męża: pełne niepokoju i przerażenia.

On pisał:
*„Ziemia przecięta była krwawą, płonąca linia frontu.
Po o b u stronach tej linii były kościoły i kirchy
i pagody”.*

A ona rysowała Maryję uciekającą na osiołku przed czarnymi bombowcami.

On pisał:
*„Godzę się z Tobą, Panie Boże,
świętą masz rację, rację świętą –
litość nie może być jak morze
bezkresna, wielka, nieobjęta.*

*Kończyć się musi, Panie Boże,
karą za winy, krwawą zemstą,
czy gilotyny ostrym nożem,
czy szubienicy śliską pętlą”.*

A Franciszka w swoim szkicowniku rysowała swój autoportret w masce przeciwwzrostowej i z kwiatkiem w dłoni.

Ich rozłąka skończyła się latem 1942 roku. Zawsze woleli Paryż, ale już nigdy nie opuścili Londynu. Trzy lata po wojnie →

Franciszka tęskni za mężem i wacha kwiatek przez maskę przeciwwgazową. Poniżej: Dwa kadry z ich zaginionego filmu „Apteka” (1930)

→ w pracowni na poddaszu założyli wydawnictwo Gaberbocchus Press, w którym skupili się na produkcji „bestlookerów” – książek wydanych tak, że zapierało dech w piersi. Rysunek stanowił w nich integralną część całości, był równie ważny jak treść. Kto widział choćby „Króla Ubu” ze sławnymi rysunkami Franciszki, wie, o czym mowa.

W 1950 roku Themerson tak napisał w telegramie do żony: „Życie jest piękne STOP Pozwól proszę swojej twarzy nabrać wyrazu wskazującego na uradowanie rozweselenie życzliwość przyjemność itd. przez podniesienie kącików ust i generalne rozluźnienie mięśni STOP” – co po d e s e m a n t y z a c j i znaczy po prostu: uśmiechnij się.

Uśmiech z wyjątkami

Należy wybaczyć Themersonowi teorię poezji semantycznej. Nie wytrzymuje ona zderzenia z rzeczywistością i nie spełnia założonego przez siebie celu. Proszę jednak wskazać taką, która wytrzymuje i spełnia. Poszczególne słowa w przekładzie semantycznym rozbijają się na jeszcze większą lawinę słów, którą też można poddać semantycznej obróbce. I tak w nieskończoność.

Choć więc pisze Themerson, że: „Poezja Semantyczna nie jest układaniem wierszy w bukiety kwiatów. Przeciwnie. Poezja Semantyczna obnaża wiersz i pokazuje pozalingwistyczną rzeczywistość, jaka się pod nim kryje. (...) jest przezroczysta i trzeźwa. Jeśli zdarza się, iż bywa gorzka lub śmieszna, to (...) dlatego, że to ona, ona sama, wyciska gorzkość tę i komedię z rzeczywistości nie swojej własnej, a z rzeczywistości świata (...)”, nie zmienia to faktu, że „otwarty konflikt między narodami” nie odnosi się do „rzeczywistości świata” bardziej niż „wojenka”.

Nie szkodzi. Kto, czytając telegram Stefana do Franciszki, będzie się zastanawiał, czy „generalne rozluźnienie mięśni” wyciska „komedię z rzeczywistości nie swojej własnej, a z rzeczywistości świata”? Zapewne nikt. Niektórzy zaś po prostu się uśmiechną. I o to chodzi.

Bertrand Russell, jeden z największych myślicieli XX wieku, napisał w przedmowie do „Wykładu profesora Mmaa”, że Stefan Themerson wyśmiewa i wykpiwa wszystko. Russell zwykle miał rację, ale tym razem przesadził. Są rzeczy, których autor „Wykładu...” nigdy nie wyśmiewał. Nie oczekujcie ubawu ci, którzy sięgniecie po Themersona. Podczas czytania jego książek wybucha się śmiechem w trzech, najwyżej pięciu miejscach. Najłatwiej jest o to właśnie w „Wykładzie...”, który dowodzi, jak strasznie mylą się termy w ocenie ludzi, choć z ich perspektywy badania są jak najbardziej prawidłowe. Zabawnie jest też w „Przygodach Pédra Wyrzutka”, zwłaszcza jeśli ktoś zabierze się do odczytania imion Wielbłąda zgodnie z in-



strukcją. W „Euklides był osłem” powalają tytuły z gazet. Kto będzie chciał, znajdzie w „Euklidesie” marquezowski realizm magiczny, w „Pédru...” dopatry się nawet rabelaisowszczyzny żywcem wziętej z „Gargantui i Pantagruela”, a w „Wykładzie...” znajdzie klimat „Latającego Potwora Spaghetti” Bobby’ego Hendersona. Wszędzie (także w niewymienionych tu pismach Themersona) mamy do czynienia z „cierpką przyjemnością płynącą z analizy nonsensu” – jak ujął to, słusznie tym razem, Bertrand Russell.

Oto zakończona zagadką próbka tej cierpkiej przyjemności:

– Ale czym ja naprawdę jestem? – spytał Pédrek Wyrzutek.
– Jesteś tym, co jest! – odpowiedział Wielbłąd.
– Ja jem wszystko – powiedział Pédrek Wyrzutek.
– Zatem jesteś Wszystkim – odparł Wielbłąd. I podając mu talerz,

na którym leżała garść trawy, dodał: – Poczuj się, proszę.

– Miałem na myśli Wszystko, z wyjątkiem trawy – powiedział Pédrek Wyrzutek.
– W takim razie jesteś Wszystkim, z wyjątkiem (...) – odrzekł Wielbłąd.

Zagadka dotyczy oczywiście tego wyjątku i wyjaśni się w niniejszym tekście.

Przyzwoitość

Sparafrazuje Wielbłąda. Themerson może nie jest Wszystkim, ale na pewno jest Wieloma Rzeczami.

Jest pisarzem, który tworzył w trzech językach: polskim, francuskim i angielskim (przez co najczęściej w odwrotnej kolejności). W Londynie zwykle pisał najpierw po angielsku; dopiero po kilku latach ukazywały się polskie przekłady, i to przeważnie nie jego autorstwa. Pierwszą książką Themersona, która wyszła w Polsce po II wojnie światowej, był „Wykład profesora Mmaa”. Ukazała się w 1958 roku, pięć lat po angiellojęzycznym wydaniu.

Jest filmowcem, choć dziś mało kto kojarzy go z tą twórczością.

Jest poetą i filozofem. Aforystą (powiedział na przykład, że świat jest bardziej skomplikowany niż nasze prawdy o nim).

Najbardziej zaś należy go lubić za to, że chociaż jest sceptykiem, nie jest nihilistą. W jego świecie na spotkanie z buldożerem absurdu czeka większość dogmatów, ale są takie, które nie boją się tej konfrontacji. Nie boi się jej przyzwoitość. W holenderskim Leyden

11 grudnia 1981 roku, a więc na dwa dni przed wprowadzeniem stanu wojennego w Polsce, Stefan Themerson wygłosił wykład, w którym opowiedział historię ze swojego dzieciństwa. W drodze do szkoły spotkał bandę hyclów:

„Trzech zaganiało, podczas gdy czwarty uzbijany był w długi kij zakończony linką z ruchomą pętlą, jak lasso. Właśnie miał ucieść swój kij, żeby schwytać zabłąkanego, brązowego kundla, kiedy ja, mały uczeń, wsadziłem stopę umyślnie, w sam środek pętli, zdając sobie doskonale sprawę, jak ci gruboskórzy brutalnie będą mnie kłąć, wyśmiewać, szydzić ze mnie i żartować. (...) dziś, od chwili, kiedy postanowiłem użyć słowa »przyzwoitość«, mam (...) uczucie, że z premedytacją wkładam stopę w pętlę lassa”.

Niecały rok później w Brytyjskim Stowarzyszeniu na rzecz Upowszechniania Nauki powiedział to jeszcze dobitniej: „Beatlesi (...) śpiewali: (...) All you need is love (...) – po czym się ostro pokłócili. Czy nie lepiej by było, gdyby zaśpiewali: »Wszystko czego potrzebujesz, to Przyzwoitość! (...) Można nienawidzić w imię Miłości, można zabijać, kraść, rabować w imię Miłości, można budować sale tortur, produkować trujący gaz, wyrabiać i sprzedawać bomby – w imię Miłości. Raczej trudno byłoby robić to samo w imię Przyzwoitości”.

Ta myśl nie dawała mu spokoju. Wrócił do niej cztery lata później w powieści „Euklides był osłem”: „Pewniki są śmiertel-



ne, polityka jest śmiertelna, poezja jest śmiertelna, dobre maniery są nieśmiertelne”. Przez „nieśmiertelne” rozumiał „moralnie słuszne”. Themersonowie (oboje byli Żydami) za dużo widzieli, żeby pobić zło. Stefan nie zwracał sobie jednak głowy świństwemkami, które człowiek człowiekowi czyni w biurze. Myśląc „zło”, myślał o wojnie. Opracował nawet współczynnik tragizmu, tak zwany Faktor T, który wynikał z napięcia między koniecznością zabijania w walce o byt a wstrętem wobec owego zabijania. Był gotów nazwać człowiekiem wszystko – także maszynę – co ma układ nerwowy podzielony na dwie części: jedną pobudzającą do zaspokajania potrzeb pierwotnych, a drugą powstrzymującą od tego zaspokajania, jeśli jest ono szkodliwe dla innych organizmów. I jednocześnie odmawiał statusu człowieka wszystkiemu – także człowiekowi – co, nie mając owego rozdzielenia, może „bez wahania uprawiać konieczną grabież w lasach świata”.

U Themersona roi się zatem od wilków, które są Człowiekiem, i ludzi, którzy Człowiekiem nie są. Tych ostatnich pisarz likwiduje bezlitośnie, ale tylko w swoich książkach. „Wyspa Hobsona”, ostatnia powieść Stefana, kończy się śmiercią Andrieja Sacharowa (twórcy bomby wodorowej), Adama D’Eartha (wynalazcy broni biologicznej, od której umiera się ze śmiechu) oraz Louisa Fiesera (konstruktora bomby napalmowej).

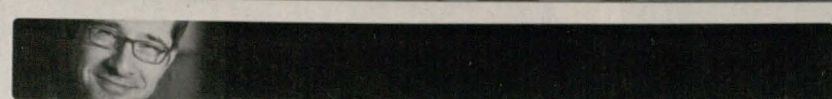
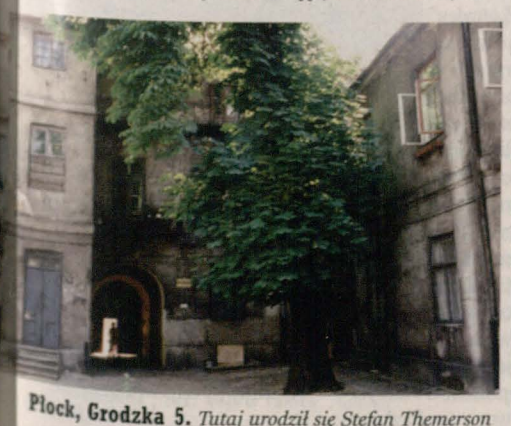
Na końcu „Wyspy...” nie ma żartu. Themerson jest w niej śmiertelnie poważny. Tak samo poważny jak w „Piśmie Świeckim”, gdzie wieszczę:

„I jeśli to, co podane dzisiaj za prawdę, jutro się fałszem okaże – nie będziesz zalał dłoni, nie będziesz bił głową o mur, a ze spokojem Człowieka – wykreślisz; a jeśli okaże się, że to, co podane za niewiadome, wiadomym się stało – dopiszesz”.

Na tych pięciu stronach tekstu Themerson przechodzi samego siebie. Powinni uczyć tego w szkołach. Słuchać w „Piśmie Świeckim” i apokaliptycznego, mówiącego językami mistyka, i racjonalistę w stylu Russella, i ateistę jak Dawkins.

Stefan Themerson zmarł w 1988 roku. Ze smutku. „Tak bardzo chciałem odejść pierwszy” – zwierzył się Ewie Kuryluk, która zadzwoniła do niego dwa dni po śmierci Franciszki. Odszedł trzy miesiące później.

A Pédrek był Wszystkim z wyjątkiem Wielbłąda. □



Czwarta strona kultury

BARTEK CHACIŃSKI

O skutkach obcowania z inteligentnym sukinsynem

ABY SERIAL O SERYJNYM mordercy dotykał cię osobie, nie musisz być seryjnym mordercą. Właściwie to nawet jasna sprawa – dla kogoś, kto oglądał „Dextera”. A dla mnie wręcz perfekcyjnie klarowna. W końcu od lat nawiedza mnie podobny sen: robię coś bardzo złego, z pozabawianiem życia innych homo sapiens włącznie (redakcja mi świadczy, że musiałbym w tym być tragiczny), a potem za wszelką cenę próbuję uniknąć konsekwencji swojego czynu. Wiem, słyszałem – klasyka. Tyle że nigdy nie wiadomo, co inni robią we śnie, więc jednak klasyka dość krępująca. A „Dexter” opowiada historię człowieka, który przeżywa coś takiego w realu, więc obcowanie z nim na co dzień pozwala spokojnie spać.

Zamieniłem na „Dextera” dietę z „Doktora House’a” (o którym pisałem dawno temu – wolę już, żeby oskarżyli mnie o zarozumiałstwo niż o neofityzm w tym kulcie), dopytałem wcześniej znajomych, gdzie znaleźć drugiego takiego inteligentnego sukinsyna. Kiedy zobaczyłem charakterystyczny błysk w oku moich rozmówców, po raz pierwszy uwierzyłem, że moje problemy nie są wyłącznie

moje. Za chwilę zacząłem odbierać kolejne sygnały. ● Gdy we foyer na wręczeniu prestiżowych nagród kolega J. wyciągnął – w celach czysto demonstracyjnych – składany nóż, uświadomiłem sobie, że ostatnio widziałem taki w rękach lebskiego mordercy z zestawem noży większym niż cała rodowa zastawa mojej babci. Przy okazji: rozmowa była zajmująca.

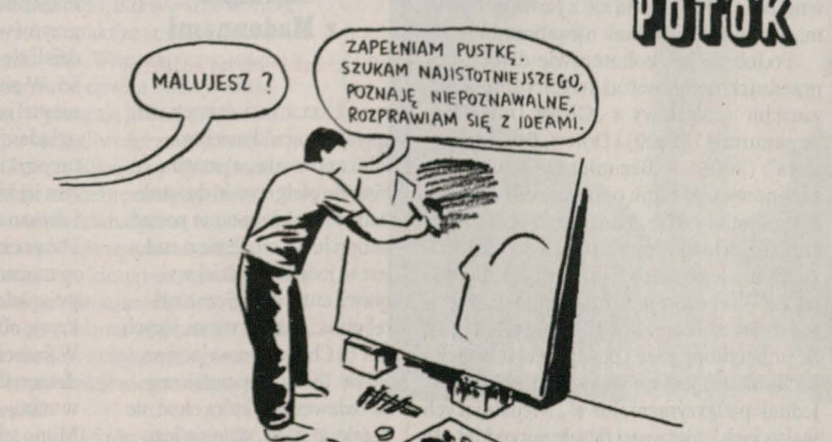


Czy Dexter ma krew na rękach? Nie, na rękawiczkach

● Gdy kolega M. zaczął rano przynosić ciastka do pracy, w mig skojarzyłem to ze zwyczajem Dextera, który – by w pracy uważano go za serdecznego, pełnego ciepła człowieka – co rano przynosił wszystkim paczki. Przy okazji: kremówka była pyszna. ● Gdy poprosiłem żonę (nie wiem, czy ktoś jej liczne pojawienia się w tej rubryce skojarzył już z sytuacją po-

rucznika Columbo, ale wiem, że przynajmniej jedna osoba na to pojawienie się czeka z niecierpliwością) o zegarek elektroniczny – najlepiej taki, jaki nosi Debra, siostra Dextera – dostałem na urodziny Casio F-91W, model znany z tego, że jest ulubionym zegarkiem arabskich terrorystów. Ze względu na dużą dostępność i niezawodną funkcję alarmu wykorzystują go do detonowania bomb, od których giną liczni homo sapiens. Przy okazji: nosi się lekko. Z kompletną bezradnością przyjąłem natomiast informację o tym, że Michael C. Hall, odtwórca roli Dextera, nagrodzony zresztą Złotym Globem parę tygodni temu, ma raka. No bo jakże tu dalej patrzeć, jak kroi ofiary na drobne plasterki i wyrzuca do wody na pastwę Gólsztromu, jeśli to jego będą za chwilę kroić? Jakże tu czekać na kolejne odcinki ze śmiertelnie niebezpiecznym facetem, skoro w cywilu będzie tylko śmiertelnie chory? Jakże tu czekać na kolejne przygody prześtepy niewykrywalnego dla żadnej służby, skoro u niego wykryto coś takiego? Dexter, doktor House... Może po prostu trzeba ich ze sobą poznać? □

RYŚ. MARCIN MACIEJOWSKI



wg W.P.



Sądząc po przedmiotach obecnych na planie, Jim Jarmusch wciąż nie stroni od kawy i papierosów

+++++ MICHAŁ OLESZCZYK

Film pijany Jim Jarmusch odpłynął, a przy tym nie stracił kontroli. Tak właśnie powstają filmowe arcydzieła

Prawdą rzek obojętnych niesion w ujścia stronę/Czułem, że już nie wiedzie mnie dłoń holowników... – ten cytat ze „Statku pijanego” Rimbauda nie tylko otwiera nowy film Jima Jarmuscha, ale także go definiuje. Owa nieobecność holowników – ostateczna utrata kontroli i zdanie się na prąd obojętnych rzek – to pożądany stan, w jakim pod koniec seansu powinien się znajdować widz „The Limits of Control”. Przy czym fabularny budulec jest tu tak ulotny, a piękno chwytnych przez kamerę Christophera Doyle’a obrazów tak obezwładniające, że u niejednego odbiorcy powstanie zapewne wrażenie estetycznego rozdźwięku. Dla szczęśliwców, których wewnętrzne fale zestroją się z Jarmuschowymi, seans będzie jednak niezapomniany.

Podobnie jak bohaterowie dwóch poprzednich pełnometrażowych filmów Jarmuscha – tytułowy z „Ghost Dog. Droga samuraja” (1999) i Don z „Broken Flowers” (2005) – Bezimienny Mężczyzna z najnowszej serii znaczących spotkań. Nie znamy jego celu – inaczej, niż było to w przypadku Dona. Nie rozumiemy jego metod, bo nam ich nie wyjaśnia – odwrotnie niż Ghost Dog. A mimo to ów milczący bohater (nie tyle grany, ile uobecniiony przez posagowego Isaacha de Bankolé) jest na wskroś świeckim, ale jednak pielgrzymem. Już w „Nieustających wakacjach”, pierwszej fabule sprzed lat 30,

„The Limits of Control”, reż. Jim Jarmusch, USA/Japonia 2009, Best Film, 116', premiera 29 stycznia

opowiadał Jarmusch o pielgrzymce bez kreda jako o najbliższym mu sposobie bytowania. Motyw ten jest dlań centralny, przy czym tylko w jednym filmie ośmielił się bóstwo pielgrzymów zdefiniować (kto widział „Mystery Train”, ten wie, dla kogo przyjechali do USA japońscy turyści).

„The Limits of Control”, filmowa enigma osnuta wokół mitologii kina jako takiego, jest wariacją na temat spaghetti westernu z całym jego manieryzmem

i pomieszaniem kulturowych porządków. Tak się składa, że uosobieniem kina jest tym razem odziana w prochowiec rodem z filmu noir Tilda Swinton: z błyszczącą platynową peruką i kozakami w pancerku. To ona mówi bohaterowi, że „najlepsze filmy to te przypominające sny, o których nie wiemy, czy się nam w ogóle przyśniły”. Takie są właśnie „The Limits of Control”, których każdy seans (i każda recenzja) skazane są na wyrwykowość i niepełność.

+++++

Karuzela z Madonnami

O „*Lourdes*” nie na kolanach

TO NIE RELIGIJNA AGITKA ANI „przejmująca” katecheza. Film opowiada co prawda historię pielgrzymki do sanktuarium, gdzie rocznie ponad milion ludzi modli się o cud, jest to jednak bardziej wyprawa antropologiczna niż religijna. Jedną z wizytujących jest tu Christie (rewelacyjna Sylvie Testud), sparaliżowana dziewczyna, która choć nie oczekuje cudu, staje się jego

beneficjentką, lecz jej ozdrowienie wzbudza mieszane reakcje pielgrzymów. „*Lourdes*” dzieli się na dwie części. W pierwszej, niemal reporterskiej, oglądamy przemysł turystyki religijnej z całym jej kiczem, rozmachem i dwuznacznością. W drugiej Hausner, opisując ów cud (który można też uznać za czysty przypadek), pokazuje hipokryzję obrzędowej religijności. W świecie, w którym wszyscy demonstrują wiarę, nikt nie jest w stanie naprawdę uwierzyć. Mimo surowego osądu zbior-



„*Lourdes*”, reż. Jessica Hausner, Austria/Francja 2009, Gutek Film, 96', premiera 29 stycznia

owości reżyserki nie wyrzeka się empatii wobec jednostki. W tym świecie cudem nie jest boska interwencja, lecz prosty gest akceptacji innego człowieka. Bohaterka, nie znajdując go, w ostatniej scenie kieruje wzrok w stronę widza. Czy potrafimy jej odpowiedzieć?

Michał Bursztyn

++ BARTOSZ ŻURAWIECKI („Film”)

Damski bokser „Zapaśnik” po polsku, czyli egzystencjalny dramat chama i kretyna

TWÓRCOM „MOJEJ KRWI” należy się pochwała za to, że dostrzegli Wietnamczyków w Polsce. Ludzi, którzy – przeważnie niewidoczni – żyją między nami, pozbawieni jakichkolwiek praw. Na tym jednak komplemencie pod adresem filmu się kończą. Bo już sposób przedstawienia historii związku polskiego boksera z wietnamską dziewczyną wpisuje się w najgorsze, szowinistyczne myślenie zarówno o mniejszościach, jak i o „uległych Azjatkach”.

Igor (grający dwoma minami Eryk Lubos) musi wycofać się z ringu, gdyż zapadł na śmiertelną chorobę. Postanawia jednak – zanim odejdzie – „zostawić po sobie ślad”. Bierze Yen Ha (cicha i bezbarwna Luu De Ly), Wietnamkę z bazaru, której przedstawia propozycję nie

do odrzucenia: zapłodnię cię, a potem załatwię ci papiery legalizujące twój pobyt. Kobieta początkowo ucieka jak spłoszone zwierzątko, ale potem daje się oswoić. Igor jest troglodytą, który nie zmieni swojej postawy macho do końca filmu i niczego się nie nauczy w relacji z Yen Ha. Doprawdy nie wiem, dlaczego mam się przejąć egzystencjalnym dramatem chama i kretyna? Ona natomiast

równie konsekwentnie coraz bardziej będzie go kochać, mimo że ów damski bokser poniewiera nią i ustawia jej życie. Do kompletu mamy w tle kilka folklorystycznych obrazków z życia wietnamskiej diaspory. Tym wszystkim, którzy uważają, że Polska i polskie kino przeżarte są patriarchatem, i to raczej w dresiarским wydaniu, „*Moja krew*” dostarczy, niestety, wielu dowodów na potwierdzenie tej tezy. □

„*Moja krew*”, reż. Marcin Wrona, Polska 2009, Hag, 90', premiera 29 stycznia



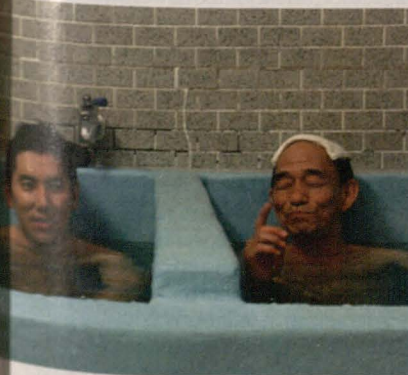
++

Oscarowy kicz

Japońskie „*Pożegnania*” mówią „pa, pa” dobru gustowi

FILM TAKI TY POTWIERDZA ZŁOŚLIWE PLOTKI o tym, że Oscar w kategorii najlepszego filmu obcojęzycznego przyznawany jest przez grono wielbicieli szmiry. I pomyśleć, że konkurentem „*Pożegnań*” do statuetki był między innymi „*Walc z Baszirem*”! Początek wygląda obiecująco – oglądamy pieczołowite przygotowania ciała do pogrze-

bu, które czyni para fachowców. W pewnym momencie okazuje się, że jest ze zmarłą drobny problem natury anatomicznej i trzeba go jakoś dyskretnie rozwiązać. Potem akcja się cofa i mamy okazję poznać historię jednego z owych fachowców. Daigo był wiolonczelistą w orkiestrze, którą rozwiązano. Wrócił więc z żoną do rodzinnego miasteczka i odpowiedział na enigmatyczne ogłoszenie o pracy. Myślał, że zatrudnia się w biurze podróży, a został preparatorem zwłok. Zajęcie to nie cieszy się społecznym szacunkiem, jednak Daigo znalazł w nim upodobanie. Przełamywanie tabu, odkrywanie wartości życia poprzez kontakt ze śmiercią, godzenie się z przeszłością... Wszystko to są ważne tematy, obecne od dawna także w kinie japońskim. Wymagają jednak mądrości, umiaru i powściągliwości znanych nam z filmów Ozu czy Kurosawy. Tymczasem Takita stosuje tandetne chwytli, brnie w jaskrawo melodramatyczne rozwiązania i podsuwa sentencje ze sztambucha. Kwintesencją tego kiczu jest przedstawiana na plakatach reklamujących film scena, w której Daigo rżnie na wiolonczeli, siedząc na łące otoczonej ośnieżonymi górami, a kamera krąży wokół niego w ekstazie. Pora umierać!



„*Pożegnania*”, reż. Yojiro Takita, Japonia 2008, Vivarto, 130', premiera 22 stycznia

Bartosz Żurawiecki („Film”)

Maja Sikorowska i Andrzej Sikorowski

MAJA SIKOROWSKA, ANDRZEJ SIKOROWSKI



sprawa rodzinna

sprawa rodzinna

czyli muzyczny dialog słynnej krakowskiej rodziny

gościnnie wystąpili:

Sonia Bohosiewicz i Grzegorz Turnau



album już w sprzedaży!

Classic

RZECZPOSPOLITA

PRZEKROJ

Gala

DZIENNIK POLSKI

INTERIA.PL

SUPERMAGAZYN MARTA FITA (POLSKA AGENCJA PRASOWA)

Dla miliona Woody Allenów

Stronią od epatowania seksem, krwią i sensacją. Wierzą w siłę rażenia sztuki, wiedzy i wysublimowanego poczucia humoru. Jak to możliwe, że redaktorzy „New Yorkera” odnoszą rynkowy sukces, idąc pod prąd medialnym trendom?

Rok po zrzuconiu pierwszej bomby atomowej „New Yorker” opublikował wypełniający cały numer tekst Johna Herseya „Hiroshima”. Cały nakład tygodnika z 31 sierpnia 1946 roku został sprzedany w ciągu kilku godzin. Albert Einstein zamówił tysiąc egzemplarzy, których zresztą zabrakło. Redakcję zalały zamówienia na prawa do przedruku, a u koników cena tego wydania sięgnęła 15–20 dolarów; „New Yorker” kosztował wówczas 15 centów. W 1999 roku reportaż uznano za najlepszy artykuł XX wieku. Hersey nie zajmował politycznego stanowiska. Ale – jak twierdzi w poświęconym Herseyowi artykule Steve Rothman – „rozumienie realności ataku nuklearnego musiało przez wiele lat wpływać na społeczne i polityczne wybory milionów osób, które ten reportaż przeczytały”.

Czytelnik jest inteligentny

Pierwszy numer „New Yorkera” ukazał się w lutym 1925 roku i ku zdumieniu jego założycieli wyprzedził się w ciągu 36 godzin. Założyli go i wymyślił Harold Ross i jego żona Jane Grant. Miał to być tygodnik satyryczny, wyrafinowany, niekoniecznie dla klas wyższych, ale zakładający „sensowny poziom oświecenia” ze strony czytelnika – deklarowało ciało doradcze tygodnika, „Rada” złożona z grupy przyjaciół Rossa i Grant, w większości błyskotliwych autorów (jak Dorothy Parker) lub artystów (jak Rea Irvin), która stworzyła szatę graficzną pisma. „Rada” przewidywała również, że prócz zamieszczania treści zabawnych tygodnik ma „być tak edukujący i informacyjny”, by stał się „nieodzowny” dla światłych nowojorczyków. Miał się wyróżniać ilością i jakością ilustracji ze szczególnym umiłowaniem dowcipnych rysunków i karykatur. Nastawienie redakcji do humoru opisał we wspomnieniach „Lata z Rossem” James Thurber, autor, rysownik i humorysta „New Yorkera”: „Humoru nie należy zanikać

Założyciel pisma
Harold Ross – zdjęcie z roku 1948 – kierował nim aż do śmierci trzy lata później. Wtedy ster przejął William Shawn



Pierwszy numer z 21 lutego 1925 roku. Na okładzie bryluje Eustace Tilley, który towarzyszy pismu po dziś dzień

[w piśmie] usuwać, ponieważ humor wszystko polepsza” – pisał. Nazywał humor „naszym największym bogactwem naturalnym”. Choć zabawny, magazyn szybko stał się opiniotwórczym, stroniącym od polityki, wyrafinowanym piśmem literackim, społecznym i kulturalnym. Wobec rzeczywistości zgodnie z założeniami „Rady” stosował „raczej interpretację niż stenografię”. Jego wpływy sięgnęły daleko poza granice eleganckich dzielnic Nowego Jorku, do których był adresowany. „New Yorker” jest w sposób deklarowany przeznaczony dla odbiorców „metropolitalnych” i w ten sposób zamierza uciec od presji szerokiej publiczności – postanowiła „Rada”. Tygodnik nie idzie więc na intelektualny kompromis. Nie publikuje drastycznych treści bądź zdjęć, selekcjonuje nawet swoich reklamodawców. Nie ma w nim miejsca na wulgaryzmy. Ross, tłumacząc Thurberowi, jak należy wydawać to pismo, powtarzał z emfazą: „I mam zamiar, na Boga, trzymać seks z dala od tego miejsca!”. Wiele z tej determinacji pozostało. Dziś, gdy większość tygodników upodabnia się do tabloidów, redakcja „New Yorkera” rozpamiętuje ulubione powiedzenie byłego szefa jego działu literackiego Williama Maxwella: „Twój czytelnik jest co najmniej tak inteligentny jak ty”. W ostatnich latach takie założenia nie wyglądają już jak recepta na sukces. A jednak. W 2009 roku elitarne pismo, które zawsze publikuje jakiś wiersz, miało ponad milion prenumeratorów; 85 procent czytelników odnawia subskrypcję co roku; według oficjalnych audytów stanowi to jeden

z najwyższych rekordów w mediach. Tak dalece wyznacza górne standardy, że nawet zdaniem francuskich medioznawców ekipa redakcyjna magazynu cieszy się najwyższym szacunkiem w branży.

Redagowanie jak łamanie kołem

Jeżeli dla magazynu pisywali: Nabokov, Singer, Philip Roth, Irwin Shaw i Barthelme, to zakładać by można, że „New Yorker” to pismo autorów, a redakcja zamieszcza tylko sumienne przedłożone przez nich teksty. Tymczasem od początku Ross miał obsesję na punkcie wymagań redaktorskich. „Musisz trzymać artystów za rękę. Nikogo nie znają! Nigdzie nie chodzą! Są aspołeczni” – wykrzykiwał do Thurbera, usiłując narzucić mu rolę głównego nadzorca. Ross był ekscentryczny, wrzaskliwy, twardy i wymagający wobec swoich pisarzy. Obsesyjny perfekcjonista, męczył siebie i redakcję. Do przyjaciół pisał:

„Założyłem magazyn satyryczny, bo myślałem, że wydawanie go będzie świetną zabawą”. Owszem. Dla pracoholika dyktatora. *Spiritus movens* działu literackiego od 1936 do 1975 roku był również „wymagający i męczący” Maxwell, dzięki któremu „New Yorker” stał się „kwaterą główną [amerykańskiej] literatury”. Mary Morris przyznała w wywiadzie, że poddawanie własnego tekstu procesowi edycji w „New Yorkerze” powodowało doznania podobne do łamania kołem. Mimo to, gdy J.D. Salinger skończył pisać „Buszującego w zbożu”, wsiadł w samochód, pojechał do Maxwella i przeczytał mu go na głos. John Updike, którego teksty Maxwell redagował, napisał o nim: „To najmądrzejszy (...) głos w amerykańskiej literaturze”. Umberto Eco na swój sposób włączył się – artykułem „Ta odnoga jeziora.com” – do globalnej dyskusji o nowych sposobach komunikowania się i o tym, jak to wpływa na styl pisanie. Według Eco współczesny tekst liryczny (dawniej poemat) mógłby wyglądać tak: „Patrzyłem na swoją com.pankę Eudorę, taką bardzo =:-) i marzyłem żeby posłużyć jej za serwer, a potem ściągnąć jej zipa i slippy/ppp aż do org.”. Eco napisał ten tekst w 2000 roku dla „L’Espresso”. W 2010 roku brytyjski tygodnik „The Economist” poinformował w artykule o kryzysie klasycznych mediów, o tym, że Google News w ogóle nie zatrudnia redaktorów, ale tanio i błyskawicznie produkuje przytłaczającą ilość newsów. Ich walory bliższe są przepowiedniom

Eco. W nowych mediach liczy się szybkość i zwartość, a nie wszystko niskie koszty produkcji i masowa publiczność. A „New Yorker” publikuje 12-stronicowe teksty, reportaże, nowele, profile niekoniecznie sławnych postaci. Wszystko rzetelne i udokumentowane. Jego czytelnik nie zauwa-

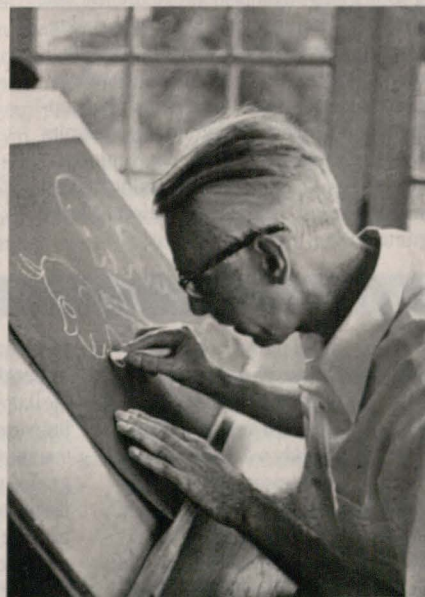
ża schyłku dziennikarstwa ani kryzysu klasycznych mediów. Może więc w erze SMS-ów nie należy się przesadnie obawiać – pisze Umberto Eco – „ponieważ wynalezienie telegrafu i wymagana w związku z tym skrótość informacji »przyjeżdżam czwartek ostatnim pociągiem stop« nie przeszkodziła Proustowi” w napisaniu „W poszukiwaniu straconego czasu”. Znużenie nadmiarem trywial-

nych informacji może tym bardziej przywiązywać czytelników do „New Yorkera” w poszukiwaniu czasu mniej straconego niż ten, który pożarły newsy. Konkurencja, jaką dla większości mediów stanowią blogerzy, nie przeszkadza „New Yorkerowi” w publikowaniu satyry Woody’ego Allena o nadwadze, wymagającej rudymenarnej znajomości Spinozy i Leibniza, pod tytułem „Tako jada Zaratustra”, albo noweli Annie Proulx, która staje się kanwą dla filmu „Tajemnica Brokeback Mountain”. Redaktorzy nie dopuszczają do „stenografowania rzeczywistości”; wciąż liczą na „oświeconą” publiczność. Encyklopedyści light. Bawiąc, uczą.

Dżentelmen z monoklem

W mieście, w którym co tydzień ukazują się 32 magazyny, żeby przetrwać, trzeba mieć charakter. „New Yorker” ma charakter dys-

W 2009 roku elitarnie pismo, które zawsze publikuje jakiś wiersz, miało ponad milion prenumeratorów



Jeden z filarów „New Yorkera”
James Thurber odrabiał pracę domową

tyngowany. Jak rysunkowa postać dżentelmena z monoklem, którego obrał sobie za maskotkę. Nazywa się Eustace Tilley i wygląda jak wychudzony Oscar Wilde. Stworzył go w 1925 roku Rea Irvin; od tego czasu „urodzone” wydania „New Yorkera” mają na okładce tę postać. Pismo najbardziej wyróżnia szata

graficzna wierna epoce Eustace’a i publikowane w wielkiej obfitości wspaniałe rysunki satyryczne, które należą do najcenniejszej przedrukowywanych w amerykańskiej prasie. Ostatnim rekordem był rysunek Petera Steinera przedstawiający dwa psy siedzące przy komputerze, z których jeden mówi: „W Internecie nikt nie wie, że jesteś psem”. Za prawa do przedruku gazety zapłaciły ponad sto tysięcy dolarów. Klasyczny nowojorski czytelnik „New Yorkera”, doktor Marcel Tuchman, pisujący dla „New York Timesa” lekarz i autor nagrodzonych pamiętników, mówi, że nie można zawrzeć pochwał dla „New Yorkera” w kilku zdaniach. Pismo jest znakomite zarówno w swych poważnych analizach, jak i w humorystycznych kawalkach. „Błyskotliwe, czasem cyniczne, ostre, śmieszne” – mówi z aprobatą doktor Tuchman i dodaje, że przypomina mu przedwojenne „Szpilki”. Przewidywalność „New Yorkera” ma kojący charakter. Wiadomo, że w każdym wydaniu znajdzie się opowiadanie. Będzie przegląd wydarzeń kulturalnych „Going about town” (nowojorskie rekomendacje kulturalne) i coś w rodzaju działu plotek „The Talk of the Town” (czyli o czym się mówi na mieście), mieszanina bon motów i opowieści, których nie powstydziliby się Diderot.

Lekceważenie wszelkiego populizmu zbudowało wyjątkowo lojalną publiczność, która pielgrzymuje na Festiwal „New Yorkera” – coś w rodzaju intelektualnych bachanaliów wypadających jesienią. Można wtedy uczestniczyć w dyskusjach z noblistami, prowadzonych przez laureatów Pulitzera, oraz spotkaniach z pisarzami moderowanych przez pierwszorzędnymi aktorów czy reżyserów.

I pomyśleć, że Harold Ross, który redakcji poświęcał wszystkie godziny spędzone na jawie, żył nieustanną obawą, iż „New Yorkera” pochłonie chaos. Zgubią go pisarze, o których „nigdy nie wiadomo, gdzie są”, choć można ich „mieć dwunastu za dziesięć centów”, ale „nigdzie nie można znaleźć zorganizowanych redaktorów ze znajomością angielskiego”. Na wszelki wypadek sam nie zostawał się ze słownikiem poprawnej angielszczyzny. Załamywał ręce nad kondycją pisma z charakterystycznym jękiem: „Boże, jak ja sobie współczuję”. □

Platonow bez tytułu

Pozakręcany Czechow Agnieszki Glińskiej

++++ TADEUSZ NYCZEK

Nie, to nie jest jakaś nowo odkryta sztuka Czechowa. To stary, pocziwy „Platonow”, którego autor nigdy nie tytułował, w Rosji zatem funkcjonuje właśnie jako „Sztuka bez tytułu”. Glińska to dziwny przypadek wśród naszych reżyserów. Również Grzegorz Jarzyna, parę lat młodsza od Pawła Miśkiewicza i Krzysztofa Warlikowskiego, zdaje się być bardziej koleżanką po fachu Jerzego Jarockiego czy Zygmunta Hübnera. Czyli po stronie nowoczesnego teatru tradycyjnego, cokolwiek ten oksymoron znaczy. Lub, jak opowieść rozwija się zgodnie z logiką akcji. Pracuje z aktorami nad psychologią postaci i często osiąga świetne rezultaty na miarę starych mistrzów. Uprawia zatem klasyczny teatr środka przez młodą awangardę podejrzewany o skłonności starczej, a przez obrońców tradycji – o młodzieńczą dezygnację. Nigdy jednak nie wpadała z tego powodu w jaskółczy niepokój twórczy.

Coś się chyba załamało właśnie w „Platonowie”. Jakby nagle pozazdrościła nowemu teatrowi uprawianemu przez rówieśników i już trochę młodszych. Wytrawna stylistka lubiąca trzymać się konwencji jakby poddała się presji stylu zmierzającego do przewracania każdej stabilnej stylistyki.

Po pierwszym kwadransie spektaklu rozpoczętego niemal rodzajową scenką aktorki usadowili się na krzesłach ustawionych na wprost widowni, by już do końca tego aktu zamienić teatr w próbę czytania. Może krzywdę Glińską brzydkim podejrzeniem (pozostając jej gorącym entuzjastą), ale jedynym uzasadnieniem tego pomysłu zdał mi się zamiar upchania maksimum tekstu w i tak długim spektaklu.

Akt drugi wykonany był, o dziwo, znów niemal po bożemu, z pełnym użyciem reżyserko-aktorskich fajerwerków (czyli popisami między innymi Moniki Krzywkowskiej, Da-



Trudno grać Czechowa na siedząco, ale dla dobrych aktorów nie ma rzeczy trudnych

miana Damięckiego, Moniki Pikuly, Janusza Michałowskiego, Dominiki Kluźniak, Andrzeja Zielińskiego). Akt trzeci znów uciekł w inną stylistykę. Salonowe konwersacje poprowadzone w stylu efektu obcości Brechta pomieszczone zostały z nagłym naturalizmem finału, ostatnią scenę zaś powtórzono trzykrotnie, jakby ktoś dla zabawy cofał taśmę filmową, choć do śmiechu mało było. Zachodziłem w głowę, co by to miało znaczyć, ale nie wymyśliłem, więc zapewne pora już pożegnać się z inteligencją.

Czechow jest dla Glińskiej tym, kim Gombrowicz z Mroźkiem byli dla Jarockiego albo Thomas Bernhard dla Lupy. Różne jego sztuki przez lata tu i ówdzie wystawiała, z dużym zazwyczaj sukcesem. Może już się trochę znudziła i postanowiła pobuszować i w nim, i w samej sobie? Żeby była jasność: to nie jest tak, że wszystko, co tradycyjne, jest w tym spektaklu lepsze, a wyskoki w stronę demistyfikacji konwencji chybione. Problem tkwi w uchwyceniu logiki sensu tych teatralnych konceptów. Można uznać, że „Platonow” to tak nieśpójne i bekszałne w swoim ogromie dzieło 20-letniego Czechowa, że teatralne materii pomieszczenie jest całkiem na miejscu. Marny argument i sam mało weń wierzę.

O treściach i problemach „Platonowa” nie wspominam, bo każdy przytomny widz powinien je znać. Zaś to, że Glińska zrobiła spektakl o wzajemnych samooszustwach polegających na dziwnej niemożności bycia z tymi, z którymi chciałoby się być, ponieważ po drodze zadało się całkiem z kimś innym, nie zaskakuje, bo Czechow to właśnie napisał, a Glińska unaoczniała.

Osobną sprawą jest Borys Szybczyk jako Platonow. Widziałem go już w tej roli dziewięć lat temu, kiedy Glińska robiła „Platonowa” w warszawskiej szkole teatralnej właśnie z nim, wtedy dyplomantem, w głównej roli. Był olśniewający. Razem ze Zbyszekiem Zamachowskim i jeszcze paroma innymi miłymi osobami zasiadaliśmy w jury łódzkiego Festiwalu Szkół Teatralnych i szczęki nam opadały na widok tego, co tam wyczyniał. Natychmiast daliśmy mu aktorskie Grand Prix. Dziś jest równie wspaniały, ponadto dojrzalszy o Platonowa, którego przez lata nosił w sobie. Wielka rola. I nikt mi nie powie, że jest inaczej.

„Sztuka bez tytułu” Antoniego Czechowa, przekład Adam Tarn, opracowanie tekstu i reżyseria Agnieszka Glińska, scenografia Magdalena Maciejewska, kostiumy Agnieszka Zawadowska, muzyka Jan Duszyński, Teatr Współczesny w Warszawie

++

Czterej pancerni i klops

Jak Demirski ze Strzępką popuścił Przymanowskiego

ZAPOWIEDZ, ŻE PAWEŁ DEMIRSKI, CZŁOWEK POŚRÓD WSPÓŁCZESNYCH AUTORÓW DEMISTYFIKATOR I POGROMCA MITÓW, WEŹMIE SIĘ DO „CZTERECH PANCERNYCH”,

miała prawo ucieszyć. Zwłaszcza tych, których drażni niesłabnąca popularność owej skłamannej klechdy o dzielnych chłopcach z psem prujących na Berlin w towarzystwie uroczych Rosjan o twarzy Poli Raksy. Demirski – jak zwykle ostatnio – napisał ostrą groteskę mieszącą czasy i wywracającą na ni-

ce wrośnięte już w masową wyobraźnię pancerniaczkie ikony. Miał pomysły brawurowe: Szarik jako postarzały „pies wojny” pod groźbą pistoletu wymuszający holdy dla weteranów czy wyniośle arystokratyczny Olgierd i „awansujący społecznie” Czereśniak jako schizofreniczne zadanie dla jednego aktora. Miał

pomysły, powiedzmy, średnie: skoro Gustlik jako Ślăzak i uciekinier z Wehrmachtu był w tej załodze obcy, to zróbmy go jeszcze kobietą i Murzynką (czegoż teoria o wykluczeniu nie nawyrabiała z przytomnymi umysłami!). Miał wreszcie pomysły marne: sprowadzenie Marusi do hasła: „Janek, mieliśmy

++++ JACEK SIERADZKI

Dostawca materiału Artur Pałyga tak kraje, jak mu teatr dyktuje

Artur Pałyga, skromny dziennikarz i pisarz z Bielska-Białej, jest dziś pewnie pierwszym dostawcą materiału literackiego w polskim teatrze. Piszze na umówiony temat, potem współpracuje z reżyserami na próbach, modyfikując teksty w zależności od potrzeb. Chciałoby się namawiać go na większą samodzielność, na zawierzenie w pełni własnej pisarskiej wyobraźni. Ale człek gryzie się w język, wiedząc, że przy dyktaturze reżyserów takimi radami skazuje być może autora na pisanie do szuflady albo tylko do druku. Więc cieszyć się wypada, że owe „dostawy literackie” Pałygi, obsługując częstokroć tematy rodem z dość sztapowej publicystyki (w stylu: „Zakład dla nieprzystosowanych do życia po przełomie” albo „Dzieciństwo i młodość ostatnich dzieci PRL-u”), są przynajmniej dobrze zakorzenione w rzeczywistości, zdystansowane, dowcipne. Tak choćby bydgoski spektakl „V(F)ICD-10. Transformacje” w reżyserii Pawła Łysaka urządzony jak bombastyczna wystawa osiągnął ostatniego dwudziestolecia, po której krąży w szpitalnych piżamach różni odtrąceni, nieudani i trzępniący nowym ładem. Byłby pewnie doktrynerskim zawracaniem głowy, gdyby nie odważne rozbrojenie paternalistycznego współczucia śmie-



„V(F)ICD-10. Transformacje” Artura Pałygi, reżyseria Paweł Łysak, scenografia Paweł Wodziński, kostiumy Aleksandra Semenowicz, muzyka Maciej Szymborski, Sławomir Szudrowicz, Teatr Polski w Bydgoszczy

chem. Gdyby nie ryzykowne żarty z ludźmi nieszczęśliwych (trzej lekko przymuleni kawalerowie idą na podryw), wcale niekasujące im praw do dramatu i sympatii. Podobnie z bielską szkolną sagą poświęconą pokoleniu, które stan wojenny konsumowało w podstawówce, a w liceum zakładało „młodzieżową organizację sadystyczno-terrorystyczną MOST”. Pod reżyserką ręką Piotra Ratajczaka udało się ustrzec wspominkowego banału dzięki sytuacyjnym gagom i znalezieniu dobrego tonu – pół luzackiego, pół zakłopotanego. Tylko co przyszło twórcom do głowy, by rzecz kończyć tyradą peerelowskiej polonistki, co kiedyś wkładała dzieciakom do głowy slogany o wielkości prozy Bratnego, a dziś samotna i przegrana grzmi godnościowym patosem niczym Maria Stuart w drodze na szafot? Zabrakło szpileczek do przekuwania balonów?

• ICD-10 to międzynarodowa statystyczna klasyfikacja chorób i problemów zdrowotnych. Literze F przyporządkowanej rozdziałowi V odpowiadają zaburzenia psychiczne i zaburzenia zachowania



„Tak wiele przeszliśmy, tak wiele przed nami” Artura Pałygi, reżyseria Piotr Ratajczak, przestrzeń i kostiumy Grupa Mixer, Teatr Polski w Bielsku-Białej

się ruchać”, to dość zenujący sposób wykpienia oleodrukowego romansu z serialu. Wszystko to jednak mieściło się w świetnym założeniu: kochani, takiej pięknej, dającej się oswajać i mitologizować wojny już nie będzie – bo też nigdy nie było. Gdyby teatr walbrzyski potrafił nadąć sceniczną moc, mieli-

byśmy jedną z ważniejszych wypowiedzi w dyskusjach o tożsamości narodowej. Niestety, tej sterty autorskich konceptów Monika Strzępka nijak nie potrafiła uporządkować ani spuentować. Zaproponowała chaotycz-

ną, wulgarną burleskę pełną skatologii, chamstwa i plucia resztkami jedzenia. Tak dalece niekorespondującą z pierwowzorem, że tym, w których miała bić drwina, ani w głowie było się obrażać.

Jacek Sieradzki

„Niech żyje wojna” Pawła Demirskiego (scenariusz inspirowany „Czterema pancernymi i psem”), reżyseria Monika Strzępka, scenografia Michał Korchowiec, muzyka Jan Suświllo, Teatr Dramatyczny im. Szaniawskiego w Wałbrzychu

WHITE LIES

7.02 STODOŁA / WARSZAWA

BILLY TALENT

13.02 STODOŁA / WARSZAWA

Rock in arena

HEY, COMA, HAPPYSAD, MUCHY, CF98, ORCHID
13.02 HALA ARENA / POZNAŃ

Florence + the Machine

6.03 STODOŁA / WARSZAWA

METHODMAN

31.03 STODOŁA / WARSZAWA

AFI

21.04 STODOŁA / WARSZAWA

EMILIA AUTUMN

9.02 PROGRESJA / WARSZAWA

wishbone ash

16.02 PROXIMA / WARSZAWA
17.02 ESKULAP / POZNAŃ

NEWMODELARMY

20.02 BLUE NOTE / POZNAŃ
21.02 ALIBI / WROCŁAW
23.02 STODOŁA / WARSZAWA
24.02 LOCH NESS / KRAKÓW

SUICIDAL TENDENCIES

30.03 STODOŁA / WARSZAWA

KATATONIA

31.03 ROTUNDA / KRAKÓW
1.04 STODOŁA / WARSZAWA

PENDULUM DJ SET

23.04 STODOŁA / WARSZAWA

afesana

11.05 STODOŁA / WARSZAWA

BLACK REBEL MOTORCYCLE CLUB

23.05 STODOŁA / WARSZAWA

BILETY DO KUPIENIA W SIECI TICKETPRO (salony EMPIK, sklepy MEDIA MARKT i SATURN, wybrane punkty RUCH i inne). Pełna lista punktów sprzedaży oraz sprzedaż internetowa: www.ticketpro.pl. Pytania w sprawie biletów? Dzwon: (32) 352 00 04

TICKETPRO
www.ticketpro.pl



Bye, bye, Kitty

Jeśli myślicie, że współczesne japońskie wzornictwo to gadzety z kiczowatym kociakiem, ściany z grubego papieru i coraz mniejsze komórki, to macie rację. Ale tylko częściowo

OLA SALWA



Lampa **AKARI 1AT** – jeden z najstarszych eksponatów. Urodziła się w 1952 roku

Na arcydziełowej wystawie „WA: Harmonia. Japoński design dziś” w warszawskim Instytucie Wzornictwa Przemysłowego oraz w sklepie firmowym Muji (otwarcie już w marcu) w stołecznej galerii handlowej Arkadia niedowiarki będą mogły zobaczyć inną twarz japońskiego projektowania. A nawet – w przypadku prezentowanych w IWP przedmiotów z Muji – poznać nazwisko ich twórców. Jest to ewenement, ponieważ jedną z zasad tej japońskiej siostry Ikei jest anonimowość, co sugeruje już

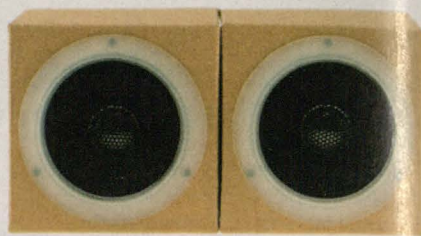
sama nazwa firmy. „Muji” to skrót od Mujirushi Ryhin, czyli „bezmarkowych produktów dobrej jakości”, które oznaczone są tylko naklejką z podstawowymi informacjami, jak cena lub rozmiar. W ascetycznie urządzonych sklepach znajdziemy artykuły biurowe, ubrania, akcesoria kuchenne, meble. Oprócz stałego asortymentu pojawiają się co roku dwie kolekcje nowości, często są to przedmioty zaprojektowane przez zwycięzców konkursu dla młodych дизайнерów organizowanego przez Muji. Dlatego tylko wprawne oko fana (tak zwanego mujirersa) wyłu-

ska z wystawy przedmiot sygnowany czymś nazwiskiem. O tym, że Muji w ogóle jest obecna na wystawie, dowiedziałam się od jednego z jej komisarzy, Shu Hagiwary, który roz-

Torebki **OKURIN** są idealnym opakowaniem na prezenty przechodnie: puste też można wręczać kilka razy



Głośniki z kartonu to **jeden z najbardziej znanych projektów MUJI**. Dźwięk wcale nie jest papierowy



poznał, skąd jest długopis, jakim zapisywałam jego wypowiedzi. Muji uwiodło swoich klientów (głównie miejskich hipstersów i fanów ekożycia) harmonią wypływającą z każdego bezmetkowego przedmiotu. Bo właśnie ta wartość wynikająca z tradycyjnej religii, szintoizmu, jest naczelną cechą japońskiego designu w ogóle. Jeśli zaś chodzi o jego nowoczesną odsłonę, to przez ostatnie dwie dekady zaszła w nim znacząca zmiana. Przyczynił się do tego kryzys ekonomiczny, jaki zaczął się w 1991 roku, gdy pękła bańka gospodarcza. Masowe redukcje zatrudnienia dotknęły także designerów, którzy wcześniej pracowali na zlecenie wielkich korporacji, a teraz zaczęli projektować również na swój rachunek. Źródłem inspiracji dla nich były już nie odgórne polecenia szefów, tylko codzienne życie. To dość istotna, by nie powiedzieć: rewolucyjna, zmiana w społeczeństwie, w którym posłu-



Papieru w notesach Muji **nie wybiela się chemicznie**

pracować albo robić jedno i drugie naraz. Wielofunkcyjność przekłada się tu na oszczędność miejsca, którego na japońskich wyspach jest za mało. Przedmiot przypomina też o wkroczeniu technologii do sfery prywatnej oraz o wydłużeniu godzin pracy. Każdy ze 191 prezentowanych w IWP przedmiotów ma nie tylko określone hasłem przeznaczenie (opakowania, zabawki, meble itd.), ale jest też opatrzone jednym z sześciu słów kluczy, które mają pomóc w zrozumieniu myślenia japońskich projektantów. Dzięki temu oraz dzięki jakości samych przedmiotów wystawa „WA: Harmonia” w klarowny, przemysłowy sposób oprowadzi was po najważniej-

Rzadkość w świecie Muji – **kolorowy długopis**

szych punktach japońskiego wzornictwa. Na przykład „urocze” torebki w kształcie króliczka pokazują, że przedmioty codziennego użytku nie są już traktowane jak martwe rzeczy, ale coś, do czego ludzie się przywiązują. Pozostałe pięć określić to: minimalistyczny, przemysłowy, zmysłowy w dotyku, niepowtarzalny, finezyjny. Tymi samymi wartościami kierują się projektanci pracujący dla Muji (a mówię się, że są to między innymi Jasper Morrison, Enzo Mari czy Konstantin Grcic). Firma powstała w 1980 roku, gdy na Zachodzie nikt jeszcze nie słyszał o ekologicznym dizajnie, a recykling był niemożliwy. Zresztą dbałość o środowisko nigdy nie była w Muji chwilowym trendem, ale elementem harmonijnego stylu życia. A tego potrzebują nie tylko przepracowani Japończycy, ale i obywatele całego świata – bezmarkowe sklepy znajdziemy także w Berlinie, Nowym Jorku, Sztokholmie czy Londynie. W Tokio stoją też kwiaciarnie, kawiarnie i spożywcze Muji. I trochę wbrew swojej filozofii stało się ono kultową marką na całym świecie. □



Oto sos sojowy **KIKKOMAN** i butelka

Profesor menel

Stanisław Brejdygant wraca (z rozmachem)

++++ TADEUSZ NYCZEK

Były lata, że nazwisko Brejdygant znali wszyscy miłośnicy teatru, od czasu do czasu opery albo telewizji. Grał, reżyserował, wykładał; ceniony i lubiany był duszą towarzystwa. Pisał też scenariusze i dramaty, nie powiem, że rozchwytywane, ale ktoś tam je niekiedy realizował. Wydał kilka powieści, niezbyt głośnych i niekoniecznie wybitnych, co podkreślał dlatego, że ma w swoim dorobku zbiór opowiadań „Maligna” z roku 1995, właśnie wybitny. Potem zamilkł na długie lata i znikł z horyzontu. Krótka pamięć dzisiejszych szybkich czasów dokonała reszty – Brejdyganta zapomnieli nawet najstarsi górale.

Niesłusznie i jakże przedwcześnie. Właśnie wyszła nowa powieść 74-letniego dziś autora – „Świt o zmierzchu”. W jakimś sensie rozliczeniowa, choć uważałbym z przypisywaniem autobiografizmowi jakiegoś szczególnego znaczenia. To książka o sławnym niegdyś reżyserze, który na własne życzenie odszedł z teatru, a także z posady wiceministra, którym został jako eksdziałacz antysocjalistycznego podziemia. Dziś, stary i samozdegradowany, pomieszkuję na stołecznym wysypisku śmieci w roli lumpa. Ale lumpa z wewnątrz, autorytetem i pewnymi, wcale poważnymi celami w życiu, które każą mu nie tylko pójść tropem kogoś, kto znał nazwiska morderców górników z Wujka w pamiętnym stanie wojennym, ale i rozkochać w sobie kilkunastoletnią uczennicę. Profesor lump pisze też własną powieść – o kłopotach, jakie ze świeżo uzyskaną wolnością kraju ma pewien XIX-wieczny czarnoskóry prezydent pierwszej niezależnej republiki afrykańskiej, Liberii. Fragmenty tej powieści stanowią znaczną część książki Brejdyganta. Paralela z Polską współczesną wydaje się jasna, choć dziś rozważanie kwestii wolnościowych jest lekko passé. Wszystko się tłumaczy, jeśli spojrzeć na datę powstania Brejdygantowej powieści: rok 1999.

W „Świcie o zmierzchu” od splecionych z sobą wątków aż się roi. Przydają książce atrakcyjności, ale trochę podważają własną wiarygodność. Chyba że ów półkryminalny romans polityczno-obyczajowy z tłem historyczno-współczesnym jest tak właśnie pomyślany, by tylko niektóre elementy nosiły znamiona prawdopodobieństwa. Jeśli taka mieszanina, doprawdy piorunująca, przypadnie komuś do gustu, satysfakcja gwarantowana. Osobiście miałbym jedną małą uwagę. Uczennica, której na początku książki udało się wprawdzie wyrwać spod obleśnego cielska pewnego gwałciiciela, tyle że niestety dopiero pod sam koniec nieenej akcji, idzie później, tym razem ochoczo i z własnej woli, w objęcia Profesora jako... czysta dziewica. Czyżby Brejdygant miał coś specjalnego na myśli? □

one step* cena 34,90 zł/kod: swit121

Kup teraz! Wyślij SMS z kodem podanym przy recenzji na nr 70500 koszt SMS-a z VAT 0,61 zł.

wyślij SMS my oddzwonimy zapłacisz przy odbiorze

3

Muzeum Etnograficzne im. Seweryna Udzieli w Krakowie

Wyrwany skrawek nieba

Malarstwo Doroty Lampart

23.01–16.05.2010

Muzeum Etnograficzne w Krakowie

ul. Krakowska 46

www.etnomuzeum.eu



Instytucja kultury województwa małopolskiego

Patronat medialny

TVP KRAKÓW

RADIO KRAKÓW

ams

PRZE KROJ

Kronika

BARBARZYŃCA

KRAKÓW POST

Crease-life

W Krakowie

KRAKÓW

sztukapl

Pat i jego pozytywka

O tym, jak gitarzysta Metheny odkrył w sobie żyłkę majsterkowicza i co dobrego z tego dla nas wynikło

+++++ MACIEJ KARŁOWSKI

Orkiestron to rodzaj szafy grającej, popularnej szczególnie w XIX wieku. Sercem urządzenia był mechanizm wagowy wprawiający w ruch kółczasty walec, który z kolei uruchamiał młoteczkę uderzającą o struny, dzwonki czy też bębni. Orkiestron w takiej formie został pochłonięty przez otchłań historii i wydawało się, że idea mechaniczno-muzycznego dziwola nie będzie już nikomu zaprzęcać głowy. Tymczasem ten sam postęp techniki, który niegdyś orkiestronowi odebrał życie, dziś wspinałomyślnie zaoferował mu szansę reinkarnacji. Orkiestron XXI wieku to już wyrafinowana konstrukcja sterująca komputerowo 25 instrumentami akustycznymi, w tym także zestawem strojonych butelek, do których wdmuchiwanie jest powietrze. Urządzenie zbudował Eric Singer, geniusz inżynierii mechanicznej, na zamówienie innego geniusza – Pata Metheny'ego.



Człowiek orkiestra, Pat Metheny i jego odkrycie – orkiestron. Pomyśleć, że wszystko to brzmi naturalnie!



Pat Metheny „Orchestron”, Nonesuch

Gdy o tym usłyszałem, zatarłem ręce na myśl o przylapaniu Metheny'ego na nadejść jak balon próżności. Już wyobrażałem sobie, jak pastwić się nad sztuczną osiągniętych brzmień, nad kulawą, bo zautomatyzowaną rytmiką i artystyczną pustką ziejącą zza efekciarskiego ujarzmiania cybernetycznego potworka. Ale kiedy rozbrzmiewać zaczęły kolejne dźwięki płyty, mój plan dokopania Patowi upadł. Z głośników popłynęła muzyka imponująca złożonością formalną, czarująca melodyką i dynamiką, ale tak naturalna, że z tyłu głowy kołatało mi się pytanie, czy aby

na pewno Metheny'emu towarzyszą roboty. Gdy wybrzmiały ostatnie akordy finałowego „Spirit of the Air”, zorientowałem się, że starcie ze sporo starszym Amerykaninem przegrałem słotnie. Właściwie to nie poległem tylko na polu przewidywań, że muzyka będzie bardziej przypominać dokonania Pat Metheny Group niż eksperymenty typu „Zero Tolerance for Silence”. Teraz, kiedy „Orchestron” na dobre opanował moją domową playlistę, łapię się już tylko na niecierpliwym oczekiwaniu na jego koncertową wersję*. Bez żadnych nadziei na skuteczny rewanz. □

• **Pata i jego nową zabawkę** będziemy mogli podziwiać już 28 lutego we Wrocławiu i 1 marca w Warszawie

+++++

Novika wymyślona na nowo

Pierwsza dama polskiej muzyki klubowej wygrywa walkę ze stagnacją



GDY KASIA NOWICKA ZAPOWIEDZIAŁA, że chce połączyć swoje stonowane studyjne oblicze z żywiołowym charakterem występów z kolektywem Beats Friendly, spodziewałem się rzetelnej, do bólu deephouse'owej produkcji. A tutaj orgia pomysłów – deszcz żywych perkusyjnych brzmień, chór dziecięcy, punkto-

we uderzenia mooga, mariaże hip-hopu z electro bądź trip-hopu z jungle. Wiele płyt nie trafia w swój czas. Nie mogę pozbyc się wrażenia, że Kayah nagrała „Skale” kilkanaście lat za późno, a Reni Jusis „Elektronicę” kilka lat za wcześnie. Novika z „Lovefinderem” trafiła w punkt, wyraźnie nawiązując do najgorętszych płyt ostatnich miesięcy i lat. I tak, nowe, lepsze disco Maximiliana Skiby w utworze tytułowym mogłoby się znaleźć na płycie La Roux. „Perfect Beach” Tomka Ziętki bardziej niż dokonania jego macierzystego Loco Star przypomina The xx z ich próbą odnalezienia intymności w elektronice. Wysiłek włożony w zachowanie równowagi między tym,

co delikatne, a tym, co wyraziste, nasuwa skojarzenia z Moderrat czy Burialem. Muzyka każe jednak o nich zapomnieć – melodie mają popową siłę rażenia, a wszystko, co szorstkie, zostaje wypolerowane. Doskonale pasuje do tego materiału określenie „optymalna kombinacja ludzkiego ciepła i technologicznej wiedzy”, którego wpływowy amerykański serwis muzyczny Pitchfork użył w odniesieniu do Róisín Murphy. Gdyby tak Novika umiała wzorem Irlandki złapać te zgrabne piosenki i ścisnąć w garści, nie bojąc się, że je porwie... Choćby po to, by miłość, o której wciąż śpiewa, nabrała rumieńców. Wtedy byłoby jeszcze lepiej.

Marcin Flis



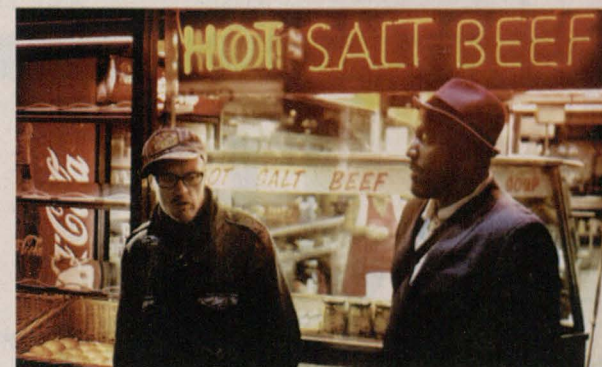
Novika „Lovefinder”, Kayax

+++++ BARTEK CHACIŃSKI

Delikatny atak

Nie czekajcie na nowe nagrania Massive Attack. To, co nowe, znajdziecie na tej płycie

Dzielo Kevina Martina, producenta z wielkim doświadczeniem (Techno Animal, The Bug), jest przyjemne w sposób fizycznie odczuwalny gdzieś w okolicach kręgosłupa. Basowe, dubowe rytmy płyną w lekkim zwolnieniu, całość otacza nieco duszna, dekadentka i narkotyczna atmosfera. Jak nagrania Tricky'ego i Massive Attack w latach 90. Tyle że oprawa muzyczna jest bardziej dyskretna, a Martin wykorzystuje nowsze, minimalistyczne środki wyrazu (nie na darmo wydała tę



Gorący King Midas Sound. Nad Kevinem Martinem stosowny neon

płytę wytwórnia odpowiedziała na chwalone albumy Buriala). Zatrudniony przez niego wokalista Roger Robinson prezentuje pasującą do tej konwencji mrużankę z filozoficzno-ekologicznym przekazem. Brzmi to jak rap, który melodią zaprawiono

tak delikatnie, jakby ktoś wlewał kroplę soku do szklanki z wodą. Nie widać jeszcze zmiany koloru, ale zmianę smaku już czuć. Kupić i słuchać – przynajmniej do momentu, kiedy zaczniecie zewsząd słyszeć, że King Midas Sound to objawienie. □

King Midas Sound „Waiting For You”, Hyperdub

Drugie pięć minut

Jeśli chodzi o „Contra”, to jesteśmy za

LATWIEJ DZIŚ ZDOBYĆ SŁAWĘ, NIŻ UTRZYMAĆ JĄ przez więcej niż kilka miesięcy. O bodaj najczęstszym blogowanym zespole 2008 roku jeszcze pamięta prasa papierowa, za to sieć zbywa Vampire Weekend pobłażliwym milczeniem. Tymczasem eklektyczna „Contra” ustępuje poprzedniczce tylko pod względem chronologii. Nowojorczycy samplują M.I.A., uparcie nawiązują do „Graceland” Paula Simona i cytują The Clash, aczkolwiek w tytułowej opozycji. Częściej odstawiają gitary, by zrobić miejsce syntezatorom i afrykańskim bębnom. Żadna kapela nie klei dziś tak nonszalanckich, nieobciążonych ideologią i zarazem tak zaraźliwych dźwięków. – mh



Vampire Weekend „Contra”, XL



KAYAX PREZENTUJE
NOVIKA
lovefinder

NOWY!
PEŁEN ENERGII
SOLOWY ALBUM NOVIKI!

+++++

Wariacje wolnościowe

Amerykański manifest wiary w utopię – muzyczną i społeczną – w 36 odsłonach

Pieśń „El pueblo unido jamás será vencido!” („Ludzi zjednoczonych nie da się pokonać”) Sergia Ortegi, napisana tuż przed puczem Augusta Pinocheta, po przewrocie wyrosła na oficjalny hymn przeciwników dyktatury. Fortepianowe wariacje Rzewskiego na temat chilijskiego protestu powstałe jesienią 1975 roku były holdem kompozytora dla narodu zmagającego się z reżimem. W dążeniu do „formy, która zawarłaby w sobie wszystkie istniejące języki muzyczne”, amerykański wirtuoz demonstrował wiarę w tytułową jedność w różnorodności. Stąd nawiązania do schematu „Wariacji Goldbergowskich” Bacha i „Wariacji na temat Diabelliego” Beethovena sąsiadujące z serializmem oraz eksperymentami epoki Stockhausena, Cage'a i Bouleza. W interpretacji młodego, ale wszechstronnego niemieckiego pianisty Kaia Schumachera dzieło tyleż chwytliwe, ile niepokojące.

Mariusz Herma



Frederic Rzewski „The People United Will Never Be Defeated”, Kai Schumacher, Wergo

► wyślij SMS ► my oddzwonimy ► zapłacisz przy odbiorze

one step* cena 36,99 zł/
/kod: novika121

one step* cena 62,99 zł/
/kod: contra121

one step* cena 69,99 zł/
/kod: wait121

Kup teraz! ► Wyślij SMS z kodem podanym przy recenzji na nr 70500 koszt SMS-a z VAT 0,61 zł. one* step



BAJKI Z DNA ŚWIATA

O TOMIE BAJEK WYDANYM NA 65. ROCZNICĘ WYZWOLENIA OBOZU W AUSCHWITZ, O TYM, JAK Z DZIEĆMI ROZMAWIAĆ O ICH RÓWIEŚNIKACH, KTÓRYCH DOSIĘGŁA ZAGŁADA, KOMIKSACH I PROFILU NA FACEBOOKU, OPOWIADA MARKOWI ZAJĄCOWI DYREKTOR PAŃSTWOWEGO MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU PIOTR M.A. CYWIŃSKI

Przeczyta pan swoim dzieciom na dobranoc bajki napisane w *anus mundi*, odbycie świata?

– Przeczytam, bo to nie są bajki o obozie, ale prawdziwe opowieści dla dzieci, tyle że napisane, zilustrowane i potajemnie wydane przez więźniów. To unikatowy dokument tęsknoty ojców – tak niepojętej i dramatycznej, że ryzykowali życie, byle tylko te bajki powstały i wyszły poza druty. Gdyby esesmani odkryli, że więźniowie utrzymują konspiracyjną korespondencję ze światem zewnętrznym, natychmiast by ich zabili. Zresztą życiem można było zapłacić nawet za użycie papieru, kalki albo farb z zasobów Zentralbauleitung, czyli obozowego biura projektów budowlanych. To był sabotaż.

A czy to nie przerażające, że bajki z Auschwitz trafiają do dziecięcych pokoi, oderwają się od historii i przestaną być świadectwem, a staną się zwykłymi opowiastkami jak przygody Koziołka Matołka?

– Trudno trzymać bajki na półce z literaturą dla dorosłych i zbywać pytania dziecka, dlaczego ta książeczka nie leży w jego pokoju. Dlatego na przykład wstęp do zbioru bajek z – jak je nazwaliśmy – „Bardzo Złego Miejsca” napisaliśmy tak, by był zrozumiały dla dziecka, które dopiero nauczyło się samodzielnie czytać. Aby choć w minimalnym stopniu pojęło, że to nie całkiem zwykłe historyjki, a jednocześnie – by nie doznało szoku. Dla dzieci i rodziców to będą przede



wszystkim bajki, dla fachowców – wydawnictwo źródłowe. Tu nie ma się czego bać.

Potrafi się pan uwolnić od natrętnego doszukiwania się w tych bajkach odprysków obozowego koszmaru? W książce jest na przykład surrealistyczny wierszyk o śmierci komara. Od razu przychodzi na myśl, że wówczas to ludzi zabijano jak owady...

– ...Albo inne skojarzenie: „zmuzułmianiły”, dogorywający więzień chudy jak komar. Tyle że ja tutaj, w Auschwitz, od dawna nie usiłuję od niczego się uwalniać. Jeżeli z okna gabinetu widzi się komin krematorium, to nie ma ucieczki. Trzeba sobie to jakoś poukładać. Od Auschwitz nie powinno się uwalniać. To by oznaczało zapomnienie.

Impulsem do wydania w obozie bajek była kolorowa książeczka, którą pewien więzień znalazł w pobliżu kanady, czyli magazynów rzeczy zrabowanych ofiarom. Dziecko, które

przywiozło tę bajkę do Birkenau, zamordowano w komorze gazowej.

– Ludzie w Auschwitz wegetowali niepewni nie tyle kolejnego dnia, ile godziny. Wokół nich co chwila ktoś umierał. Twórcy tych bajek, polscy więźniowie, mieli za drutami rodziny. Miażdżąca większość Żydów, którzy przetrwali selekcję na rampie, straciła dzieci, które odebrane rodzicom od razu trafiły do komór. Dlatego sytuacja psychologiczna więźniów polskich i żydowskich była diametralnie różna. Pierwsi mieli za kim tęsknić, drugim nie został nikt. Ale nawet teraz, gdy widzi się w muzeum buciki albo śpioszki, odczuwa się coś głęboko i boleśnie odnoszącego się do własnych dzieci, których przecież nic złego nie spotkało. To wykracza poza wszelkie kontrolowane granice empatii. Kiedy urodziło się moje pierwsze dziecko, przez półtora roku nie byłem w stanie podchodzić do gabloty z ubrankami. Dlatego do pewnego stopnia potrafimy sobie wyobrazić, co czuł więzień mający rodzinę, gdy do ręki brał książeczkę należącą do dziecka w tamtej chwili płonącego w piecu.

Może historię Auschwitz-Birkenau należy opowiadać właśnie przez to, czego doświadczyły dzieci?

„0 wszystkim, co żyje” – zbiór wierszy inspirowanych czeskim oryginałem, a napisanych przez Stanisława Bęcia, numer obozowy 132 200. Do jego syna Andrzeja adresowana jest dedykacja: „Dla Boby w 5. rocznicę urodzin. Ojciec. 7 VII 44”.

0 WSZYSTKIM
CO ŻYJE



ranek

Wyszło rankiem na niebiesko
wypoczęte, rześkie słońce
po srebrnych sięgach rosach
rozprószone błyski lśniące.

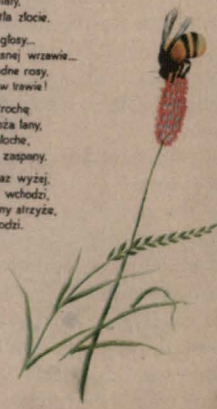
Gdy już ubrało łki,
brylantami lita stroje,
chustki kwiatów piki
rozrydlałe musze roje.

W zabuchal trzmiel pękaty,
zabłykała wózka w locie
obmyły twarze kwiaty,
rozstąpionym światła złoce.

Przez inne słychać głosy...
Wstaje dzień wrodzonej wrzawy...
Widimy też na chłodne rosy,
jak bociany w trawie!

Wpatrzmy się po tym trochę
w wielką muska zboża leny,
jak motyle tańczą płochy,
jak się grzebie żuk zaspany.

Przychodzi słońce coraz wyżej,
rozdrabnia blasków wchodzą,
kolem w cztery strony atakują,
rozmenami pola grodzi.



gniazdko

W zielonym gąszczu, dokąd nikt nie dotarł,
gdzie kot nie trafi i gołęb nie dotrze,
także pieszcz domek swój ubogim
gniazdko przytulne, własne – więc najładniejsze.

Niedługo, pełna będzie piasków wrzawy,
rozdrabnia otwartych krzykiem o jedzenie:
tylko je utrzymać tylko Bóg łaskawy
przed nieszczęśliwym, przedczesnym zniszczeniem.



Dla Boby w 5 rocznicę urodzin
Ojciec

motyl

nad łakami zając dmuchnął...
zakolysał żółtymi trawami
i pogłodził, tak – leciuchno,
motylowy cień żółtawy...

oknał się z zadumy motyl...
rzeszy powiew zebrał w skrzydła,
rozjaskrawił się z ochoty
i blask chwycił w ruch siła...

tańczył długo nad łakami,
szafrowym, lśniącym łokiem,
śpiwowym ruchem oczy miał,
modre niebo, słońce złote...

dziś – dla niego kwitną kwiaty...
może wybrał, który woli...
jutro – przebrni czar bogaty...
zynie... – czemu coś tak boli?



śmierć komara

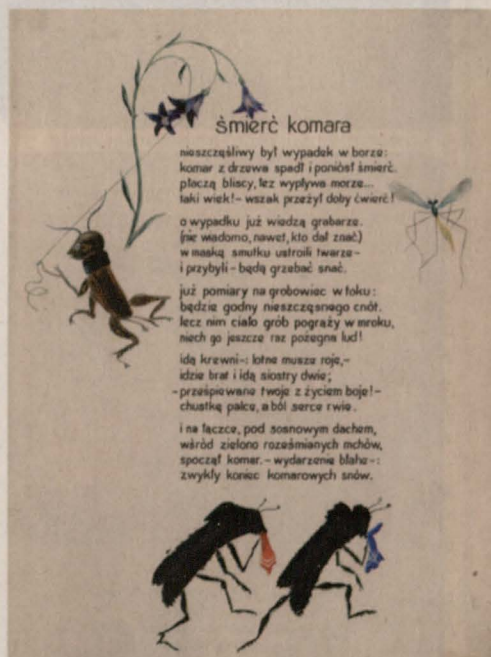
nieszczęśliwy był wypadek w borze:
komar z drzewa spadł i poniósł śmierć,
płacząc błacy, leż wypłynął morze...
taki wiek! – wszak przyszył doby cwiart!

O wypadku już wiedzą grabarze,
nie wiadomo, nawet, kto dał znać!
w maszkę smutku ustroił twarz...
i przybyli – będą grzebać snąc.

już pomiary na grobowiec w toku:
będzie godny nieszczęśliwego cnot,
lecz nim ciało grób pograży w mroku,
niech go jeszcze raz pożegna lud!

Idą krawie – lotne musze roje...
idzie brat i idą siostry dwie;
– przypowiana twoja z życiem boje! –
chustką palce, a ból serce twie.

i na łące, pod sosnowym dachem,
wśród zielono rozróżnianych mchów,
spoczął komar – wydarzona blada –
zwykły koniec komarówych snów.

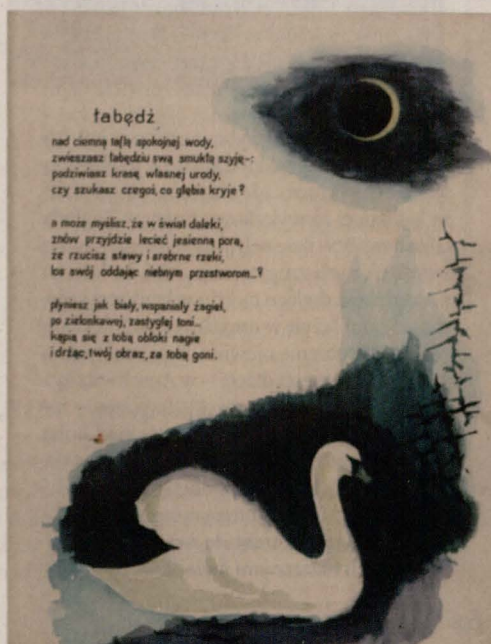


tabędz

nad ciemną tęlą apokajnej wody,
związane tabędzu swą smutką szczyt...
potwierdzone krasną własną urodą,
czy szukasz czegoś, co głębia kryje?

A może myślisz, że w świat daleki,
znów przyjdzie lecieć, jesienną porą,
że rzucisz stawy i srebrne rzeki,
bo swój oddajesz niebom przestworom?

plynieś jak białe, wspaniałe żagiel,
po zielonkawej, zastójnej toni,
hapię się z tobą obłoki nagie
i drząc, twój obraz, za tobą goni.



orzeszki

rozczek się leśniczom udał:
orzechów bez liku! –
cieszę się więc wiewiórka ruda,
i ty też, chłopczyku!

pełne będą dzupki w lesie
i woreczki w domu,
ina gwiazdka ich przyniesie,
święty jaseł komu...

zgodny, para czy nie para?
ile trzymam w dłoni?
maly jak się zgodzić stara...
zgodzi! śmiech w zagaj dzwoni!

a wiewiórka z rudą kłó,
po leśniczach skacze,
głową myśliś ma nabija:
pójde ci smarkacz?

gryzą orzech żabki młode
i mają robotę;
trochę trudna – lecz w nagrodę
zje się jedno złote.





→ Nie chciałbym wybierać między kategoriami zła albo cierpienia. Historię trzeba opowiadać całościowo. Ale nie mam wątpliwości, że los dzieci to wyjątkowy przejaw Zagłady. O ile bywały w dziejach przypadki nienawiści wobec różnych grup, to nienawiść do dziecka, posunięta aż do jego mordu w komorze gazowej, nie mieści się w umyśle. To podniesienie ręki na uosobienie niewinności i bezbronności. Wobec śmierci dzieci – w Auschwitz zginęło ich ponad 200, może 300 tysięcy – nawet najtwardsi tracą panowanie nad sobą. Tak dzieje się na przykład z więźniami zakładów karnych, którzy w ramach projektu edukacyjnego zwiedzają nasze muzeum. Śmierć dzieci przerastała nawet tych, którzy byli naoczniymi świadkami

„Bajka o zajaczkę, lisie i kogutku”

– z czeskiego oryginału przy pomocy więźniów z tego kraju przełożył Stanisław Bęć. Zdanie „Tak to lotrom zwykle bywa, gdy cudzego się zachciewa” więźniowie traktowali w kategoriach przynoszącego pociechę proroctwa. Dedykacja w jednym z egzemplarzy zawiera zakamuflowaną informację o planowanej ucieczce z obozu Józefa Drożdża, numer obozowy 33 208.

obozowego okrucieństwa. W opowiadaniu „U nas w Auschwitzu” Tadeusz Borowski opisuje spotkanie polskiego więźnia i Żyda z Sonderkommando zmuszonego do pracy w krematorium. Jeden i drugi należą do obozowych wyjadaczy. Wydawałoby się, że już zobojętnieli, ale ponad ich siły okazuje się opowieść, jak rozpała się piec: „Bierzemy cztery dzieciaki z włosami, przytykamy głowy do kupy i podpalamy włosy. Potem pali się samo i jest gemacht”.

– Zmarły półtora roku temu członek Sonderkommando Henryk Mandelbaum po wojnie zawsze mówił, że o wszystkim stara się opowiadać i dawać jak najpełniejsze świadectwo o Zagładzie. Natomiast nie pamięta, by w komorach gazowych i krematoriach były dzieci. On dobrze wiedział, a wszyscy koledzy z jego komanda potwierdzali, że dzieci było wiele, może nawet większość. Ale Mandelbaum po prostu nie pamiętał. Tak bardzo nie mógł znieść tego widoku, że kompletnie wykasował go z pamięci.

Znałem Mandelbauma – nigdy nie mówił o dzieciach, ale nie zwróciłem na to uwagi. A przecież potrafił być drastyczny. Przy ruinach krematorium V w Birkenau opowiadał mi, jak po łokieć musiał zanurzać rękę w tłuszczu, który kapał z płonących zwłok, żeby nabierać sadła do garnka i podsycać ogień w dołach paleniskowych.

– Rzeczywiście, Mandelbaum potrafił być do bólu szczery, drastyczny, w pewnym sensie bezlitosny. Ale śmierć dzieci była poza granicami jego percepcji.

Dlaczego zaraz po nominacji na dyrektora zmienił pan logotyp muzeum z przedstawiającego betonowy słup i druty na wykadrowane oczy 11-letniego chłopca z węgierskiego transportu do Birkenau?

– Konkurs na nowy logotyp, początkowo tylko dla centrum edukacyjnego, ogłoszono jeszcze przed moją nominacją. Obejrzałem ze 40 prac – wieżyczki, kominy, druty, pasiaki, numery, napis „Arbeit macht frei”. Same przedmioty, wszystko – poza ludźmi.

A przecież to nie jest muzeum wazetek, butów, protez czy szczoteczek do zębów, ale muzeum ich umęczonych i pomordowanych właścicieli. Pomyślałem, że esencją tego miejsca jest nie tylko nasze spojrzenie na tych ludzi, ale także ich spojrzenie na nas. Zaczęłem przeglądać setki fotografii zrobionych więźniom i ofiarom. Kiedy zobaczyłem wzrok chłopca, węgierskiego Żyda z rampy w Birkenau w 1944 roku – spojrzenie dojrzałe, dorosłe, poważne, rozpoznające sytuację, a jednocześnie spokojne – upewniłem się, że o to właśnie chodzi. Ten chłopiec zginął tuż po wykonaniu fotografii. Zrozumiałem, że nie ma sensu szukać symboli wśród poobozowych relikwii, ale trzeba iść w głąb tego spojrzenia utkwionego w naszych oczach.

Jako dyrektor postanowił pan wydawać komiks o Auschwitz. To nie jest profanacja?

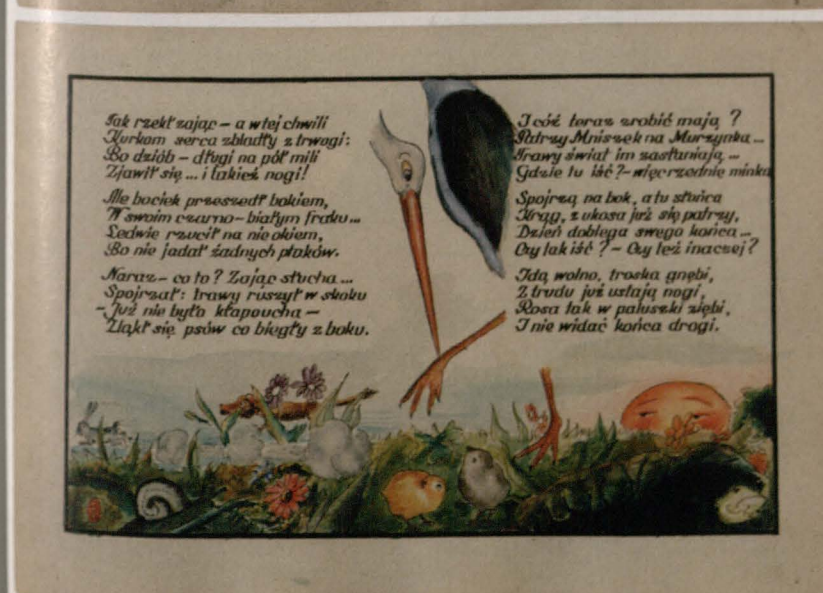
– Komiks budził kontrowersję, bo polskie słowo nasuwa na myśl to, co komiczne. Każdy się zgodzi, że mówić o Auschwitzu warto i trzeba, ale to musi być dialog. A dialog wymaga posługiwania się językiem wspólnym obu stronom. Nie ma sensu podsuwać profesorowi historii komiks o rotmistrzu Piłeckim. Ale tak samo nie ma sensu stawiać przed 14-latkami pięciu tomów monografii KL Auschwitz, bo nawet jeżeli przez nią przebrnie, to i tak wielu spraw sobie nie uświadomi. Głębsze poznanie przychodzi z czasem.

A profil muzeum Auschwitz-Birkenau na Facebooku?

– To był eksperyment. Przez portal społecznościowy jesteśmy w stanie dotrzeć do ludzi, którzy albo byli w muzeum, lecz już tu nie wrócą, bo mieszkają kilka tysięcy kilometrów stąd, albo nigdy tu nie przyjadą, ale są zainteresowani, przyciągani magnetyczną siłą tego miejsca. Oczywiście ograniczony kontakt zapewniały dotychczas programy edukacyjne, filmy czy książki, jednak nie dawały nam sygnału zwrotnego. Teraz po dwóch miesiącach obecności na Facebooku nieustannie komunikujemy się z 25 tysiącami osób na całym świecie. Ba, internauci sami się aktywizują i na przykład tłumaczą nasze materiały na różne języki.

Rozmawiał pan ze swoimi dziećmi o miejscu, w którym pracuje?

– Najstarsza córka ma sześć lat i wie tylko tyle, że tata pracuje w muzeum. To na razie wystarcza. Kiedy pójdzie do szkoły, będzie musiał coś dopowiedzieć. Ale nie boję się tego. Przecież rozmawiamy z dziećmi nawet o trudnych sprawach, o śmierci. Ostatnio



Spytałem Koreańczyków, po co tu przyjechali. Odpowiedzieli: „Bo chcemy zrozumieć Europę”

mój czteroletni syn przyniósł z przedszkola informację, że liczbę ofiar trzęsienia ziemi na Haiti szacuje się na 200 tysięcy zabitych. Dzieci mówią o tym między sobą. Chodzi o znalezienie dobrego sposobu rozmowy z nimi o tych sprawach.

Odchodzą ostatni świadkowie. Jak na Auschwitz będzie patrzyło pokolenie pańskich i moich dzieci pozbawione kontaktu z tymi, którzy widzieli?

– Ich pokolenie będzie dużo lepiej rozumiało, jak ważnym fundamentem powojennej cywilizacji europejskiej jest to miejsce. Do nas dopiero zaczyna to docierać. Przeżyłem szok, kiedy w muzeum spotkałem grupę Koreańczyków i spytałem, po co tu przyjechali. Odpowiedzieli: „Bo chcemy zrozumieć Europę”. My też powinniśmy dostrzec, jak wiele się zmieniło po II wojnie. I nie mam wcale na myśli rzeczy, o których się zwykle mówi: praw człowieka czy koncepcji zbrodni przeciw ludzkości. Nie mówię o wpływie na teologię i kulturę. O pytaniach, czy Bóg istnieje, skoro pozwolił na takie potworności. Albo czy przystoi pisać wiersze po Auschwitz.

Zauważmy, że przez całe wieki gwarancji pokoju upatrywano w równowadze sił – żeby, broń Boże, Burbonowie nie mieli więcej żołnierzy niż Habsburgowie albo III Rzesza więcej okrętów niż Wielka Brytania. Natomiast po II wojnie bezpieczeństwo budowano na podstawie pogłębiania współzależności między narodami. Zaczęło się od obrotu stałą i węglem, a skończyło na Unii Europejskiej. Nigdy nie istniała tak wielka przestrzeń wolna od wojny. Ale to znaczy też, że II wojnę uznano za konflikt nieporównywalny z żadnym innym. Ta inność zaś nie kryje się za bitwą pod Stalingradem ani lądowaniem w Normandii. Tę inność można zrozumieć tylko tutaj, przy ruinach krematoriów. Nadchodzące pokolenia będą lepiej niż my pojmować, że jest świat przed i po Auschwitz. □

„Bajka o przygodach czarnego kurczątka”

– prawdopodobnie pierwsza z potajemnie wydanych w Auschwitz bajek. Jeden z egzemplarzy zatytułowany od imienia kurczątka „Murzynek i Mniszek”. Autorem tekstu jest Stanisław Bęć. Treść nawiązuje do jego spacerów z synem nad brzegami Pilicy.

OTWÓRZ
oczy

CZŁOWIEK Z TYTANU

ARCHITEKTURA KAROLINA PASTERNAK

JESZCZE ROK TEMU
POZYCJA FRANKA
GEHRY'EGO WYDAWAŁA
SIĘ NIENARUSZALNA
JAK TYTAN, Z KTÓREGO
BUDUJE. **TERAZ OFIARĄ
KRYZYSU PADAJĄ JEGO
KOLEJNE PROJEKTY.**
NIEWYKLUCZONE,
ŻE DOŁĄCZY DO NICH
BUDOWLA CAMERIMAGE
ŁÓDŹ CENTER

*Hotel Storrwood w winnej prowincji Rioja,
Hiszpania. To, co widzicie w miejscu dachu,
to nie omamy, ale ukochana przez Gehry'ego
ozdoba: gigantyczna tytanowa wstążka*



W słoneczne dni pokryte tytanowymi łuskami ściany muzeum w Bilbao (1997) mieniają się setkami barw



TO, CZEGO DOKONAŁ W ARCHITEKTURZE GEHRY, NAJŁATWIEJ opisać, używając terminologii muzycznej. Jeśli miasto uznamy za kompozycję, budynki Gehry'ego to dysonanse: dźwięki, które nie pasują do tonacji. To niedopasowanie sprawiło, że wielbicieli klasycznej architektury długo protestowali przeciwko dziwnym budynkom Gehry'ego. O zaprojektowanym na zlecenie Fundacji Guggenheima muzeum sztuki współczesnej w Bilbao mówi się, że na tle industrialnego pejzażu baskijskiego miasta wygląda jak statek kosmiczny. Z kolei na widok Vitra Design Museum w Weil nad Renem słynny rockman Bob Geldof miał stwierdzić, że potrzebuje lekarza.

Zbudowane bez pomocy komputerów (po lewej) i z ich pomocą (po prawej), czyli **Vitra Design Museum i Tańczący Dom**

rza. Uznał, iż po kilku tygodniach w trasie koncertowej zaczyna mieć senne omamy.

(Precz z geometrią)

Jak głosi legenda, wszystko zaczęło się w latach 70. w toalecie domu Gehry'ego w Santa Monica. Pewnego dnia podczas porannego golenia architekt miał stwierdzić ze złością, że brakuje mu światła. Wykuł więc brzytwą dziurę w ścianie, aż na lustro padł promyk słońca. Ten mały ruch dla Gehry'ego okazał się wielkim ruchem dla jego kariery. Na dziurze w ścianie be-



wiem remontu nie zakończył. Kalifornijską posiadłość obudował z zewnątrz (!) pomieszczeniami wykonanymi z blachy, szkła i siatki, co sprawiało wrażenie prowizorki, jakby budynek był w budowie. Gdy wieść o oryginalnym domu Gehry'ego rozniosła się po Los Angeles, do jego biura zaczęły wpływać zamówienia, a posiadłości jego projektu wyrastały w Kalifornii jak grzyby po deszczu. W latach 80. sława architekta dotarła do Europy, ale jego pierwszy budynek na Starym Kontynencie trudno nazwać sukcesem. Chodzi o wspomniane już Vitra Design Museum (1989 rok), które Geldof wziął za senną marę. – Budynek nie odzwierciedlił założeń naszego projektu – tłumaczył się później Gehry. Prezentujących się świetnie na płaskich rysunkach odważnych krzywizn nie udało się bez szkody dla nich przenieść w trójwymiar. Gotowy budynek wyglądał fatalnie. Gehry miał dwa wyjścia: porzucić marzenia o pofalowanych, przecinających zasadom geometrii budowlach albo znaleźć technologię, która pozwoli mu je urzeczywistnić. W komputerach w swojej pracowni zainstalował programy dotąd wykorzystywane do animacji (MAYA) i konstrukcji samolotów (CATIA). Dzięki nim projekty budowlane można było wykonywać z wielokrotnie większą precyzją. Jak wiele Gehry zawdzięcza, widać, gdy porówna się Vitrę z Tańczącym Domem w Pradze (1995 rok), Muzeum Guggenheima w Bilbao (1997 rok) czy salą koncertową imienia Walta Disneya w Los Angeles (2003 rok). To tak, jakby porównywać prymitywny obrazek namalowany dziecięcą ręką z dziełem sztuki. Krzywizny – ciężkie i niezgrabne w Vitrze – budynkom w Pradze, Bilbao i Los Angeles nadają lekkości. Obiekty →

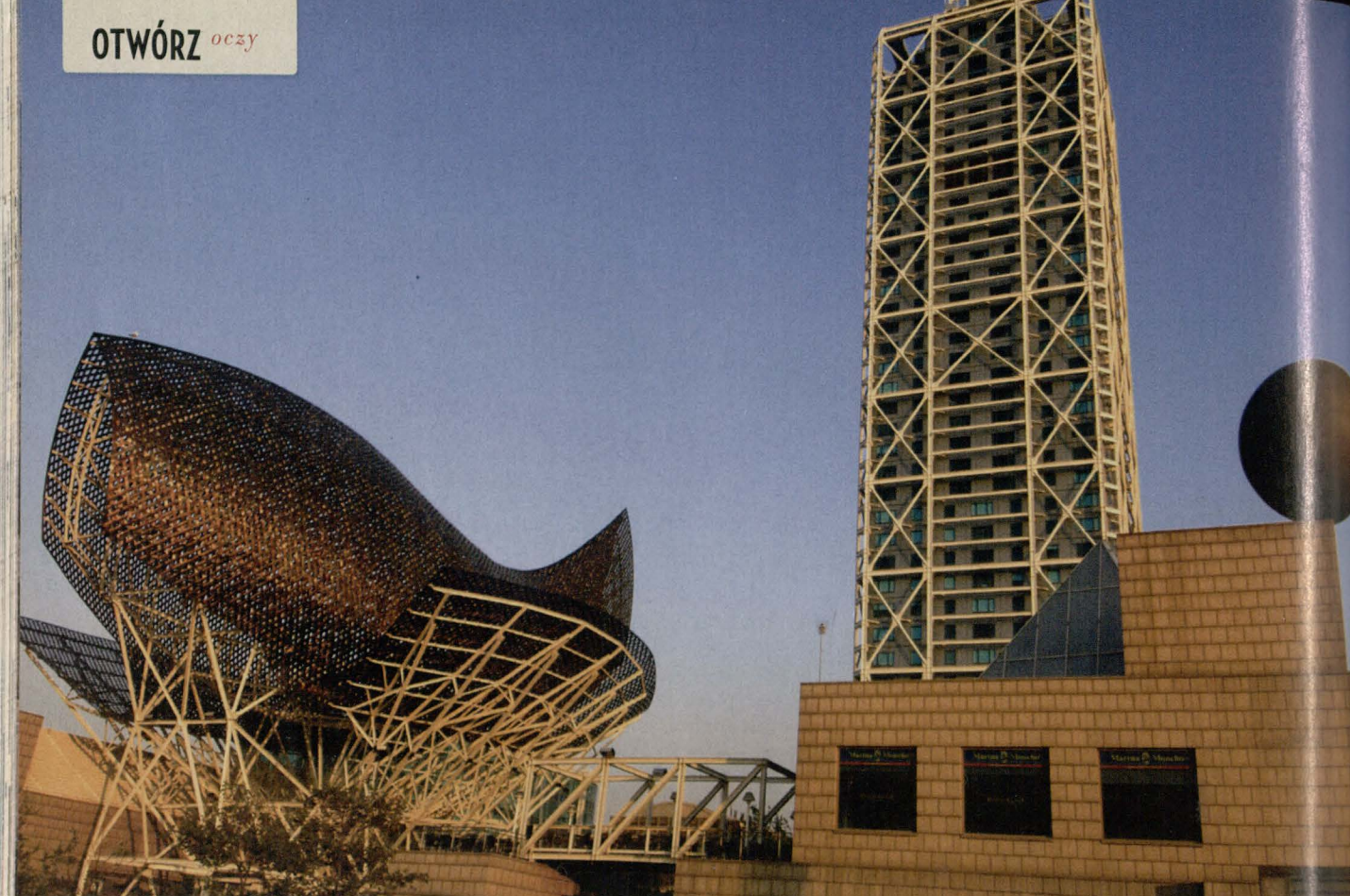
Muzeum muzyki w Seattle. Odjazd!

I na zewnątrz, i w środku, bo ekspozycje poświęcone są tu głównie... rockmanom

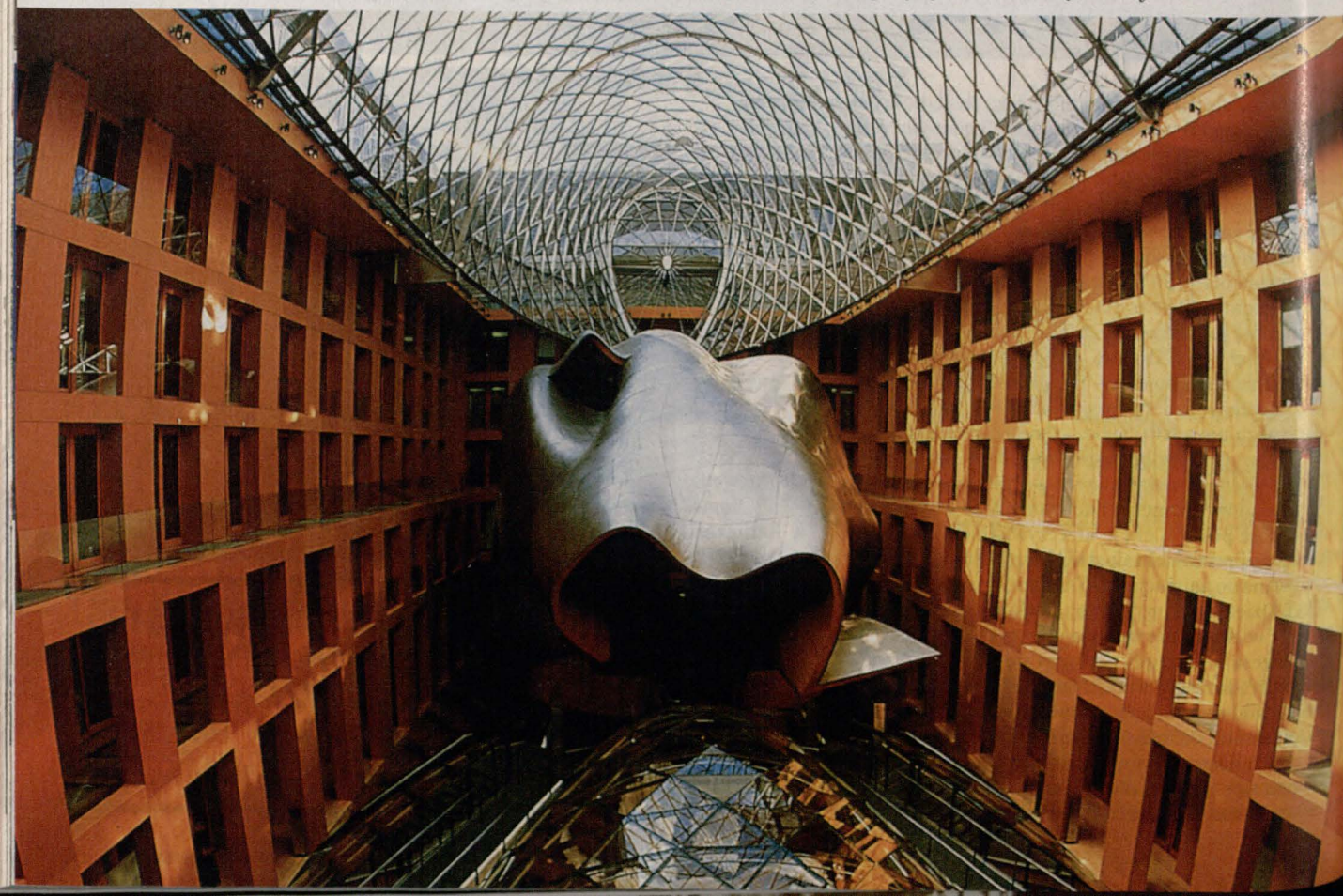
Zmienianie świata Gehry zaczął od swojego domu w Kalifornii (1979)



NA WIDOK **VITRA DESIGN MUSEUM** BOB GELDOLF MIAŁ STWIERDZIĆ, ŻE POTRZEBUJE LEKARZA. UZNAŁ, IŻ PO KILKU MIESIĄCACH W TRASIE ZACZYNA MIEĆ SENNE OMAMY



W latach 80. zapanowała w architekturze moda na inspirowanie się sztuką starożytną. Zirytowany Gehry stwierdził, że skoro już mamy się cofać, to czemu nie do czasów, gdy człowiek był rybą. Efekt irytacji: **rzeźba ryby w Barcelonie** (powyżej). Na dole: Wnętrze budynku DZ Banku w Berlinie



→ sprawiają wrażenie uchwyconych w ruchu. I właśnie tę umiejętność wprawiania statycznych budynków w taniec wielbiciel Gehry'ego uznają za największe osiągnięcie architekta, które (co chętnie podkreślają jego przeciwnicy) nie jest jednak pozbawione wad. I to poważnych.

(Czy tu można mieszkać?)

– To nie są racjonalnie zaplanowane muzea czy sale do ekspozycji – mówi o twórczości Gehry'ego Maciej Miłobędzki, założyciel jednej z najbardziej cenionych pracowni architektonicznych w Polsce JEMS Architekci: – Muzeum w Bilbao to eksponat sam w sobie. W jego wnętrzu można wystawić kilka równie ekstrawaganckich prac, ale zrobić tam prawdziwą ekspozycję jest naprawdę trudno. Pół biedy, gdy tego typu fantastyczne konstrukcje pełnią tylko funkcje muzealne. Gorzej, gdy zaczynają przenikać do tkanki miejskiej: mieszkań, biurów, a kompletną katastrofą jest przechwytywanie ich stylistyki przez mniej utalentowanych naśladowców, czego świetny przykład znamy z własnego podwórka – mam na myśli gmach Telewizji Polskiej. Ale wracając do budynków Gehry'ego, ich poważnym mankamentem jest też to, że nie wytrzymują próby czasu. Weźmy kompleks zaprojektowany dla Vitry: fatalnie się starzeje, nie tylko na poziomie technologicznym (grzyb zalegający na tynku, dach zarośnięty mchem), ale także estetycznym. Po pierwszej fascynacji przestaje budzić jakiejkolwiek emocje – dodaje.

Problem mogą stanowić także krzywizny – uzupełnia krytyk architektury Grzegorz Piątek. – Jest ich w budynkach Gehry'ego tak dużo, że gdy przebywamy wewnątrz, błędnik wariuje. Tylko czy to jest grzech? Może i dobrze, że architektura wywołuje w człowieku tak ekstremalne wrażenia, przypomina o zawrót głowy? Przypomina tym samym, czym jeszcze może być. Że budynki to nie tylko pudełka do życia.

O ile w czasach, gdy powstało muzeum w Bilbao, czyli w okresie ekonomicznej prosperity (za projekt dla Guggenheima Gehry dostał sto milionów dolarów!), takie architektoniczne eksperymenty chętnie znajdowały sponsorów, o tyle dziś, po największym od lat 30. kryzysie finansowym, wydają się fanaberią. Natomiast starchitekci (poza Gehry'm między innymi sir Norman Foster, Daniel Libeskind czy Zaha Hadid), których talent miliarderzy wykorzystywali do stawiania pomników swojego bogactwa i władzy, dostają coraz mniej zleceń.

(Budynki, które nie powstaną)

W związku z kryzysem cofnięto zamówione u Gehry'ego dwa ogromne projekty: kompleksu budynków na Grand Avenue w Los Angeles i stadionu Atlantic Yard na nowojorskim Brooklynie. – To olbrzymia strata, ale musimy skoncentrować się na projektach, które realizujemy, przede wszystkim na muzeum sztuki współczesnej w Abu Zabi – tłumaczył dziennikarzowi „Guardiana” Gehry.

Czy kryzys rzeczywiście położy kres modzie na kosztowne budowle Daniela Libeskinda, Zaha Hadid czy Franka Gehry'ego, można dziś tylko spekulować. Zresztą z naszej perspektywy ważniejsze wydaje się pytanie: czy do galeń niezrealizowanych projektów Franka Gehry'ego dołączy Camerimage Łódź Center, centrum festiwalowo-kongresowe, którego wstępny projekt architekt zaprezentował na początku grudnia 2009 roku, kiedy był z wizytą w Łodzi*.

• Budowa Camerimage Łódź Center stoi pod znakiem zapytania.

ponieważ władze miasta zamroziły przyznaną Centrum dotację w wysokości 250 milionów złotych (sam projekt kosztuje 45 milionów złotych). Zostanie ona uruchomiona, gdy znajdą się zewnętrzni inwestorzy, którzy zapewnią brakujące do zamknięcia budżetu 250 milionów

Muzeum sztuki w Abu Zabi to kolejne miejsce, gdzie prezentowane będą zbiory Fundacji Guggenheima. Jego budowa pochłonie 200 milionów dolarów



A na tym stadionie – **Atlantic Yard w Nowym Jorku** – nikt nie zagra ani w nogę, ani w kosza, bo w koszu wylądował jego zbyt kosztowny projekt

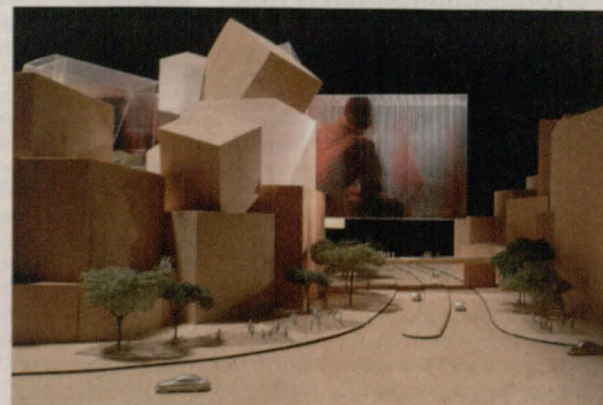


Z Łodzią łączy Franka Gehry'ego nie tylko głośny projekt, ale i dziadkowie. Wyemigrowali z Polski w 1908 roku

– Jak na Gehry'ego łódzki projekt jest bardzo poukładany – przyznaje Miłobędzki. – Cieszy mnie, że to nie kolejne Bilbao, kolejna falująca sukienka z tytanowej blachy, bo jej klonów było już i tak zbyt wiele.

– Ten projekt mieści się w granicach dekonstruktywizmu, ale nie mieści się w tym, co tworzył Gehry przez ostatnie kilkanaście lat – dodaje Piątek. – Co ciekawe, w odróżnieniu od większości jego budowli ta stworzona z elementów przypominających kontenery na swój sposób współgra z otoczeniem, torami kolejowymi, fabrykami. Jest jak budowla zamrożona w momencie eksplozji.

Czy mimo aprobaty i ze strony architektów, i przedstawicieli świata sztuki oraz polityki (poparcie dla projektu wyrazili między innymi Lech Wałęsa, David Lynch i Terry Gilliam) budynek powstanie? W dniu, w którym zamykaliśmy to wydanie „Przekroju”, mimo trwającej od kilku tygodni w łódzkiej radzie miasta dyskusji jednoznaczna decyzja wciąż nie zapadła. □



Camerimage Łódź Center: podczas festiwalu Plus Camerimage na jednej ze ścian będą wyświetlane filmy. O ile CLC powstanie...

ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:

PAN SZARY O WROGACH CISZY,
KRZYŻÓWKA ZASTANAWIA SIĘ, CO SIEDZI
W DOMU (CEGLA), KURKIEWICZ
CHCIAŁBY POMÓC, A ŁADNE RZECZY
POSZŁY SPAĆ

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski



Szary wiruje pył

MARCIN PIESZCZYK

Głośniejszy od bomb,
czyli wiele hałasu o nic

NA OKŁADCE ALBUMU „THE Dreaming” Kate Bush zamieściła radę „Słuchać głośno!”. Dziś takie polecenie nie miało by sensu – każdy rodzaj muzyki jest przeznaczony do głośnego słuchania. Nawet jeśli zdarzają się od tego wyjątki (jakichś nudny byłby świat bez wyjątków od reguły!), to i tak są konsumowane w sposób przeciwny przeznaczeniu. Smooth jazz, zamiast w domowych pieleszach kości smooth dusze w ciemne zimowe wieczory, ryczy w metrze ze słuchawek jednego z pasa-

żerów tak, iż nagle cały wagon staje się smooth. Interpretacja spokojniejszej części twórczości Chopina, miast być koronkową robotą niczym stringi z Koniakowa, grzmi pod palcami Lang Langa jak Wodogrzmoty Mickiewicz. – Koncerty to osobny problem – powiedział kiedyś Szary do żony, gdy wyszli po występie Morrissey’a ze Stodoly. Niestety, Szara kompletnie nie słyszała swojego małżonka. Podobnie jak nie słyszała przejeżdżających aut, klaksonów i dzwoniącej w jej torebce

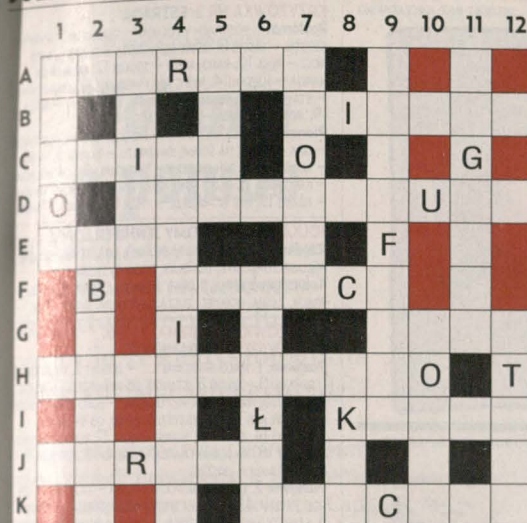
komórki. Choć nic nie słyszała, to nie przestawała mówić – choć, a może właśnie dlatego? Może ludzie są podobni do psów, które gdy nagle głuchną, zaczynają mruczeć pod nosem tylko po to, by czuć choćby drżenie własnego głosu, a poprzez tę wibrację czuć swoje istnienie? Dla Szarych wyjątkowo hałaśliwy był w dzisiejszych czasach wcale nie heavy metal, tylko stary dobroćliwy soul. Kiedyś, gdy Aretha Franklin czy Diana Ross zaczynały piosenkę, mniej więcej było wiadomo, że podobna tonacja będzie miłośnicze panować również nad rozwinięciem, a także zakończeniem ich kompozycji. Dziś Mariah Carey musi w jednej zwrotce pokazać całą pięciooktawową skalę swojego głosu, dwa półtony

są wisienką na torcie utworu, a jej różne „yeah yeah” zajmują więcej miejsca niż właściwy tekst. Szarzy cierpieli, że nawet ucieczka przed hałasem wymaga najpierw przebrnięcia przez niejedną ścianę dźwięku. Spokojne zimowisko w leśnej głuszy w Finlandii? Tak, ale najpierw trzeba zmierzyć się z hałasem lotniska. W hali odłotów nie słychać już samolotów, ale za to z głośników ryczy co prawda mniej oktawa niż MC, ale nie mniej męcząca Natalia Kukulska. Oczywiście Szarzy wiedzieli, że hałas przynależny nie tylko do muzyki. W odwiedzinach u rodziny, która mieszkala tuż obok często używanych torów kolejowych, zawsze dziwili się, po co ta zafundowała sobie dodatkowo stojący

zegar, który z siłą dzwonu Zygmunta obwieszczał każdy kwadrans. Kiedyś można było (cicho) śpiewać „Na całej jeziorach ty”. Teraz, by było prawdziwe, każde zdanie rozpoczęte od „wszędzie” musiało kończyć się słowem „hałas”. A może Szary jak zwykle idealizował przeszłość? Pamiętacie pierwsze zdanie kniazia Aleksandra z „Aleksandra Newskiego” Eisensteina? Szło to tak: „Czego krzyczycie? Ryby płoszyć!” – zdanie, które było powiedziane z taką siłą, że wszystkie ryby od razu uciekły, gdzie raki zimują. – Bo ze wszystkich wrogów ciszy najgorszy są ludzie – powiedziała Szara. – Wielu robi wokół siebie dużo hałasu. Nawet wtedy, gdy mówi szepcem.

JOLKA NR 4

AUTOR: JERZY BUCZEK



WYRAZY

10-LITEROWE:
• POZOSTAŁOŚĆ PO PIÓRACH • W TECZCE CHRONOSA

WYRAZY

9-LITEROWE:
• NABUJALI JĄ NORWESCY NAFCIARZE
• DO JAJKA PIERWSZY, DO JAJCZYNICY OSTATNI

WYRAZY

7-LITEROWE:
• TYTANI RYNKU CYNKU
• OCZARUJĄ FOLKLORYSTĘ
• W SZLACHECKO-

WOJEWÓDZKIM

RÓWNANIU • BRATANEK NAROBI

WYRAZY

6-LITEROWE:
• KOKIETUJE STROICIELA
• REYMONT ZA LAURĘ
• GOTÓWKA, NA KTÓRĄ LICZY HYDROLOG
• PRZEBÓJ KOŃCA TURNUSU • MINUS WCIELONY

WYRAZY

5-LITEROWE:
• TRZYMA SIĘ WE WŁASNYM INTERESIE

• TRZE SIĘ, ALE NIE PO POŁOWIE
• IDZIE ALBO NIE IDZIE ATLANTYKOWI • PRZEZ SZALU DO SERCA
• TO NIE TAKIE PROSTE
• KARKÓWCE DOSKWIERA

WYRAZY

4-LITEROWE:
• GRUBA RYBA Z PASTORAŁEM
• HARCERSKIE EFEKTY SPECJALNE
• RYBY TRZEJWIĄCE
• ANI JEJ SIĘ ŚNI LŚNIĆ

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

14 _A11 _K2 _K7 _K6 _B10 _J4 _C2 _D6 _I10 _A1 _E4 _E7 _

B7 _H7 _I2 _A6 _G11 _K8 _B12 _F5 _H9 _K12 _

LAUREACI Z NR. 51/52

KRZYŻÓWKA:
Agata Chłwicka,
Warszawa; Sławomir
Jędrzejka, Łódź;
Marta Mozolewska,
Kwidzyn; Maria
Dziamba,
Tarnobrzeg; Irena
Hylińska, Kraków;
Elżbieta Szymańska,
Wągrowiec

JOLKA:

Anna Ciechowska
Ania, Warszawa;
Elżbieta Chudowska,
Kwidzyn; Maria
Dziamba,
Tarnobrzeg; Irena
Hylińska, Kraków;
Elżbieta Szymańska,
Wągrowiec

KRZYŻÓWKA NUMIZMATYCZNA:

Marcin Hałun, Tarnów; Sławomir
Jędrzejka, Łódź; Romuald Kohl,
Zduńska Wola; Maria Kozarzewska,
Pułtusk; Justyna Krajewska, Gdynia;
Beata Molska, Łochów; Jolanta
Wesołowska, Kielce; Krystyna
Woźniak, Warszawa; Wanda
Woźniak, Dzierżonów; Janusz
Wyjątek, Nowy Tomyśl

BĘDZIE GŁOŚNO (ERRATA)

WYSTĘPUJĄ:

JIMMY PAGE, THE EDGE
ORAZ JACK WHITE

JIMMY PAGE: To, że akurat my występujemy w tym filmie,
to w zasadzie czysty przypadek...

THE EDGE: Świetnych muzyków jest na świecie naprawdę wielu...

JACK WHITE: Muzyków doświadczonych, biegłych technicznie,
otwartych na każdy rodzaj muzyki...

(Wyciszenie & zaciemnienie przechodzące stopniowo
w gitarowy wstęp do utworu „Pokolenie” zespołu Kombi).

KURTINA zapada wraz z wielką trójwymiarową podobizną
Grzegorza Skawińskiego. Fanfary.

Kino-
teatrzyk
PRZEMKA
JURKA

LEWO
MYŚLNIE

Siły szybkiego pomagania

A gdyby tak głupie, źle skierowane,
ale za to karygodnie drogie
energii i instytucje
przeprogramować
na coś całkiem innego?

ROMAN KURKIEWICZ

HAITI JUŻ JEST PASSÉ. NA HAITI JUŻ nic się nie dzieje. Już nie wydarzy się żaden cud odnalezienia staruszki po 10 dniach czy niemowlaka po tygodniu. Już żaden dziennikarz nie wykaże się bohaterstwem ośmiosekundowej akcji ratunkowej, podczas której uważnie się schylając, wali główką dziecka w wystający fragment muru.

Polska wysłała prezydencki czy rządowy samolot z wodą i innymi sprzętami oraz ratowników na kilka dni. Amerykańska organizacja zaopatrzyła Haiti w kilkakaset urządzeń do odsłuchiwania Biblii po kreolsku dla analfabetów. Nie chcę grymasić i się wyzłośliwiać, wszystkie te nawet niekiedy kuriozalne rzeczy były zapewne podyktowane gdzieś dobrą wolą.

Równocześnie czytam rewelacyjny tekst z „New Yorkera” przedrukowany przez „Przekrój” o „Ataku dronów”, czyli amerykańskich zasadniczo, albo mówiąc ściślej, CIA-owskich samolotach bezałogowych, które rocznie w „wojnie z terroryzmem” zabijają – tak, tak, w tym roku Obama też, nadal – setki ludzi. Bez wyroku sądowego. Z wyroku wywiadu, oka kamery, palca na joysticku funkcjonariusza w Langley, siedzibie CIA. W tych niekontrolowanych atakach giną ludzie, o których nigdy nie będziemy już wiedzieć, winny czy nie. Dużo to mniej absorbujące niż schwytywanie i trzymanie ich w Guantanamo, kiedy i tak nie

można niczego z nich wyciągnąć, bo takie „podtapianie” jest zabronione. Producent dronów nie wyrabia się z fabrykowaniem nowych. Są już w wersji nano, wlecają niepostrzeżenie do pokoju.

W Polsce energia idzie w stronę kontrolowania i blokowania stron internetowych. W rządowym projekcie jest Rejestr Stron i Usług Niedozwolonych – co się tam znajdzie, będzie blokowane po sześciu godzinach od decyzji, na szczęście, sądu. W obecnej, poprawionej wersji nie wystarczy sygnał NIEDOZWOLONE!!! którejś z takich instytucji, jak: policja, straż graniczna, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Służba Kontrwywiadu Wojskowego, Żandarmeria Wojskowa, CBA, Wywiad Skarbowy i Służba Celna – potrzebna będzie decyzja sądu. A gdyby tak te wszystkie złe albo niedobre ukierunkowane energie przekierować? Zawrócić bieg obowiązującego? Stworzyć dywizjon ratowniczy, światowy? Zdolny dotrzeć w dowolne miejsce na globie tak szybko jak oddziały szybkiego reagowania? Albo szybciej? Oponenci mówią, ale oni by cały czas czekali. W końcu takie Haiti zdarza się od czasu do czasu, poza tym to są również nawarstwione problemy funkcjonowania takiego dziwu. Ale, odpowiem, żołnierze czekają na te swoje wyjazdy też latami, niech zresztą czekają wiecznie. Czas na globalne pogotowie ratunkowe. Nie rozumiem, dlaczego nie ma.

MYŚLNIE

Wolę oryginalne falsyfikaty
od sfałszowanych oryginałów.

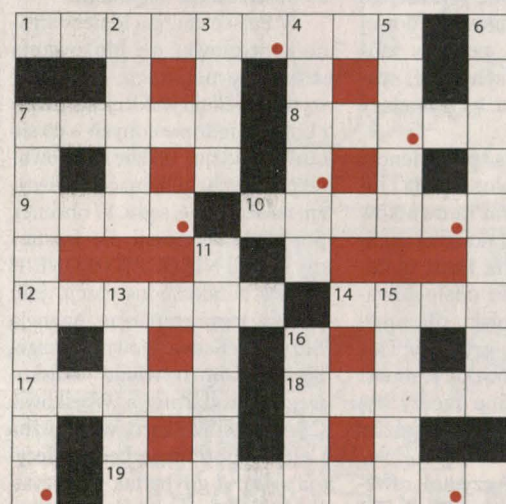
Krzysztof Bilica

JESZCZE RAZ RACZKOWSKI



KRZYŻÓWKA NR 4

PRZYGOTOWUJE: ZESPÓŁ KALIBER 45



Sponsorem nagród
do jolki i krzyżówki jest
stereo.pl – www.stereo.pl

Litery z oznaczonych pól czytane
poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

POZIOMO:

1. TELEWIZOR NA BAKTERIE
7. SIEDZI W DOMU
8. 50% PRAWDOPODOBIENSTWA
9. ONA LISA
10. BABA RYBA
12. O TYLE
14. NI SREBRO, NI ZŁOTO
17. NAD MORZEM
18. KOMÓRKA DO DZWONNIENIA
19. AUTOSTOPIA

PIONOWO:

2. KOKOLEGA
3. WIDZIMISIE
4. OSTATNI KRZYK WODY
5. ZAWSZE PIERWSZY
6. CYTRYNKA MA CZKAWKĘ
7. KRYSZTAŁOWY INTERES
11. NA OKO
13. PRZED NURKIEM
15. GDZIE SIĘ PUSZCZA GÓRNIAK
16. WUJ SAMO ZŁO

stereo.pl

ster90.pl

ROZWIĄZANIA

KRZYŻÓWKA NR 2: ESTRADA

Poziomo: 1. POSTRACH WŁOCHÓW – DEPIŁATOR 7. WYWIŁY SZÓSTKI – KUJON 8. CIŚNIE SIĘ NA USTA – PASTA 9. MYJE NOGI – REKA 10. BARO-METR – STOLEK 12. WREM DE LA HAREM – SULTAN 14. RYBY, RAK I WODNIK (A ZASANI PRIMA) – STAW 17. NA BARANA – ROZEN 18. DOM MIEŻEY – WILIA 19. JEDZIE NA SSANIU – ODKURZACZ

Pionowo: 2. PIES NA MUCHY – PAJAK 3. LUDZIE PRZECIĄGAJĄ – LINA 4. WZÓR NA ŚCIANE KWADRATU – TAFETA 5. JAKOŚĆ – ROSOŁ 6. OPERA WAGNERA – SIATKÓWKA 7. AUTOKREKA – KAROSERIA 11. DŁUGI MROŻKA – JAMNIK 13. MEBLA NA FAS – ŁÓŻKO 15. PAS W POKERZE – TALIA 16. O SŁOŹCE – DWÓJ

JOLKA NR 2: ZNAJOMY JENNIFER LOPEZ

Rzędami: BOBASY, JUNIOR, ANDROID, LIPA, NARCIARZKA, PRAJASZCZUR, OMYK, LOWELAS, POZNAJ, SIESTA

Kolumnami: APELE, TUIWIM, PARACWAJ, FILAC, CHARLES, BRACH, ZASPA, BODZIEC, ZOLZA, SPONDIUM, RYBAK, IDEAL

KRZYŻÓWKA NUMIZMATYCZNA

Z NR 51/52/2009: BANKNOT

Poziomo: 1. MAŁO BRAKOWAŁO... – DEFICYT 7. MA AWERS (I REWERS) – BILON 8. STARCZA DO PIERWSZEGO – RENTA 9. WSPÓLNA WALUTA POLSKI I UKRAINY – EURO 10. PODWÓJNY LANS – BILANS 12. NIE WSZYSTKO ZŁOTO, CO SIĘ ŚWIECI – SREBRO 14. CIESZY SIĘ W NBP – RADA 17. RUCH W INTERES – OBRÓT 18. NA DOBRE I NA ZŁE – TREND 19. OPISANE DO RACHUNKU – ODESEKI

Pionowo: 2. EMERYTURA PODMOSTOWA – FILAR 3. NIE CHCIELI – CENA 4. NADEISZŁA WIEKOPOMNA CHWILA – TEREN 5. STARSZY KASJER STARSZEGO KASJERA – RANGA 6. PENIAŻE NA KREDYT – TRANŻA 9. Z ZIEMI POLSKIEJ DO WŁOSKIEJ – EKSPORT 11. NIE NA REKE – BRUTTO 13. LCD W NBP – BŁAS 15. POŚREDNI PRACOWNIK – AGENT 16. KUPA ZŁOTA – STOS

Wygraj jedną z 10 płyt Michaela Bublé „Crazy Love”. Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASŁO JOLKI lub PRZEKROJ.HASŁO KRZYŻÓWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój” ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, z dopiskiem: „jolka 4” lub „krzyżówka 4”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 1 lutego 2010. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowej przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów lub usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawianie, jak również żądania zaprzestania ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

KUBA DĄBROWSKI

Wołanie o pomoc

Historia jednej z pierwszych „placzących madonn” autorstwa Wernera Bischofa pokazuje, że kiedyś fotografia mogła działać więcej niż dziś

W 1949. ZAŁOŻONA DWA LATA WCZEŚNIEJ przez czterech największych reporterów świata (między innymi Roberta Capę i Henriego Cartier-Bressona) agencja Magnum nie nadąża z realizacją spływających zewsząd zleceń. „Ojcowie założyciele” muszą przyjąć do swojego grona pierwszego człowieka z zewnątrz. Wybór pada na Wernera Bischofa, młodego, oddanego dokumentalistycznej misji fotografa ze Szwajcarii. Wrażenie na członkach Magnum robią jego zdjęcia podnoszących się ze zgłiszcz europejskich miast. Bischof – z wykształcenia grafik – wprowadza do fotografii reportażowej artystyczny punkt widzenia. Do tej pory zajmował się portretem i reklamą w swoim studiu w Zurychu, współpracował z prasą, a bardziej zaangażowanym tematom poświęcał wolny czas. Rozległe znajomości Magnum są w stanie zapewnić mu fundusze na realizację wymarzonego projektu.

W styczniu 1951 roku Bischof zostawia (wyzniamą na szczęście) żonę i dwuletniego syna, by wzorem mistrzów z Magnum wyruszyć na *grand tour*. Chce objechać aparatem cały Daleki Wschód i opowiedzieć dostatniej Europie i Ameryce, jak wygląda życie w biedniejszych częściach świata. Kieruje nim naiwna z dzisiejszego punktu widzenia wiara w sprawczą moc zdjęć. Azjatycką podróż rozpoczyna w Indiach. W prowincji Bihar fotograf natra-

25 maja 1954 roku do nowojorskiego biura agencji Magnum dociera telegram informujący o śmierci Bischofa w wypadku samochodowym w Andach. Tego samego dnia w Wietnamie na minie ginie Robert Capa. **Wieczorem w Zurychu żona Bischofa rodzi drugiego syna**

fia na ciągnącą się miesiącami suszę i towarzyszącą jej klęskę głodu. Bischof jest jedynym reporterem na miejscu, jedyną osobą przekazującą światu potworny stan rzeczy. „Nie jest łatwo, rząd nie chce dowodów tego, co się tu dzieje – pisze w liście do żony. – Jestem pewien, że moje zdjęcia nie pozostawia ludzi obojętnymi” – dodaje. Materiał publikuje „Life” i faktycznie nikt nie patrzy na kadry Bischofa obojętnie. Największe wrażenie robi zdjęcie „madonny” – monumentalny kadr, drapowanie sari kojarzące się z antycznymi posagami,

chwytający za serce gest... Do Bombaju dociera telegram od Edwarda Steichena. Wzruszony kurator z nowojorskiego Muzeum Sztuki Współczesnej zapewnia fotografa, że Ameryka dołoży wszelkich starań, żeby przyczynić się do poprawy sytuacji. Społeczeństwo organizuje składki, Kongres wysłał do Indii 136 milionów ton zboża i 190 milionów dolarów zapomogi. Fotografia działa! Po kilku miesiącach od publikacji Bischof dokumentuje zdjęciowo rozdzielanie napływającej z całego świata pomocy.



Jestem na łasce gazet, ale nie czuję się fotografem gazetowym. Przede wszystkim czuję się artystą

WERNER BISCHOF



ŁADNE RZECZY!

OLA SALWA

Maskowanie

Czyli niby jesteśmy, ale już nas nie ma

W KARNAWALE JEST COŚ NIEZWYKLE KUSZĄCEGO. NIE MAM TU NA MYŚLI OGÓLNEGO PĘDU KU SZALEŃSTWOM NA PARKIECIE, przy stole i barze. Daje on szansę ucieczki od rutyny. Zasłonięta twarz i dziwny strój upoważniają do bycia na chwilę kimś innym, pójścia w nowym kierunku, zachłystnięcia się wypożyczoną na noc wolnością. Głęboki wdech jednak nie zawsze jest zdrowy, szczególnie gdy panuje jakaś epidemia. Ale i na to jest rada – maseczka higieniczna, która od czasów jej głównego fana Michaela Jacksona przeszła korzystne metamorfozy. Ładna i zdrowa, chociaż i ona nie ochroni nas przed całym paskudztwem i szpetotą świata, na co Król Popu jest, już nieżyjącym niestety, dowodem. Gdy nie ma szans ani na zabawę, ani na świeże powietrze, można już tylko zamknąć oczy i prześpać zimę. Wygodna i wymowna maseczka na oczy Urban Outfitters odetnie drażniące światło. Do widzenia, do jutra.

Kominiarka na imbryczku do herbaty to imbryczarka czy herbaciarka? **Najważniejsze, że grzeje**

Choć małpa była uważana za **zwierzę Szatana**, ta niewinna osobniczka na pewno nie ześle wam sennych koszmarów

Co tuż po przebudzeniu mówi osoba śpiąca w tej masce Urban Outfitters? Coś bardzo wulgarnego, **lepiej jej nie budzić!**



FUCK OFF



W tej masce **Urban Outfitter** nie można się krzywić. Trzeba chodzić dumnie wyprostowanym jak paw





Czyjaś, chyba diabelska ręka nieustannie mój kalendarz z miejsca na miejsce przewiesza. Niesłyszalne, a może nawet niewidzialne młoty gwoździe w ściany wbijają! Stalowe gwoździe! W betonowe ściany!

JERZY PILCH

10 STYCZNIA

CHWAŁ SIĘ, CHEŁPIE, WYGRANĄ WOJNĄ, obnoś się spełnieniem marzeń, świętym spokojem, osiągniętą równowagą, czarnogorską aliancką i czym i kim tam jeszcze – przyjdzie na ciebie zagłada. Nawet jak się chwalisz wysoce – jak ci się zdaje – autoironicznie – grom uderzy. Boga nie ma, ale kara boska – jak gdyby nigdy nie – istnieje.

Równo tydzień temu (nie muszę dodawać: grubo przed szesnastą) rozległo się energiczne kołatanie, otwarłem drzwi, para zdyszanych, złanych potem i ledwo żywych tragarzy wniosła do mieszkania kalendarz wielkości stołu pingpongowego i wadze płyty nagrobnej – serdeczny dar od starego przyjaciela. Podziękowałem, wręczyłem suety napiwek i siłą rzeczy zmieniłem plany. Miałem zamiar najbliższe dwie godziny poświęcić rozmyślaniom – pierwszą: fundamentalnej krytyce racjonalizmu (żadne z jego pasm sensu życia nie tłumaczy); drugą: problemowi, czy po utracie wiary można nadal być luteraninem (można, a nawet należy, wynika z utraty P.B wolność – luterstwu sprzyja, luterską na przykład retorykę wręcz wzmacnia) – teraz z wysokich rozmyślań nici; teraz musiałem się zająć przyziemną pragmatyką i rozstrzygnąć, co zrobić z zajmującym praktycznie cały przedpokój kalendarzem. Był równie piękny jak ogromny, równie podniosły jak ciężki, równie budujący jak nieogarniony; za temat miał ołtarz Wita Stwosza, ergo na kolejnych stronicach widniały sceny i postacie w najwyższym stopniu pobożne.

Autorem fotografii i nadawcą przesyłki był mój kolega ze studiów na krakowskiej polonistyce – człowiek wielu zalet i talentów, przyszły niechybnie minister kultury, obecnie szef ekstrawaganznej i – co w tych czasach zupełnie rzadkie – poważnego wydawnictwa – Andrzej Nowakowski. Od ładnych paru lat

z wielkim powodzeniem para się on fotografiką, wydaje albumy i kalendarze, już w zeszłym roku ofiarował mi kalendarz poświęcony – jeśli mnie pamięć nie zawodzi – architekturalnie wnętrz Uniwersytetu Jagiellońskiego – jakoś sobie z tamtym, też przecież kalibrem magnum, poradziłem – w tym roku bieda.

Latem przybyło półek, i to półek na grube – ma się rozumieć – a nawet bardzo grube tomy. Na taką wieczność poleciłem wykonać regały. Na nic innego, ani powierzchni, ani przestrzeni, ani kawałka ściany w moim – poza wszystkim – umiarowanie rozległym mieszkaniu. A tu trzeba mi kawałek, a kawał słuszny, z metr kwadratowy najmniej!

11 STYCZNIA

CO ROBIĆ? NIE POWIESZĘ PRZECIEŻ kalendarza na jakiejś nieczytelnej wysokości pod łazienkową powalą! Loggia odpada: zwykle psychotycznie wymuska, teraz przez śniegi i mrozy w ruinę obrócona. Do Wisły nie wywieżę; tam wprawdzie, byłoby miejsce, i to niejedno, ale czy matuli najpiękniejsze nawet wizerunki katolickiego ołtarza przypadłyby do gustu, pewności nie ma. Raczej nie, matka w luterskiej wierze zawsze twarda, teraz twardnieje jeszcze bardziej. Owszem zdjęcie z Janem Pawłem II ma w salonie wyeksponowane, jak trzeba, ale po pierwsze jest to zdjęcie uczynione w ewangelickim kościele w Skoczowie, gdzie brat matki przez długie lata był proboszczem, po drugie co innego Papież Polak, co innego Matka Boska z drewna! Nawet najpiękniej przez Wita Stwosza wyrzeźbiona! Nawet w nieziemskiej glorii światłocieni przez Nowakowskiego sfotografowana! Do Wisły więc nie. Gdzie tedy? Dać ten kalendarz komuś w prezencie? Komu, szczerze mówiąc? Nie bardzo mam takich klientów. Do moich byłych

redakcji podrzucić taki dar taksówką багаżową? Nie jestem pewien, czy zostałbym należycie zrozumiany. Coś mi się zdaje, że na mój widok nawet z ołtarzem Wita Stwosza pod pachą Jurek Baczyński nie skakałby z radości. U Springera przesadnego wiwatowania też by nie było. Owszem chłopcy w „Tygodniku Powszechnym” ucieszyliby się szczerze, ale Wiślna daleko. Mojemu przyjacielowi i wydawcy Pawłowi Szwedowi ozdobić gabinet takim rekwizytem? Za dobrze się znamy, by nie wyczuł on niejasności gestu. Uszczęśliwić takim darem ulicę Hożą? Wręczyć to dzieło sztuki panu Aftyce, panu Katanie, panu Kubiśkiemu! Za stylowo mają oni swe odpowiednio: sławną pralnię, sławną zakład szewski i sławną antykwiariat urządzone, by mój kalendarz zmieścić. Pani Jadzi, co mnie strzyże, pani Marzence, co mnie strzygła, pani Bożen-ce, co robi manicure, i pani Małgosi, co mi robiła manicure – wręczyć taki prezent? Nie umiem sprecyzować czemu, ale nie zdaje mi się to szczytem galanterii. Do jednej z dwu pobliskich księgarni zanieść? Gorzej niż drzewo do lasu! I Odeon, i Matras wszelkiej maści kalendarzami obwieszone i zagracone do granic. Nie na kolejny, a na gremialną przecenę wszystkich kalendarzy jest tam pełne znużenia oczekiwanie! Dziewczyny z Galerii Wypieków? Pani Kasia z całodobowego? Szefowa delikatesów Robert? Kierownik minidelikatesów Dziupla? Wszystkie warianty – choćbrane pod uwagę z ogromną serdecznością – jakoś niestosowne.

13 STYCZNIA 2010

PRAWDZIWA NIESTOSOWNOŚĆ, I TO NIESTOSOWNOŚĆ w wymiarze, rzekłbym, kryminalnym była jednak przede mną. Nie ma co dalej snuć fantasmagorii, pora z realizmem opowiedzieć, co się stało i co się dzieje.

Niechaj nie zabrzmi to niegrzecznie, zwłaszcza artysty długi i fotoaparaty niechaj nie poczuja się dotknięci – powieśm mianowicie ich dzieło na klatce schodowej. Jest to wbrew brzmieniu miejsce bardzo w porządku, po niedawnych remontach solidnie odnowione, na ogół przyzwoicie zamiecione, w głębi korytarza majaczy nawet element kwietnika. Ciemny w tonacji kalendarz umieszczony na białej ścianie ściśle vis-à-vis mych drzwi wyglądał świetnie. Ach nie, nie to, co myślicie! Czas przegły nie z powodu kradzieży czy bezinteresownego wandalizmu. Ani łakomi makulatury kłoszardzi, ani zawsze gotowi do demolki dre-siarze nie byli tu czynni! Coś bardziej zawilego, a nawet coś demonicznego w kamienicy się dzieje! Czyjaś, chyba diabelska ręka nieustannie mój kalendarz z miejsca na miejsce przewiesza. Niesłyszalne, a może nawet niewidzialne młoty gwoździe w ściany wbijają! Stalowe gwoździe! W betonowe ściany!

przekroj.pl

1. ZUS utonie, ratuj swoje pieniądze

Igor Ryciak

Polski system emerytalny jest jak „Titanic”: widać, że okręt idzie na dno, ale na pokładzie wciąż gra orkiestra. Państwową konstrukcję trzeba zlikwidować – każdy z nas powinien stworzyć własny filar emerytalny

2. Z Raczkowskim do piekła

rozmawia Piotr Najsztub

Święta są dla małych dzieci i dla zaawansowanych wiekiem rodziców, którzy już dzieci nie mają. Ja jestem pomiędzy tymi granicami wiekowymi – mówi Marek Raczkowski. Jeszcze bardziej lubi kontestować sylwestra

3. Koleżeński układ z seksem

Agata Jankowska

Regularny seks, zero zobowiązań i zakaz mieszania w to uczucie. Kto złamie zasady układu fuck friends, wypada z gry. I z łóżka

4. Uczeń wagi ciężkiej

Iza Michalewicz

Gigantyczna subwencja dla szkół na niepełnosprawnych uczniów – w tym dzieci z zespołem Aspergera – dziwnie się rozplywa

5. Nie daj się oszukać infoliniom

Krzysztof Szczepaniak

Mówią, co im ślina na język przyniesie, mylą się i kłamią, bo za swoje błędy nie ponoszą odpowiedzialności. Czy na konsultantów w infoliniach oraz biurach obsługi klientów jest jakaś rada? Jest. Zaczni od zakupu telefonu z możliwością nagrywania

6. Czy Google na nowo wynalazł e-mail?

Maciej Lakus

Inżynierowie Google zadali sobie pytanie: jak wyglądałby e-mail, gdyby wynaleziono go dzisiaj? Ich odpowiedzią jest Google Wave. Czy za rok wszyscy będziemy z niego korzystać?

7. Nedelmann: Doczekam legalnej marihuany

rozmawia Maciej Jarkowicz

O tym, skąd wzięła się narkotykowa prohibicja i dlaczego trzeba z nią skończyć, opowiada założyciel i prezes Drug Policy Alliance

8. Na kłopoty – bezdzietni

Agnieszka Fiedorowicz,

Iwona Hałgas

Dzieci. Ponoć są fajne, ale nie wszystkich to przekonuje. „Bezdzietni z wyboru” tłumaczą, że brak dzieci nie tylko nie szkodzi, ale nawet pomaga – społeczeństwu, psychice i budżetowi. I nie sposób odmówić im racji

9. Człowiek wielu wymiarów

Karolina Pasternak

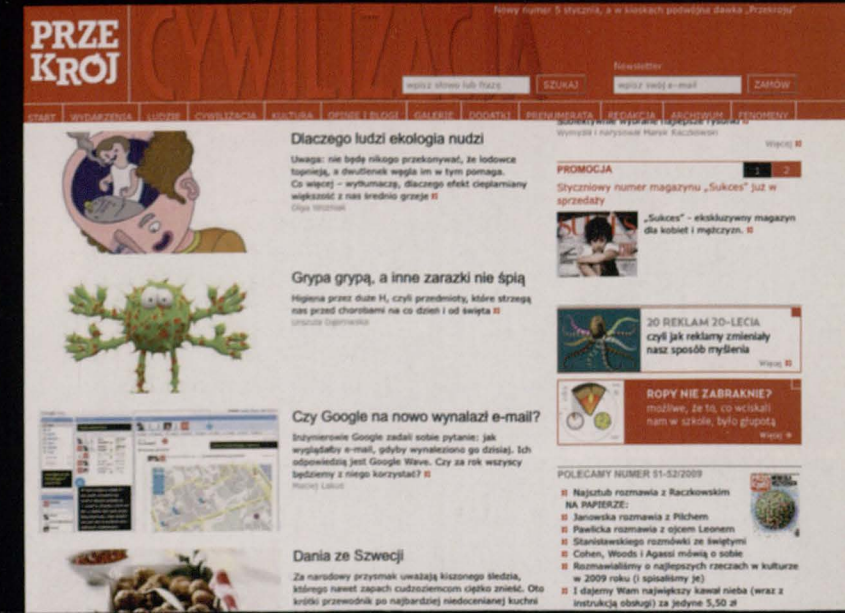
Sądny dzień dla kina. Na ekrany wchodzi „Avatar”, który zdaniem jego twórcy Jamesa Camerona zapoczątkuje w kinie erę trójwymiaru

10. „Pegaz” odstrzelony, Łobodziński opowiada

rozmawia Piotr Najsztub

Filip Łobodziński, ostatni prowadzący program „Pegaz”, który właśnie spada z ramówki TVP, mówi o największych grzechach polskiego świata sztuki i wyjaśnia, kim jest smakosz kultury

* wg danych za grudzień 2009





POCZUJ MAGIĘ RETRO...



Organizujemy:

-  romantyczne wieczory we dwoje
-  urodziny
-  imieniny
-  wieczory panieńskie



-  masaże aromaterapeutyczne
-  masaże płynną czekoladą
-  odżywcze masaże miodem
-  naturalne peelingi
-  rytuały
-  zabiegi na ciało
-  zabiegi na twarz
-  zabiegi Dla Dwojga
-  Zaproszenia na zabiegi